

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



**4**  
(44) 2005

Wspomnienia z obu wojen światowych i z czasów po nich ♦ O walce i konspiracji, o cierpieniu i nadziei ♦ O pierwotnej polskości ♦ O lwowskich profesorach na krakowskiej Mechanice ♦ O pomnikach Aleksandra Fredry ♦ O polskiej szkole w Borysławiu ♦ Sylwetki ♦ Słownik ♦ Wydarzenia ♦ Książki ♦ Listy

## ZNOWU MINĄŁ ROK

Koniec roku – jak zwykle. Pojawia się czwarty numer naszego kwartalnika, w części poświęcony historii walk o niepodległość, wojnom (zwłaszcza dwóm ostatnim), martyrologii. Przez kilka lat tej tematyce w całości służył coroczny numer specjalny – piąty, ale oznaczany „S” – dzięki środkom na to z Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa. W końcu zrezygnowaliśmy z tego, było za ciężko. Także i dlatego, że dzięki wiernemu sponsorowi, Wydziałowi Kultury i Dziedzictwa Narodowego krakowskiego Urzędu Miasta, mamy teraz 80 stron w każdym numerze, a nie 60–64 jak przez wiele lat (a zaczynaliśmy od 36, pamiętacie?). Więc tylko pierwsza część *czwórki* zawiera tematy walki i martyrologii, a reszta jak zwykle: o dziejach, ludziach, kulturze.

A więc ostatni kwartał roku. Zawsze znaczą go dwa szczególne dla nas wydarzenia: listopadowa kwesta i rocznica Obrony Lwowa. Ale to nie wszystko. W okresie tym mamy w Towarzystwie zawsze moc innych jeszcze imprez, spotkań, kontaktów, a także miłych obowiązków: rozsyłania życzeń, przekazywania środków na świąteczne podarki i wieczerze wigilijne. O tym wszystkim opowiadamy zwykle w naszych czterech działach informacyjnych w następnym numerze.

Cały mijający rok upłynął nam pod znakiem starań o powołanie Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Niewykluczone, że kiedy numer ten dotrze do rąk Czytelników, będziemy już po zasadniczej rozmowie w miejscu, które wydaje się jako najbardziej właściwe do ulokowania takiej instytucji. Na razie jednak – gdy ten numer przygotowujemy, jeszcze do tego nie doszło, a zapeszyć nie chcemy. Aby się poczuć wewnętrznie mocniej, przeprowadziliśmy wstępnie akcję zbierania wyrazów poparcia z terenu całego kraju. Otrzymaaliśmy w odpowiedzi niemal tysiąc podpisów poważnych osób, które widzą potrzebę utworzenia takiej instytucji. Największego wysiłku w tej sprawie dokonały oddziały TMLiKPW w Gorzowie i Lublinie. Serdecznie wszystkim za to dziękujemy. Mamy nadzieję, że wysiłek nie pójdzie na marne.

Co nas najbardziej usatysfakcjonowało w mijającym roku? W naszych lwowskich\* sprawach – poświęcenie Orłęcej Nekropolii i rosnąca liczba wycieczek w t a m t e strony, przede wszystkim młodzieżowych. To najważniejsze dla narodowej świadomości – więcej wyjaśniać nie trzeba. A w sprawach nadrzędnych? Po ostatnich wyborach czujemy się naprawdę w Polsce. Ostatecznie – choć tu i ówdzie snują się jeszcze przykre zapachy – odeszła komuna i postkomuna, są więc podstawy do optymizmu. Mamy wreszcie IV Rzeczpospolitą. Mogło to być wcześniej, ale lepiej późno niż wcale.

**Wszystkim więc naszym Czytelnikom, Dobrodziejom, Autorom i Współpracownikom, Rodakom na Wschodzie i Przyjaciołom – składamy z głębi serca płynące życzenia spokojnych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego Roku 2006 i następnych.**

*Redakcja*

\* Pamiętajmy, że używając skrótu *Lwów*, *lwowskie*, zawsze mamy na myśli całą Małopolskę Wschodnią, ze Stanisławowem, Tarnopolem, Drohobyczem, z setką mniejszych miast oraz wsi, gdzie żyli, a miejscami żyją nadal i trwają w polskości nasi Rodacy. Myślmy także o bratnim Wołyniu.

A propos setki miast: przygotowując argumenty w sprawie problematyki badawczej dla Instytutu PDHiKKW, policzyliśmy miasta w Małopolsce Wschodniej (licząc od dzisiejszego kordonu po Zbrucz). Wypadła liczba 102. Tak – ponad setka starych, historycznych miast polskich, które czekają na opracowanie ich dziejów. Cieszymy się z wydania kilku tomów o rezydencjach, kilkunastu (dotąd) tomów o klasztorach i klasztorach, a przed nami sto tomów monografii polskich miast na Ziemiach Południowo-Wschodnich!

# Felieton

## PO SZEŚĆDZIESIĘCIU SZEŚCIU LATACH

*Ten list przyszedł nie na mój adres, lecz na adres KIK-u\*. Nazwisko nadawczyni nic mi nie mówiło, tak samo jak miejsce nadania – Gdańsk. Otworzyłam go niezbyt chętnie, bo cóżby chciała ode mnie ta nieznana mi osoba? List zaczynał się od nic nie mówiącego „Szanowna Pani”. Ale dalszy ciąg był niezwykły. Pierwsze zdanie brzmiało: „Czy Pani jest tą Basią, z którą byłam w Jazłowcu u Sióstr Niepokalanek?”*

*Ileż to trudu sobie zadawałam, ażeby nadawczynię tego listu odszukać! I oto po sześćdziesięciu paru latach ona odezwała się do mnie. W pierwszej chwili zdawało mi się, że nie całkiem ten list rozumiałam. Ale ponieważ w liście był adres i numer telefonu, natychmiast zatelefonowałam do Gdańska. I głos, który usłyszałam w słuchawce, to był głos Leny\*\*! Oczywiście zdecydowałyśmy od razu, że musimy się spotkać.*

*Ale jakoś ciągle to „nie wychodziło”. I oto w tym roku, dzięki „służbowemu” wyjazdowi do Gdańska, nasze spotkanie doszło do skutku. Na dworcu rozpoznałyśmy się natychmiast. Tak, jakbyśmy się nigdy nie rozstawały! Nie było między nami żadnego uczucia obcości.*

*Opowiedziałyśmy sobie cały ponadsześćdziesięcioletni okres po rozstaniu na stacji we Lwowie. Jest coś przedziwnego w nas wszystkich, pochodzących „stamtąd”. To, że spotkawszy taką samą osobę, natychmiast czujemy się, jakbyśmy się znali „od zawsze”, a spotkawszy się, natychmiast się zaprzyjaźniamy. I tak prawie wszyscy, z którymi się zaprzyjaźniłam w ciągu mojego długiego życia, to ludzie, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia bliskich nam stron.*

Barbara Czałczyńska

\* Autorka jest prezesem KIK w Krakowie (patrz CL 1/95)

\*\* Patrz felietony Autorki w CL 1, 2, 3–4/95

### Przeczytane

... Nie ma wątpliwości, że i dziś krakowianie czują się obywatelami swojego miasta, choć na ogół rozmowy z warszawiakami rozpoczynają się od kokieterijnego zastrzeżenia, że oni pochodzą przecież z prowincji... A jednak Kraków bywał zaskakująco często w swojej historii właśnie prowincjonalnym miastem. Rzeczpospolita (nawet ta wirtualna, rozbiorowa) opierała się na czterech filarach: Wilno, Lwów, Warszawa, Kraków. Dwa z nich przepadły na zawsze, trzeci został pogruchołany w czasie wojny. Pozostał Kraków – szanujmy tę prowincję...

Krzysztof Kosiński, *Piąta pora roku*  
(„Kraków”. Miesięcznik społeczno-kulturalny 2/05).

Do powyższego cytatu mamy tylko jedno małe zastrzeżenie, ale pozostawiamy to domyślności Czytelników.

# JAK JEST FASUN, TO TRZAISĆ

**W tym roku minęła 85. rocznica bitwy będącej epizodem wojny polsko-bolszewickiej. Jedną z licznych bitew, które w owym czasie toczyły się wokół Lwowa, broniącego się przed sowieckim najeźdźcą. Epizodem niemal zapomnianym, pewnie ze względu na niewielkie strategiczne znaczenie dla całej kampanii, chociaż niektórzy historycy uważają, że bez niej mogłoby nie być „Cudu nad Wisłą”. Kombatanci tej bitwy nie utrwalili jej w pamięci pokoleń organizowaniem uroczystych zjazdów i pochodów. Nie mogli – było ich zaledwie dwunastu. Jeżeli dziś jeszcze ktoś pamięta o Boju pod Zadwórzem, to prawdopodobnie dlatego, że bitwa ta ze względu na uderzające podobieństwo okoliczności znana była w okresie międzywojennym pod nazwą „Lwowskie Termopile”. Na podstawie nielicznej literatury opis całego zdarzenia można zawrzeć w kilku zdaniach:**

17 sierpnia 1920 roku Czerwona Armia Konna (Budionnego) docierała już niemal do bram Lwowa. Pod pobliskim Zadwórzem silne oddziały 6 Dywizji Konnej napotkały na opór polskiego batalionu w sile 330 ochotników pod dowództwem kapitana Bolesława Zajączkowskiego. Mimo ogromnej dysproporcji sił zażarta bitwa trwała jedenaście godzin. Przeżyło tylko dwunastu polskich obrońców, ale marsz bolszewików na Lwów został zatrzymany. Armia Budionnego po szybkim przegrupowaniu podążyła na północ, ale było już za późno, by mogła wpłynąć na losy walk po Warszawą.

No cóż, powie wielu, oto jeszcze jeden przykład bohaterskiego zrywu, jakich dużo w historii Polski i polskiego oręża. Zapewne godny, aby go utrwalić w historycznych opracowaniach i przypominać od czasu do czasu, by nie uległ zapomnieniu. Jednak to przecież zamierzchnia przeszłość, nie mająca odniesienia do dzisiejszych czasów zdominowanych przez codzienne, dotkliwe problemy.

Tak rzeczywiście się wydaje, kiedy patrzy się na historię jak na pomnik wyrity

w spłzu i pokryty patyną lat. Spójrzmy jednak na ten dzień oczami ówczesnych mieszkańców Lwowa. Ludzi takich samych przecież jak my, borykających się z takimi samymi, zaręczam, problemami codziennej egzystencji.

Kiedy do Lwowa dotarli pierwsze wieści o zbliżającej się konnicy Budionnego (z komisarzem politycznym J.W. Stalinem), mieszkańcy nie przestali jeszcze opłakiwać swoich synów, córek, mężów i braci poległych w ciągu 4 lat wojny światowej, bohaterskiej obrony miasta w 1918 roku i późniejszego rocznego oblężenia. Wszyscy byli pełni niepokoju z powodu braku wieści od bliskich, gdzieś już daleko walczących w toczącej się wojnie polsko-bolszewickiej. Utrzymanie rodziny, we wszystkich grupach i warstwach społecznych, też nie było rzeczą prostą. Bezrobocie było duże i niełatwo było zarobić na jedzenie, ubranie, czynsz, opał i wykształcenie dzieci. Powszechna była bieda i zmęczenie niepewnością jutra trwającą już od sześciu co najmniej lat. Zmęczenie, ale nie zniechęcenie.

Kiedy do Lwowa dotarły pierwsze wieści o nadciągającej czerwonej nawałnicy, rajcowie miejscy nie zbierali się na wielogodzinne jałowe narady. Politycy nie wykorzystywali czasu na przemówienia pełne obietnic, a lwowiaci nie pikietowali ulic wokół Rynku z żądaniem skutecznej obrony przez wojsko i zakończenia wreszcie tych niepewnych czasów. W domach też jakoś nie dyskutowano o tym, co lepiej zrobić: schować się gdzieś i przeczekać, czy też pośpiesznie uciekać jak najdalej wraz z całym dobytkiem? To zwyczajnie nikomu nie przychodziło do głowy. Może dlatego, że nie byli przyzwyczajeni do obietnic, że ktoś wszystko za nich załatwi? Kto to wie?

W każdym razie przebieg wypadków był zgoła odmienny. W mieście zagotowało się jak w mrowisku. Właściciele sklepów, piekarni i masarni ruszyli na wieś po zaopatrzenie. W domach matki i córki również gromadziły żywność, zapasy wody i materiałów opatrunkowych. Synowie i ojcowie

umacniali drzwi, bramy i okna, opatrywali wyciąganą pospiesznie broń. Jakakolwiek – od zardzewiałej szabli dziadka po stare rewolwery i manlichery. Władze miasta zawiadomiły stolicę i rozesłały we wszystkie strony kurierów w nadziei ściągnięcia na powrót regularnych oddziałów wojska, które wszystkie wymaszerowały wcześniej ze Lwowa w inne rejony Galicji. Na Łyczakowie, Zamarstynowie i Zniesieniu ludność cywilna dzień i noc budowała okopy i umocnienia obronne. Dla wszystkich było jasne, że najważniejszy jest czas potrzebny na zorganizowanie obrony i ściągnięcie posiłków. Dlatego należało za wszelką cenę zatrzymać najeźdźców przed granicami miasta. Choćby na kilka godzin.

Wobec braku wojska trzeba było szybko zebrać ochotników. Zanim w Ratuszu wydrukowano pierwsze odezwy, już młodzież akademicka i szkolna, biegając od domu do domu, zbierała informacje, kto posiada dobrą broń, kto umie strzelać i obeznany jest w walce na bagnety. Do tego, aby uzbrojeni ochotnicy zebrawali się w punkcie zbornym, nie potrzeba było wielu dni, obwieszczeń i akcji werbunkowych. Wystarczyło kilka godzin, aby zebrało się 330 uzbrojonych mieszkańców, Studentów, uczniów, rzemieślników, naukowców, robotników, przedstawiciele wolnych zawodów i batiarów. 330 Obywateli Lwowa.

Kto może nimi dowodzić? – Był w mieście oficer z niezbędnym doświadczeniem polowym. Kapitan rezerwy Bolesław Zajązkowski, z zawodu notariusz. Czy zastanawiał się nad decyzją? Czy radził się wśród rodziny i znajomych, co lepiej – ryzykować życie czy raczej pozostać w domu, bo czas zagrożenia to przecież dla notariusza okres dużych możliwości zarobkowych? Nie wiemy tego, ale jestem pewien, że nie zastanawiał się ani chwili. Zgłosił się bowiem na ochotnika zaraz na początku. Poległ.

Batalion obrońców był gotów. Jeszcze tylko błogosławieństwo matek i sąsiadek, krótkie pożegnanie z rodziną, jak w popularnej lwowskiej piosence: *Żegnaj matko, żegnaj bracie. Wiem, że żalność w sercach macie. Może uda ci, żyj powrócym zdrów i zobaczy miasto Lwów.* Większości się nie udało. Zginęli.

Jeszcze pożegnanie z dziewczyną, może z odrobiną młodzieńczej próżności i brawury: *Daj ci Boże, Karolciu. Idy na woj-*

*nę. Wrócym zanieślugo. Czekaj na mnie w Stryjskim Parku, na ty ławce, co to wisz...* Czekala na próżno. – Nie wrócił już nigdy.

Potem forsowny wymarsz. Tak, aby jak najdalej od miasta zdążyć wybrać dogodnie miejsce do obrony. Wypadło na okolice pobliskiego Zadwórza, gdzie droga do Lwowa biegła szerokim wąwozem... Termopile...

Teraz pospieszne kopanie prowizorycznych stanowisk, przerwanie nagle tętentem końskich kopyt i turkotem taczanek...

Był upalny, sierpniowy dzień. Szturmem, z zaskoczenia młodzi obrońcy odbili zajęłą stację kolejową. Jednak szybko zabrakło amunicji, chociaż skrzętnie ją zbierano wśród rannych i zabitych. Dziesiątkowani i broniący się już tylko samymi bagnetami Polacy odparli sześć zmasowanych konnych szarż. W końcu trzy sowieckie samoloty z karabinami maszynowymi, które pojawiły się przed wieczorem na niebie, zgotowały obrońcom istną rzeź, a pozostałych przy życiu kozacy Budionnego dobijali bezlitośnie. Niewiele więcej wiadomo o przebiegu całej bitwy. Znam jeszcze tylko skąpą relację obej-



mującą końcowy jej fragment z ust bezpośredniego uczestnika. Jednego z tej dwunastki szczęśliwców, którym udało się ocaleć. Relację nieżyjącego już dziś, piętnastoletniego wówczas chłopca, a wiele lat później – mojego Ojca, który jako kurier z meldunkiem konno dotarł z miasta do garstki obrońców i do końca już z nimi pozostał. Meldunek prawdopodobnie niósł wiadomość, że na pomoc miastu podążają już oddziały wojska, ... żeby jeszcze wytrwali, ... że warto było... W młodzieńczej pamięci zachowało się niewiele. Nie wiadomo nawet, czy był tam kilka godzin czy zaledwie kilka minut: głośnie, nieustanna kanonada, huk pękających granatów, kwik koni, jęki rannych i szum opadającego piasku. Dobiegające z dala ostrzegawcze okrzyki i rozkazy, dźwięk rosyjskiej mowy, przywoływanie przez umierających Boga w ostatnim pojednaniu i bliski głos strzelca przeklinającego zacinającą się w karabinie maszynowym taśmę, którą chłopiec podawał ze skrzyni, bo tę umiejętność posiadał dwa lata wcześniej jako Lwowskie Orły...

Ot, i wszystko. Poległo 318 bohaterów, ocalając życie, zdrowie i mienie tysiącom swoich bliskich i obcych.

Całość opisywanych tu zdarzeń trwała dobę. Następnego dnia miasto powróciło do codziennego życia, pracy, biedy. Tylko do Zadwórze corocznie w sierpniu szły w skupieniu i ciszy masowe pielgrzymki Lwowiaków, aby kwiatami uwieńczyć groby bohaterów i podziękować im za ocalenie.

Te wydarzenia były nie tylko wyrazem odwagi, patriotyzmu i męstwa. To również, a może przede wszystkim przykład działania w poczuciu wspólnoty. Przykład działania z myślą nie tylko o sobie, ale również

o swoich sąsiadach i zupełnie obcych współobywatelach. Bez oglądania się, że ktoś za nas zrobi to, co do nas należy. Dziś, czytając niektóre wyniki badania opinii publicznej i przysłuchując się przeróżnym wypowiedziom w mediach na temat tego, co się zwykle nazywa *obywatelskim obowiązkiem* – ówczesny Lwowiak złapałby się za głowę: *Ali wo! Mamuńciu złota! Ta co mi bendzi tu bajtlował durnowaty pumidor? Chce nabrać facki jak bidny w torby, cy co? Taki bałak trzech szóstek nie wart. Szpanuj graby, kryj pazury – jak jest fasun, to trza iść! Szpur-tym. Na pirwszy skinieni!*



KAZIMIERZ MARIAN WOLFF (1948–2004) ur. w Gorlicach. Przez całe życie związany z Kaliszem, gdzie ukończył szkoły, a po studiach mechanicznych na Politechnice Warszawskiej pracował aż do śmierci. Zainteresowany Lwowem, miastem rodzinnym swego ojca, Władysława M. Wolffa, zredagował i opublikował w internecie jego wspomnienia, odnalazł i zarchiwizował filmy dokumentalne z tamtych czasów, w tym na temat współpracy ojca z prof. Rudolfem Weiglem w latach 1928–1932.

## P r o ś b a

Pan Tadeusz Józków, zamieszkały w Miliczu (wojew. wrocławskie), a pochodzący z okolic Kopyczyniec (Tarnopolskie), poszukuje swojej rodziny zamieszkałej po II wojnie w Krakowie. Był to Michał Citków, przed wojną zawodowy wojskowy we Lwowie, jego żona Zofia i córka Stanisława (nazwisko po mężu nieznanne).

Kto mógłby pomóc w odnalezieniu śladów tej rodziny, proszony jest o wiadomość pod adresem: Tadeusz Józków, 56-300 Milicz, ul. M. Kopernika 4a/1, tel. (0-71) 38-40-038, albo za pośrednictwem naszej redakcji.



W CL 4/04 zamieściliśmy fragment wspomnień Henryka Mozera z lat 1944–45, nadając mu tytuł „Sam początek”. Był to początek drugiej i dłu-

gotrwałej okupacji sowieckiej, jakże brzemiennej w skutki... Jednak samym początkiem całej tragicznej epoki, którą od połowy XX wieku przyszło przeżywać Polakom na Wschodzie, jest to, co opisał Autor w poniżej przedstawionym fragmencie: relacja dziewięcio-dziesięcio-jednastoletniego chłopca z pierwszej okupacji sowieckiej, od września 1939.

## 1939

(...) Po wkroczeniu Rosjan następowały zmiany – w myśl rewolucyjnej zasady: wszystko na nowo. W praktyce „nowe” starano się wprowadzać w rękawiczkach, ale posunięcia były radykalne, przynębiające zwłaszcza w szkole. Uczyli nas w tym samym budynku ci sami nauczyciele, ale była to zupełnie inna szkoła. Na miejscu krzyża i portretów marszałka Rydza Śmigłego i eleganckiego prezydenta Mościckiego straszyl Lenin – z jednostronnie oświetlonej twarzy lypało diaboliczne oko. Ksiądz był w tej szkole nie do pomysłenia. Na religię chodziliśmy do kościoła św. Marii Magdaleny. Siedzieliśmy na rozstawionych krzeselkach w bocznej nawie. Ks. Józef Klos, wielki mężczyzna z wielkim mięsistym nosem (wydawał nam się stary, miał pewnie ze trzydzieści lat, kiedyś w szkole palił papierosy, co nas dziwiło, bo nie wiedzieliśmy, że księżom wolno), stawał przed nami na stopniach ołtarza. W ołtarzu – świeżo wymalowany przez Batowskiego – obraz św. Stanisława Kostki z dzieciątkiem Jezus; w kunsztownie rzeźbionej ramie – Orzeł Biały w koronie przysłonięty bukietem suchych kwiatów. Później zbieraliśmy się pod wielkim freskiem Rosena przedstawiającym Chrztus w Jordanie, w baptysterium, więc jakby w ukryciu.

Uczono nas nienawiści i podejrzliwości. Musieliśmy na przykład przerabiać czytanki o syberyjskich szamanach przedstawianych tak, jak zabobon ludowy maluje Żydów porwujących dzieci na macę. System sowiecki był dziesięcioklasowy, dlatego z III klasy, do

Henryk Mazer

# Sam początek

1 9 3 9 – 1 9 4 4

której przeszliśmy na wiosnę, zostaliśmy cofnięci do II. Było więcej przedmiotów, inne podręczniki, dodano język rosyjski, który mylił się nam z ukraińskim. Chodziliśmy nie na ósmą, a na dziewiątą. Ale dziewiąta była w Moskwie, u nas siódma. Przed wojną uczyliśmy się tylko w dzień, teraz chodziliśmy raz rano, raz wieczorem – w szkołach trzeba było zrobić miejsce dla tych ze wschodu. Wstawanie po ciemku, wędrówka w lodowatym deszczu, w śniegu, w ciemnościach, czy rano czy wieczorem – było w tym coś poniżającego.

W lutym 1940 nastąpiły pierwsze wywozy. W mroźny ranek na początku miesiąca wszedłem do klasy i zastałem puste ławki. Z czterdziestu kolegów zostało kilkunastu. Wolne miejsca wkrótce się zapełniły. Pojawiły się dziewczynki, staliśmy się szkołą koedukacyjną, oraz Żydzi. Sympatyczni, eleganccy, z dobrych domów, bo taka była dzielnica. W poście jedli macę z jajecznicą – nie wszyscy. Żurawska, czarna, bardzo ładna, paradowała w czerwonym krawacie i nie jadła macy.

Pionierom, tym w czerwonych chustkach, bo ta organizacja naśladowała skauting, oddano najpierw pałac Gołuchowskich przy Mickiewicza, potem Potockich przy Kopernika. Może było ich więcej w klasie, nie przypominam sobie. Nasza wychowawczyni, pani Ziemska, nie mogła skutecznie agitować do tej pseudoharcerskiej organizacji. Jeszcze w jesieni 1939 zatrzymała mnie po lekcjach i spytała, czy nie zabralbym do domu figurki? W maju urządzaliśmy w klasie ołtarzyk Matki Boskiej, figurka wciąż znajdowała się w szafie. Zabralam ją, a może mama po nią przyszła, w każdym razie przez długie lata stała u nas w domu we Lwowie.

Ta sama szkoła, ci sami nauczyciele, ten sam kościół, ten sam katecheta w kościele, sympatyczni koledzy, z którymi razem weszliśmy w smugę cienia. A jednak wszystkie wspomnienia z okresu tzw. „pierwszych sowietów” są naznaczone piętnem przynębienia, szarości i brzydoty. Brzydota nie była czymś subiektywnym, ogarniała całą nową rzeczywistość – od paskudnych mundurów do malowanych na czerwono trumien.

Paskudne były buty z cholewami z brezentu, wymiętoszone wsuwane za cholewy spodnie i tzw. *gimnastiorki*: koszule ze stójką zapinane asymetrycznie, kładzione na spodnie i ściągane pasem. Cała nadobfitość tego wierzchniego przyodziewku była zebrana z tyłu i wciśnięta pod pas. Dawno nie widziałem soldata, nie wiem, jak teraz wygląda, wtedy rzucała się w oczy osobliwość postawy: szeregowy miał wypięty tyłek. A może nie była to kwestia postawy wojskowej, lecz anatomii chłopów, nawykłych do schylania się i jazdy na oklep? W każdym razie fałdy z tyłu uwidoczniały tę osobliwość. Na głowie nosili furażerki zawsze wygniecione i wytłuszczone, z tego samego drelichu co cała reszta i w tym samym wypełzło-zielonkawoszaro-brudnym kolorze. W wersji zimowej ich ubiór był mniej dziadowski, ale zawsze dziadowski. Nosili szynele bardzo długie, nieraz na dole wystrzępione, wcięte w pasie, z tyłu na wcięciu – dragonik w kształcie ósemki z dwoma guzikami. Pas szedł na to lub pod to. Na głowie coś w rodzaju pikielhauby, ale sukiennej, której opuszczone nauszники opadały na barki – sylwetka znana z plakatów Majakowskiego. Na wielkie mrozy kładli *walonki*, wojskowe buciory bez podeszew i obcasów. Idąc w kolumnie śpiewali tylko refren, kanto śpiewał *zapiewajło*. Kiedy szli wieczerem, choć była cisza, *zapiewajły* nie było słychać, a tylko odzywający się od czasu do czasu chórek:

*Wychadła na bierieg Katusza... albo  
... ja drugoj takoj strany nie znaju,  
Gdzie tak wolno dyszyt czelawiek.*

Obrzydliwe były pogrzeby. Nieprzykrytego wiekiem umrzyka najpierw wystawiano w byle jakim lokalu, następnie wieziono w otwartej czerwonej trumnie odrapaną ciężarówką.

*Kultura* – słowo to nie schodziło z ust – *kultura...* Tak, działał dobry polski teatr, prowadzony przez Bronisława Dąbrowskiego, przeniesiony z Wielkiego na ul. Jagiellońską (widziałem tam Mieczysława Węgrzyna w roli Papkina). W Wielkim była ukraińska opera, na którą podobno sowietki chodziły w jedwabnych koszulach nocnych. Funkcjonowały kina z wyjątkiem «Roxy», «Pax», «Glorii» i «Empire», ale i tak było ich stosunkowo więcej niż w Moskwie. Kulturze jednak zaprzeczało wszystko, chociażby wygląd ulicy, wszechobecny brud i wulgarność, i te Rosjanki ubrane, jakby je jedna matka porodziła. Zdeptane i brudne były sklepy, ale równocześnie pełne towarów i zapewne takich, o których gdzie indziej ludzie mogli tylko śnić. Sowietci starali się zmniejszyć różnicę standardu, niekiedy w osobliwy sposób. I tak do smarowania chleba można było kupić szczególny symbol obfitości: mieszaninę masła z miodem, tzw. „masłomiód”. Pojawił się olej z brzoskwiniowych pestek – żadna oliwa nie może się z nim równać. Pojawily się różne frykasy przed wojną niedostępne: czerwony i czarny kawior, kraby kamczackie itp. Przypominam sobie dwu-

## Batiary swój honor mieli

*W starym, dobrym „Przekroju” – wprawdzie już nie tym Mariana Eilego, ale jeszcze krakowskim (14/94) – znalazło się wspomnienie, którego nastrój przypomina inne, niedawno u nas przedrukowane – o Panu Eligiuszu (CL 3/04).*

Mój znajomy opowiedział mi taką oto przygodę. Po klęsce wrześniowej, ranny, przebywał w lwowskim szpitalu wojskowym. W zimie został wypisany ze szpitala. W mroźny wieczór szedł bez celu przez Pohlankę. Słowami „dobry wieczór” zaczępi-

ło go kilku batiarów. Odpowiedział na pozdrowienie. Dokąd pan idzie? Nie zdążył odpowiedzieć, gdy przywódca kazał mu zdjąć płaszcz wojskowy i dać Jóźkowi, bo on był tylko w koszuli. Bluzę wojskową miał dać Frankowi, bo ten miał jakieś wiatrem podszyte paletko. Buty „saperki” – Tońciowi, bo miał „meszty”, czyli półbuty. Zanosił się na to, że chcą go rozebrać na taki mróz, na odludziu!

– Taką krzywdę chcecie mi zrobić? – powiedział mój znajomy. – Przecież ja jestem żołnierzem zwolnionym ze szpitala. Jestem nietutejszy.

Nastąpiła chwila konsternacji.

– Szczepciu, ja widział, on kulei – powiedział jeden z nich.



metrowego jesiotra wiszącego przed niechlujnym sklepikiem.

Tymi jesiotrami i kawiozem uśmiechała się do nas sowiecka władza słodko i fałszywie, ponieważ większości ludzi nie starczało na elementarne potrzeby. Jadali nieokraszone kartofle, postny chleb popijali wrzątkiem lub herbatą bez cukru. U moich rodziców chrzestnych, gdy wyczerpała się wielka niemiecka encyklopedia, paliło się w piecu secesyjnymi albumami na fotografie...

Zaskakujące wciąż zmiany dla mnie, dziesięciolatka, były katastrofą. Niby czynne były szkoły i uczelnie, kina i teatry, kościoły i cerkwie. Nie mogłem się jednak odnaleźć w tej nowej normalności, wyszukać sobie jakąś niszę, jakieś miejsce, gdzie nie docierałyby złe wieści – tego w nocy zabrali, tych wyrzucili z mieszkania, tamci głodują – gdzie można by ukryć się przed lękiem, że, że coś powiem, wygadam się mimo woli, wsypię nauczycieli, rodziców, domowników, że stanie się coś strasznego. Dorosli także padali ofiarami wyobraźni, paniki, przestrzegali nas nieustannie przed zaczajonym donosicielem...

Nikt w moim otoczeniu nie wierzył – oczywiście – że stało się coś nieodwracalnego i oto mamy nowe *status quo*. Sytuację uważało się za tymczasową, ale to poczucie tymczasowości kryło niebezpieczeństwa. Zakradało się pewne rozprężenie, zdeklasowanie, poparte przeświadczeniem, że i tak górujemy nad tym wschodem.

– Masz pan jaki papier? – zapytał Szczepciu.

Okazał mu kartę zwolnienia ze szpitala wojskowego. Widząc, że sytuacja jego poprawia się w sposób oczywisty, chciał ich poczęstować papierosami wojskowymi – „Cienkimi”.

– Schowaj pan, my tu mamy lepsze.

Poczęstowali go „Egipskimi”, wspaniałymi papierosami. Wreszcie, oddając mu zwolnienie, zapytali:

– Panie, napiłbyś się pan co?

– Pewnie, przecież taki mróz!

Odkorkowali butelkę wódki Baczewskiej i wnet ją opróżnili.

– Józku, skocz no do ciotki Bandziuchowej po drugą!

Opuszczałem szkołę. Nie zawsze umyślnie. Chorowałem. Z tramwajów przynosiłem świerzb, do tego dołączyły się jakieś uczulenia, w końcu lekarze nie wiedzieli, co i jak leczyć. Męczył mnie katar. Zamiast chustek musiałem używać tetrowych pieluch. Miałem odmrożone ręce i nogi. Wskutek nie ustępującej gorączki spędziłem w łóżku parę miesięcy.

Czekały nas jeszcze lata głodu za Niemców i ostateczna utrata ojczyzny po Jałcie. Utrata ojczyzny i ojcowizny. Ale ten pierwszy sowiecki okres wydaje mi się szczególnie ponury. Może dlatego, że byłem dzieckiem, że byłem zależny od innych...

Białem się Niemców, bo byli okrutni i pełni pogardy, ale swoją „religię” mieli dla siebie. Sowietów nie tylko się białem, budzili we mnie odrazę za sprawą przymusu kłamliwej wiary.

## 22 czerwca 1941

Zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka. W sobotę Jakow Żak grał w Stryjskim Parku koncert Chopina, a w niedzielę była wojna.

Został mi w oczach obrazek z tego niedzielnego poranka: w bramie na Gródeckiej auto z rulonem dywanu na dachu i biegnący przez jezdnię wojskowy dopinający spodnie.

Rosjanie wiali jak szczury z tonącego okrętu. Miejscowa ludność rzuciła się na sklepy. Kolejki były monstrualne. Ponieważ przed wejściem tworzyła się tzw. „granda”, w ogonku panował nieopisany tłok. Ludzie stali przywarci do muru i do siebie tak cia-

– Skąd to macie taką dobrą wódkę? – zapytał znajomy.

– Panie. Jak tu się palił Baczewski, to my trocha przysprowali! – Już w dobrej komitywie wypili drugi litr.

– Panie, długo pan będziesz we Lwowie?

– Będę jeszcze kilka dni.

– Jakbyś pan czego potrzebował, to przyjdź pan wieczorem w to samo miejsce, to my panu wszystko przyniesiemy. My by panu nic nie wzięli. My tylko tak żartowali!

Takie to były lwowskie batiary. Swój honor mieli! Obrabować żołnierza wracającego z wojny, rannego? I to na Pohulance? Toż to oczywisty „sztemp”! Zrozumieli to!

Zbyszko Nowak, Kraków

sno (chodziło o to, by nikt nie mógł się wepchnąć między stojących), że musieli odwracać głowy, żeby nie przywierać twarzą do pleców sąsiada. Jeśliby kto nawet zemdlał, nie opuściłby kolejki. Górowały nad nią dzieci w powijkach, trzymane na barakach w pozycji pionowej. Kiedy pojawiały się niemieckie samoloty, kolejka rozbiegała się, a gdy zagrożenie mijało, z okolicznych bram zbierała się na nowo i wtedy zaczynała się – ja tu stałam, nie stała, stał, nie stał – i dochodziło do rękoczynów.

Jeden z nalotów był szczególnie dotkliwy. Posypały się bomby zapalające. Bomba przez boczne okienko wpadła na strych szkoły (...). Leżały tam po likwidacji fabryki prądziadka drewniane modele rozmaitych odlewów: wielkie i małe serca dzwonów, mniejsze dzwony, rozmaite kunsztownie rzeźbione przedmioty z lipowego drewna, a także rysunki – wszystko to łatwopalne, wylatywało teraz do ogrodu. Bombę udało się zagasić zasypując piaskiem – we wnęce naprzeciw stał posąg św. Floriana, patrona ludwisarzy.

Nasze domy w dużym ogrodzie znajdują się na skłonie europejskiego działu wód ku dolinie Pełtwi. Świętojurskie wzgórze góruje nad nami, tak że katedra, mimo zabudowy ulicy Piotra Skargi, jest widoczna, ogrody zaś ukraińskiego szpitala, fundowanego przez metropolitę Szeptyckiego, sąsia-

dują z naszym. Z latarni kopuły św. Jura, jak z komina fabrycznego, zaczęły się wydobywać kłęby czarnego dymu. Pierwszy zauważył to prof. Janusz Groszkowski, którego pokój z balkonikiem wychodził na tamtą stronę, i zaalarmował mieszkającego za ogrodzeniem dozorcę. Natychmiast wszczęto akcję i katedra została uratowana. Zasluga Groszkowskiego, bo można przypuszczać, że w czasie nalotów nikogo w niej nie było, a z bliska pożar nie był zauważalny.

Zapaliły się magazyny przy ul. Gródeckiej u stóp świętojurskiego wzgórze. Płonęły chyba paliwa płynne, bo mimo różnicy wysokości – Gródecka w tym miejscu stromo opada w dół – języki ognia były widoczne ponad dachami budynków.

## Wymordowanie więźniów

W naszym pierwszym od wejścia domu znajduje się suterena. Zamieszkujący ją ludzie żyli w swoim kręgu, ktoś ich odwiedzał, oni kogoś odwiedzali. W sobotę wczesnym popołudniem stałem przy pierwszej furtce, gdy wszedł młody człowiek z opaską czerwonego krzyża własnej roboty. Zmierzał do sutereny, ale zatrzymał się i z podnieceniem opowiadał o więzieniach pełnych trupów.

Fakt znany. Przed opuszczeniem miasta sowieci wymordowali więźniów i dziś już nikt temu nie zaprzecza: we Lwowie, w Żółkwi, w Stanisławowie itd., itd. Ale wspomnienie tego epizodu przy furtce starczało mi za dowód, gdy propaganda wysilała się, by zrzucić odpowiedzialność na Niemców. Lwów był w tym czasie bezański.

Nazajutrz ojciec jak zwykle poszedł na mszę o 6 rano. Mama kazała mi wyglądać jego powrotu. Stałem przy bramie na ul. Szumlańskich, skąd u wylotu uliczki widziałem Gródecką i pierwszych (przynajmniej w naszej dzielnicy) niemieckich żołnierzy. Jechali motocyklami z przyczepą przez Gródecką z góry do śródmieścia. Mieszkańcy sąsiednich domów, także żydowska biedota, której sporo tam mieszkało, witali ich kwiatami. A już parę dni później tych samych Żydów naznaczono czerwoną farbą z tyłu na marynarkach (nie było jeszcze opasek) i zapędzono do odgruzowania ruin kina „Grażyna”. Pilnował ich gestapowiec czy ss-man ze stalowym prętem osadzonym w drewnianej rączce.

*dokończenie na s. 17*



Autor w latach młodzińskich, jeszcze we Lwowie (1953)

Ks. Józef Pyrek SDS

# ŻOŁNIERZ I WYCHOWAWCA

*Józef Ignacy Dublewicz (1902–1976)*

Życie i czyny tego człowieka bardzo ściśle wiążą się z dziejami Polski XX wieku. Józef I. Dublewicz był jednym z tych kresowych Polaków, którzy od najmłodszych lat marzyli o Polsce niepodległej i czynili wszystko, co było w ich mocy, by Polska niepodległość odzyskała i nigdy tej niepodległości nie utraciła. Doświadczył radości czynnego uczestnictwa w dziele przywracania Polsce niepodległości i wielkiej goryczy jej ponownej utraty, nadto wielu udręk zadanych jemu samemu i jego bliskim przez sowieckiego agresora i okupanta ziem polskich. Kiedy jego syn, ks. Leszek Dublewicz SDS, przemawiał w czasie pogrzebu swego ojca, powiedział: *Nasza obecność tutaj w kościele<sup>1</sup>, to nie tylko oddanie ostatniej posługi Zmarłemu: to hołd złożony pokoleniu, które odchodzi. Pokoleniu, którego życie wypełnione było walką o Polskę wolną i niepodległą. To pokolenie, które urodziło się w niewoli, pragnęło wolności jak powszedniego chleba, i o tę wolność walczyło. Mówiąc następnie o losach pokolenia, do którego należał jego ojciec, powiedział o nim: Uczestniczył w kampanii wrześniowej, dzielił los Sybiraków w Republice Komi, w strefie podbiegunowej, a potem los żołnierzy tułaczy przez Irak, Iran, Egipt, Palestynę, aż do Italii, gdzie brał udział w walkach o Monte Cassino. Daleka i krwawa była droga do Ojczyzny tych żołnierzy tułaczy, a przecież w Kraju nie zawsze płacono im wdzięcznością i uznaniem. Nie pozwolono na klepsydrze mego Ojca wydrukować, że był żołnierzem i że o Polskę walczył. Mogli jednak mieć satysfakcję, że Boga i Polski nie zdradzili. I temu odchodzącemu pokoleniu chcemy dzisiaj złożyć hołd.*

## DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ

Był synem wielodzietnej rodziny Władysława Dublewicza i Gizeli z domu Szagor. Urodził się w Buczaczu w 1902 roku. Miał siedmioro rodzeństwa – dwóch braci i pięć siostr. Ojciec był pracownikiem kolejowym. Z pracą tą wiązały się dość częste przenosiny. Pierwszych pięć lat życia upłynęło jednak Józefowi w Buczaczu. Potem cała rodzina przeniosła się do Chodorowa, a następnie do Körösmeza – Jasin nad rzeką Cisą, wreszcie do Stanisławowa. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa w 1914 roku, ojciec został posłany w inne miejsce (na Zachód), rodzina pozostała w Stanisławowie. Brakowało środków do życia i młody chłopiec musiał wykazać się wielką przedsiębiorczością, by rodzina mogła przetrwać ten trudny czas. Uciekając przed drugą inwazją Rosjan, przenieśli się do Zatora w powiecie oświęcimskim. Józef ukończył tam szkołę podstawową i rozpoczął naukę w Seminarium Nauczycielskim w Kętach. Ponieważ pobyt w Zatorze nie trwał długo i cała rodzina powróciła do Stanisławowa, Józef został uczniem

Seminarium Nauczycielskiego w tym mieście przy ulicy Trynitarskiej.

## MŁODOCIANY ŻOŁNIERZ

Wydarzenia wojenne i patriotyzm za władnęły wyobraźnią i sercem chłopca. Nie prosząc rodziców o pozwolenie, pod koniec października 1918 roku wybrał się z kolegą do Krakowa. Tam zgłosił się jako ochotnik w wojskowym Tajnym Komitecie Werbunkowym przy ulicy Rajskiej. 1 listopada 1918 roku wziął udział w rozbrajaniu austriackich żołnierzy na krakowskim dworcu głównym. Jeszcze bez munduru, z białą-czerwoną opaską na ręce. Po dwu tygodniach, już jako członek kompanii wojskowej, pospieszył do Przemyśla, by wziąć udział w wyzwoleniu go z rąk Ukraińców. Zapamiętał pewien epizod, który opowiedział po latach synowi Leszkowi: *Postawiono mnie na warcie na cmentarzu i zupełnie zapomniano o tym, aby mnie zmienić. Było to dla mnie, jako młodego chłopca, dość duże przeżycie i zapisało się trwale w pamięci.*

Wyzwoliwszy Przemyśl, należało zatroszczyć się o Lwów. Zmierzając do Lwo-



Józef I. Dublewicz w latach międzywojennych

wa, walczyli z Ukraińcami w Medyce, w Sądowej Wiszni i pod Gródkiem Jagiellońskim. 21 listopada wysiedli z pociągu pancernego na dworcze głównym we Lwowie. Witła ich bardzo serdecznie ludność polska. Trwał rozejm, który skończył się nazajutrz. Walki rozgorzały na nowo na ulicach miasta. W dniu 23 listopada nad ranem Lwów był wolny. Otrzymali kwatery w koszarach na Łyczakowie, a kilka dni później w Pasiekach i Sichowie.

Nasz młodociany żołnierz walczył w oddziałach, które w późniejszym czasie otrzymały nazwę V Pułku Legionów. Walki z Ukraińcami trwały przez całą zimę. W maju 1919 r. rozpoczęła się przeciw nim ofensywa. Józef Ignacy szedł ze swoim oddziałem w stronę Winnik, później zaś w stronę Dunajowa, Pomorzana, Przemyślan i Jeziernej. Wyzwoliwszy Tarnopol, musieli go po kilku dniach opuścić. Doszli pod Złoczów i stamtąd rozpoczęli kontrofensywę. W ciężkich walkach pod wsią Gologóry jego oddział poniósł wielkie straty. Walczyli następnie pod wsią Pieniaki, uwalniali ponownie z rąk Ukraińców Tarnopol, by wciążyć z nimi walcząc, dojąć do Zbrucza.

## **BOJE I PRACA W SŁUŻBIE POLSKI NIEPODLEGŁEJ**

Kiedy walki z Ukraińcami dobiegły końca, pułk Józefa Ignacego powrócił do Warszawy i został zakwaterowany przy ulicy

Nowowiejskiej. Jesienią 1919 roku nasz młodociany żołnierz został z wojska zwolniony i powrócił do domu. Tam podjął przerwana naukę, lecz wkrótce znow ją porzucił, ponieważ uznał za potrzebne zaangażować się w działalność plebiscytową na Spiszu i Orawie. Mieszkając w Nowym Targu, z myślą o dobru Polski prowadził razem z innymi ochotnikami akcję uświadamiającą wśród mieszkańców spiskich i orawskich wiosek. Jednakże i tę pracę przerwał: powrócił do Stanisławowa, by stanąć do walki przeciw atakującym Polskę bolszewikom. Zgłosił się jako ochotnik w 14 Pułku Ułanów. Pułk ten udaje się najpierw do Lwowa, a potem do Warszawy. Uzupełnia swoje zaopatrzenie w broń i konie, aby wyruszyć następnie na front. Stacza walki z kawalerią Budionnego. Uwolniony od wroga Zamość i Hrubieszów, kieruje się w stronę Bugu, Styru i Horynia. Za walki nad Horyniem Józef Ignacy otrzymał Krzyż Walecznych. Właśnie tam, nad Horyniem, kawaleria Budionnego poniosła klęskę. Stamtąd 14 Pułk Ułanów został przetrzucony na front litewski: najpierw pociągami do Białegostoku, a potem marszem konnym.

Nasz młodociany ułan przeżył w czasie tej drogi dramatyczną przygodę. – *Jechałiśmy – mówił do swego syna Leszka – pociągami towarowym: żołnierze w wagonach razem z końmi. Każdy musiał swego konia doglądać. Którejś nocy konie rozszarpały moje buty, zostałem więc bez butów. Bardzo to smutny widok – maszerujący boso żołnierz. Konia mojego zabrano do taborów, a ja szedłem boso za wojskiem. Jeden z kolegów pożyczył mi jakieś zniszczone łapcie, ale musiałem mu je oddać, bo znalazł na nie kupca i sprzedał je. Bardzo ciężko idzie się na bosaka, zwłaszcza jeżeli człowiek nie jest do tego przyzwyczajony. Nie mogłem nadażyć za szwadronem. Ostatecznie pozostałem w tyle i szedłem sam, oddalony o jakieś kilkadziesiąt kilometrów za wojskiem. Udało mi się jednak jakoś zdobyć buty. Dołączyłem do szwadronu, ale mój marsz na bosaka wyniósł około 100 kilometrów.*

Z Białegostoku marszem konnym pułk osiągnął Lidę, potem kolejno: Grodno, Wołkowysk i Olkienniki. W Olkiennikach musiał podjąć walkę z partyzantką litewską. Walka ta trwała kilka tygodni.



## DALSZE KSZTAŁCENIE SIĘ I PRACA NAUCZYCIELSKA

Po ustaniu walk z partyzantką litewską Józef Ignacy został zwolniony z wojska – wciąż był żołnierzem małoletnim – i powrócił do Stanisławowa. Tam podjął naukę w Seminarium Nauczycielskim i w roku 1923 zdał egzamin dojrzałości. Wkrótce rozpoczął pracę nauczycielską w Chrzanowie, potem w Jaworznie. Równocześnie studiował – ale tylko przez rok – na Uniwersytecie Jagiellońskim jako wolny słuchacz. Po roku wraca na Kresy i podejmuje pracę nauczycielską w Chocimierzu, a następnie w Budzynie (powiat tłumacki). Tam udoskonalili również swoje umiejętności wojskowe. Po przeszkoleniu w szkole podchorążych w Gródku Jagiellońskim został awansowany na stopień podporucznika. Dalsze trzy etapy jego szkolenia wojskowego wiążą się z Toruniem, Warszawą i Zambrowem. 8 stycznia 1929 roku zawiera związek małżeński z Malwiną Głowacką, nauczycielką szkoły powszechnej w Igrzyskach (powiat tłumacki). Przenoszą się do Doliny nad Dniestrem (także powiat tłumacki), gdzie nasz Józef Ignacy objął stanowisko kierownika szkoły. Dolina to położona na żyznej ziemi wioska ukraińska. Nie miała wówczas prądu elektrycznego, radio Dublewiczów było tam radiem jedynym.

W Dolinie urodziły się ich dzieci: Zofia, Leszek i Danuta. Jako nauczyciel Józef Ignacy prowadził również w tym rejonie działalność społeczną: zaplanował i doprowadził do końca budowę domu strzeleckiego w Budzynie. W roku 1938 rozpoczął w Dolinie budowę nowej szkoły. Dokończeniu jej przeszkodziła wojna. Oboje z żoną prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Mieli ogród warzywny, hodowali drób, krowy, świnie, mieli własną pasiekę. W pracy pomagały im trzy kobiety z wioski, zatrudnione odpłatnie. W marcu 1939 roku podrzuciono Dublewiczom listy pisane po ukraińsku: były w nim pogrożki i żądania, w tym żądanie zdjęcia ze szkoły Orła Białego. Po kilku dniach szkoła spłonęła.

Dublewiczowie przenieśli się do Peczyńżyna pod Kołomyją i zamieszkali tam u ro-

dziców Józefa Ignacego, potem do krewnych Malwiny w Tyśmienicy. Tam zastała ich druga wojna światowa. Józef Ignacy, jako oficer rezerwy, zgłosił się 1 września 1939 r. w swej jednostce wojskowej, czyli w 48 Pułku Piechoty w Stanisławowie. Otrzymał stanowisko dowódcy batalionu i z nim wyruszył do Stryja. Niektóre oddziały wzięły udział w walce z Niemcami między Stryjem a Przemysłem. Gdy w dniu 17 IX wkroczyły do Polski wojska sowieckie, oddziały polskie rozproszyły się. Niektóre przeszły w pełnym składzie osobowym na tereny węgierskie. Tam znalazł się również Józef Ignacy. W Wyszehradzie podjął decyzję powrotu do Polski, by zadbać o brzoń Związku Strzeleckiego w Tłumaczu. Nadto chciał odwiedzić własną rodzinę i rodziny kolegów.

## WIEZIEN SOWIECKIEGO AGRESORA I OKUPANTA

Znajomy cioci Ignacego Józefa przeprowadził go wraz z kolegą przez Karpaty. W miejscowości Zielona (na granicy węgiersko-polskiej) zostali pochwyleni przez sowiektów i osadzeni w piwnicy starego domu w Nadwórnej. W dzień wigilijny 1939 r. dołączono ich do transportu, zmierzającego w głąb Rosji. W bardzo trudnych warunkach, w bydlęcych wagonach, dojechali do Odessy, gdzie osadzono ich w więzieniu. W celach przeznaczonych dla jednej osoby umieszczano cztery do pięciu osób. Byli budzeni w nocy i przesłuchiwani. Od Józefa Ignacego zażądano podpisania wyroku na samego siebie – bez orzeczenia sądu – na pięć lat ciężkich robót w północnej Rosji.

W lipcu 1940 r. włączono go do transportu zmierzającego przez Kijów, Charków, Moskwę, Gorki i Kirów do miasteczka Ko-



Józef i Malwina Dublewiczowie z dziećmi

łas nad rzeką Dźwiną. Dalszą podróż odbyli na barkach, później pieszo i pociągiem przez Uchtę (Republika Komi). Tak dotarli do tajgi w okolicach Workuty nad rzeką Peczorą. Był to już wrzesień 1940 roku.

Otrzymali rozkaz wybudowania sobie szałasów, a potem pracowali przy budowie linii kolejowej. Jedną z największych udręk – oprócz ciężkiej pracy – był głód. Temperatury dochodziły do  $-60^{\circ}\text{C}$ . Prześladował ich też skorbut. Śmierć zbierała obfite żniwo. By sobie pomóc w dostępny w istniejących warunkach sposób, więźniowie moczyli sosnowe szpilki w wodzie i wodę tę pili. Józef Ignacy doszedł do stanu tak wielkiego wyczerpania sił, że stał się niezdolny do pracy. Umieszczono go w szpitalu, gdzie przeleżał trzy tygodnie. Nikogo tam nie leczono, lecz można było przynajmniej nieco odpocząć. Potem posłano go znów do pracy, ale nie żądano wykonywania norm.

## ŻOŁNIERZ WOJSKA POLSKIEGO NA OBCZYNI

We wrześniu 1941 r. pojawiła się dla Józefa Ignacego – i wielu innych Polaków – możliwość opuszczenia sowieckiego łagru, by wstąpić do organizowanej w rejonie Kujbyszewa polskiej jednostki wojskowej. Józef

Ignacy, razem z innymi Polakami, pragnął z tej możliwości skorzystać. Dlatego udał się w kierunku miejscowości Tockoje i Buzułuk. Czekają go liczne i trudne próby, m.in. ta, że musieli mieszkać pod namiotami, gdy mróz osiągał  $-40^{\circ}\text{C}$ . W lutym 1942 r. zostali przeniesieni do Uzbekistanu, do miejscowości Guzar (okręg Buchara). Tam mieszkali w ziemiankach. Tyfus dziesiątkował przebywających w tym rejonie Polaków. Kolejnym etapem była dla nich Persja, czyli najpierw podróż do Krasnowodska (nad Morzem Kaspijskim), potem kwarantanna w Achmacie i Teheran. Etapy kolejne to Karaczi, Aden, Morze Czerwone, Kanał Sueski i – już w Palestynie – Gaza. Tam nastąpiła reorganizacja armii polskiej. W skład II Korpusu Polskiego weszła wówczas Brygada Karpacka, która walczyła pod Tobrukiem.

Trwało intensywne szkolenie. W wolnym czasie można było odwiedzać miejsca święte w Betlejem, Nazarecie, Kafarnaum, Jerozolimie, górę Tabor, jezioro Genezaret.

Kolejnym etapem II Korpusu Polskiego była miejscowość Kanakin w Iraku, gdzie temperatura sięgała  $+50^{\circ}\text{C}$ . Po trwającym rok pobycie w Iraku, Korpus powrócił do Egiptu – tam rozbił namioty blisko Kairu.

*Dokończenie w następnym numerze*

## Archiwum

# BUDOWNICTWO WOJSKOWE



Strażnica KOP w Okopach św. Trójcy (1927)

Wpadł nam w ręce przedwojenny numer czasopisma „Architektura i Budownictwo” z 1933 r. (nr 10–12, Warszawa), poświęcony w całości budownictwu wojskowemu – starym i nowemu (nowo realizowanemu w tamtych latach).

Znaleźliśmy m.in. zamki obronne w Brzeżnach i Tarnopolu. Tego pierwszego – poza fragmentami murów – dziś już prawie nie ma, walił się na naszych oczach jeszcze w latach 90. Stoi jeszcze ruina bezcennego kościoła zamkowego, ale i ona niebawem runie, mimo że ciągle odzywają się głosy (także nasze, kilkakrotnie w CL), by ratować ten zabytek, bez skutku.

Są też nowo zbudowane wtedy: kościół garnizonowy w Łucku (dziś czynny, jako parafialny), dom wypoczynkowy w Truskawcu, tereny sportowe we Lwowie oraz strażnica KOP w Okopach św. Trójcy – ten obiekt też wart jest pokazania. Czy jeszcze istnieje? Raczej wątpliwe.

Opisany numer AiB przekazaliśmy do Muzeum Niepodległości w Warszawie.



Tadeusz Stec

# ZE SZCZĘPCIEM I TOŃCIEM NA WOJENNEJ „LWOWSKIEJ FALI”

*Poniższy tekst ukazał się w „Gazecie Krakowskiej” nr 72 z 25 marca 1989 r. Po ponad 16 latach pozwalamy go sobie przedrukować.*

**D**o mniej znanych kart z dziejów naszych sił zbrojnych na Zachodzie w czasie II wojny światowej należą losy Czołówki Teatralnej Wojska Polskiego „Lwowska Fala”. Był to zespół artystyczny, który dzieląc żołnierską dolę Polaków w Rumunii, Anglii, Francji, Włoszech, Holandii, Belgii i w Niemczech – rozjaśniał muzyką i piosenką wojenne dni naszym rodakom. Każdy żołnierz spod biało-czerwonego sztandaru czuł się pokrzepiony na duchu, gdy z estrady spłynęły słowa nawet tak proste jak ta piosenka:

*Choć na tułaczkę wygnał los nas  
wszystkich zły,  
Powrócą znowu szczęścia wolności dni.  
Ojczyzna zbiera rozproszone dzieci swe  
I w zapomnienie pójda złej tułaczki dnie.*

Członkami zespołu byli niezapomniani Tońcio i Szczepcio – znani starszemu pokoleniu z przedwojennych radiowych programów rozrywkowych „Wesoła Lwowska Fala”. Okazją do poznania ich przez młodszą generację był niedawno pokazywany w telewizji przedwojenny film *Włóczęgi* z udziałem tychże właśnie ulubieńców publiczności, a także rozmowa Jerzego Janickiego z mieszkającym w Anglii Tońciem<sup>1</sup>.

Niełatwo jednak po tylu latach znaleźć w kraju kogoś, od kogo można by usłyszeć relacje i wspomnienia z pierwszej ręki na temat Czołówki Teatralnej WP „Lwowska Fala”. Okazało się jednak, że nie trzeba było szukać daleko, bo osobą, która od początku do końca była członkiem tego zespołu, jest mieszkaniec Krakowa, dziś 83-letni Stanisław Wasiuszyński<sup>2</sup>. Urodził się i wychował w samym centrum Lwowa i jest jednym z nielicznych już żyjących obrońców tego miasta w 1918 roku, z grupy słynnych Orłąt Lwowskich. Do ósmego roku życia umiał posługiwać się tylko gwara lwow-

ską. Jako absolwent Akademii Handlowej doszedł do posady dyrektora uzdrowiska w Niemirowie Zdroju<sup>3</sup>. Studiując w akademii skończył szkołę dramatyczną i występował w teatrach amatorskich Lwowa, m.in. na scenie „Semafor”. Poznał wówczas twórcę „Wesołej Lwowskiej Fali” Wiktora Budzyńskiego, bo Tońka poznał jako chłopaka swojej kuzynki, a ze Szczepciem zetknęli się jako weselni drużbowie. Tońcio wywodził się z lwowskiej żydowskiej rodziny przesiąkniętej duchem patriotyzmu. O jej przywiązaniu do Polski świadczy najlepiej to, że ojciec Tońka, jako naczelnik urzędu skarbowego we Lwowie, gdy upadła Austria, przechował wszystkie pieniądze ze skarbcza i oddał je rządowi niepodległej Polski.

– Wkrótce po wybuchu wojny – opowiada pan Wasiuczyński – w wojskowym mundurze wraz z grupą kolegów z Polskiego Radia ze Lwowa znalazłem się w rumuńskiej miejscowości Buzau w obozie dla internowanych. Już w połowie października 1939 r. Budzyński otrzymał propozycję zorganizowania czegoś w rodzaju dawnej „Wesołej Lwowskiej Fali” i przygotowania jakiegoś programu. Po naradzie z zespołem Tolo poszedł do kawiarni – najlepiej pisało mu się przy kawie – i wrócił z przepięknym poematem, który nazwał *25 słów*. Muszę tu wyjaśnić, że władze rumuńskie dzięki staraniom YMCA zgodziły się, że każdy z nas za pośrednictwem Czerwonego Krzyża może przesłać do kraju wiadomość, nie przekraczającą jednak *25 słów*.

*... Dano ci bracie blankiet biały,  
Linijek na nim tak mało,  
Gdyś jednak dotknął ołówkiem, serce  
zadrżało...*

*... i napisałeś „Jam zdrów”...  
Już dwa! – a wolno dziś tylko dwadzieścia  
pięć słów.*

*Adres – to cztery, o zdrowiu te dwa,  
O matce...? nie starczy ci słów...  
A o tęsknocie?*

Każdy spektakl naszego teatru w czasie wszystkich późniejszych występów na frontowych drogach robił na widzach wielkie wrażenie, wstrząsał ludźmi, przełamywał w nich beznadzieję, szok i załamanie – wywołane klęską wrześniową i oddaleniem od domów. W czasie tych naszych wieczornic były chwile, kiedy zanikał podział na scenę i widownię. Niezapomniane chwile przeżyliśmy w Targoviste, gdzie śpiewaliśmy wraz z ogromną widownią (półtora tysiąca chłopów) piosenkę *Wrócimy...*

*Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni  
i marzy,  
Wrócimy tam wszyscy razem, młodzi i starzy,  
Wrócimy tam, żeby zerwać Ojczyźnie  
kajdany,  
Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz  
kraj kochany!*

Podobnie było w innych obozach internowanych, w których występowała „Fala”: w Turnu-Severin, w Pitesti, w Caracal, Craiovej, w Bukareszcie, w Comisani-Vacaresti, Targu-Jiu. Pozaartystycznym sukcesem zespołu w Rumunii było wywiezienie pod dekoracjami i rekwizytami co najmniej 10 Polaków, którzy pragnęli przedostać się na Zachód.

Później była Francja. Tam właśnie, w miejscowości Coëtquidan (nazywaliśmy ją koczkodan) staliśmy się teatrem żołnierskim i otrzymaliśmy nazwę: „Polowa Czołówka Teatralna nr 1 Lwowska Fala”. Kierownikiem i duszą teatru był Wiktor Budzyński, tworzył on większość tekstów, które pisał z niewiarogodną łatwością. Szczepko i Tońko we Francji nie mieli już takiego powodzenia w przedstawianiu skeczów w stylu lwowskim jak w Rumunii, bo oprócz lwowiaków w oddziałach polskich służyli także żołnierze z innych części kraju. Dlatego największą furorę w zespole robił Józek Wieszczyk – wielki talent estradowy – nowosądeczanin, mistrz w *godkach* i *śpiwkach* w gwarze góralskiej. Słynął także z umiejętności znakomitego naśladowania głosu zwierząt, ptaków, a także ludzi.

W Port Le Verdon pod Bordeaux zespół „Lwowskiej Fali” przeżył gorzkie klęski francuskiej w wojnie z Niemcami i niepokój oczekiwania przez kilka dni i nocy na przewóz do Anglii. Odplynęli na starym frachtowcu

„Clan Fergusson” w składzie I Dywizji Pancernej, by wylądować w Liverpoolu, gdzie witano ich z wielkimi honorami.

– Proszę sobie wyobrazić – wspomina pan Wasiuczyński – że Brytyjczycy przedstawiali się z Francji do Anglii często już bez broni, a niekiedy nawet w białym, my natomiast lądowaliśmy na angielskim brzegu z pełnym uzbrojeniem, co na witających nas władzach i ludności robiło wielkie wrażenie. Było to w lipcu 1940 roku.

Stanęli w utworzonym obozie w Szkocji w hrabstwie Lanark. Już we wrześniu w jedynej kinie przyobozowego miasteczka wystawili rewię *Fish and Chips* (ryba z frytkami). Gdy w kilka dni potem występowali u Ułanów Jazłowieckich, ogłoszony został alarm, bo rozniosła się pogłoska, że w pobliżu wylądowali niemieccy spadochroniarze. Po półgodzinie alarm odwołano i w dużym namiocie – mimo wiatru i deszczu – odbyło się przedstawienie w niczym już nie zakłóconej wesołości.

*Gdy język łamiesz dziś na „English speak”,  
Umiesz: „I love you”, znasz miłosny trick,  
Gdy „very nice girl” ciebie chce,  
Pamiętaj tylko o tym, że:*

*Raz! Naprzód! Śmiało!  
Gdy piosenka wesoło brzmi,  
Co nam zostało  
W te szkockie deszczowe dni?*

Przeglądałam zachowane z tamtych czasów fragmenty kroniki teatru, napisanej przez członka zespołu Ludwika Bojczuka.

*19 IV 1941 r. Graliśmy dla lotników dwóch dywizjonów bombowych. Atmosfera u nich wspaniała. Po przedstawieniu zaproszono nas na start do lotu operacyjnego na Niemcy... Nie przynieśliśmy im pecha: wrócili wszyscy szczęśliwie po wykonaniu zadania.*

*24 IV 1941 r. Dzisiejsze przedstawienie poświęcone jest dywizjonowi myśliwskiemu 303. Zaczynaliśmy z treścią, ale sławni lotnicy byli bardzo szczerzy i serdeczni. Byliśmy i my bardzo szczęśliwi, że mogliśmy naszym przybyciem urozmaicić kilka godzin ich niespokojnego żywota.*

*14 IX 1941 r. Dziś odwiedziliśmy pierwszy transport polskich ochotników z Ameryki Południowej. Niezapomniane było to przedstawienie i po nim długie rozmowy w świetlicy.*

8 V 1942 r. Daliśmy występ dla załogi „Kujawiaka” przed wyruszeniem w morze. Spędziliśmy bardzo miło popołudnie na pokładzie, a nasz wieczorny występ zgromadził marynarzy także z innych okrętów polskich.

2 VI 1942 r. „Lwowska Fala” występuje przed żołnierzami, którzy powrócili z Rosji. Gramy w sali, gdzie chwilowo obozują i odpoczywają po długiej i ciężkiej udręce. Na sali śmiech miesza się ze łzami. I trudno samemu wytrzymać na estradzie, aby w sposób niezgodny z obyczajem teatralnym po prostu nie rozbeczeć się.

Nadeszła pora inwazji w Normandii. Teatr wraz z wojskami inwazyjnymi znalazł się we Francji, a potem trasa wiodła przez Belgię i Holandię, które wyzwolone zostały przez oddziały gen. Maczka. Stąd wrócili ponownie do Anglii. „Fala” jako zespół istniała jeszcze do 1946 roku. – Jak panu powiem – wyznaje p. Stanisław – że było tych przedstawień kilkadziesiąt, graliśmy na trawie, pod namiotami, w hangarach, na polu, gdzie się tylko dało, gdzie był tylko żołnierz, na naszych statkach, na „Sobieskim”, na „Batorym”, na „Gardlandzie” i na okrętach podwodnych, w bunkrach – to będzie jasne, że nazwa „Polowa Czołówka” nie była nam dana za darmo. Pamiętam przedstawienie w Bredzie pod ostrzałem bomb. Nie zapomnę nigdy wyprawy Józka Wieszcza, Szczepka i Tońka na samą linię frontu, do bunkrów Pierwszej Polskiej Dywizji Pancerniej nad brzegiem rzeki Mozy, za którą tuż byli Niemcy.

Występowaliśmy z naszym repertuarem w języku angielskim dla zgrupowań żołnierzy brytyjskich i amerykańskich. Miał w takim programie swoją popisową rolę Tońcio w jednym ze skeczów, przyjmowanych przez Anglików i Amerykanów huraganowymi oklaskami. Graliśmy też dla nich „Wesele” Wyspiańskiego, choć z uwagi na nieprzetłumaczalność tego dramatu na angielski po-

szczególne sceny były objaśniane przez spikera.

Gdy wspominam o Tońciu – do repertuaru naszego teatru w przedstawieniach dla polskich żołnierzy, włączana była bardzo często piosenka Tońka pt. „Serce dla Lwowa”.

A ja bym tak chciał posłać  
serce moje –  
daleko, do Lwowa.  
Zapytać czy Wysoki Zamek stoi,  
gdzie Niuško się chowa?  
Czy pod Ratuszem jeszcze siedzą lwy,  
jak dawniej...  
Czy w nocy grają lwowskie tam zegary?  
I gdzie batiary nasze są?

W teatrze obok wymienionych członków zespołu byli z nami jeszcze Mira Grelichowska, wielce utalentowana Włada Majewska – nazywana lwowską Ordonką, Halina Wiktoria Zakrzewska, Henryk Hausman, Wincenty Rapacki i Tadeusz Fabiański<sup>4</sup>. Przez cały czas w zespole byli Szczepko i Tońko (obaj sami pisali sobie teksty monologów), choć z pewnymi przerwami, bo obaj niestety

**SZCZEPKO I TOŃKO W GDAŃSKU**

---

Znani polscy humorysty i radłowi (ballery Lwowskie)

**Szczepko i Tońko**

oraz chór męski „Echo Macierz” ze Lwowa pod dyktando  
J. Kotłackowskiego wystąpią gościnnie

**w piątek, dnia 9 czerwca o godz. 20 -tej**

w nowej sali Gimnazjum im. J. Piłsudskiego Gdańskiej  
Macierzy Szkolnej w Gdańsku, Am Weissen Turm 1.

Bilety w cenie od 1.— do 5.— G. dla młodzieży szkolnej 0.50 są wazennie  
do nabycia w Biurowi Gdańskiej Macierzy Szkolnej, Am Olivaertor 2/4  
tel. 270-03, w Księg. Kol. „Ruch” Kassubischer Merit 21 tel. 279-00 i  
w Księg. Cebrlińskiego nast. J. Piterczyk Töpfergasse 30 tel. 229-78.

---

Całkowity dochód z imprezy przeznaczony będzie na wysiłki dzieci na  
kolonie letnie w Kraju oraz na Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża  
w Gdańsku.

H. Goprowski, Gdansk

ciężko chorowali. Tońko po wojnie pozostał w Anglii, gdzie mieszka do dziś<sup>5</sup>, podobnie jak Włada Majewska. Szczepko wrócił do kraju i przyjęty został, o dziwo, do Polskiego Radia w Warszawie, gdzie prowadził audycje „Przy sobocie po robocie”. Kupił sobie samochód „dekawkę”, umarł nagle za kierownicą na wylew krwi do mózgu. Było to 8 maja 1955 r., miał 50 lat. Miesiąc wcześniej w Krakowie zmarła jego matka. Gdy Szczepko był na jej pogrzebie, wyraził życzenie, że też chce być pochowany w Krakowie. I tu jest jego grób. W Krakowie mieszka siostra Szczepka – pani Kondolewicz, która dożyła sędziwego wieku<sup>6</sup>. Spośród członków zespołu nie żyje Wiktor Budzyński i Józek Wieszczyk.

**A** powojenne losy Stanisława Wasieczki?

– Wróciłem do kraju w maju 1947 r., choć gdybym został w Anglii, miałbym lepszy start od innych zdemobilizowanych żołnierzy, bo miałem zawód. Proponowano mi pracę w Wielkiej Brytanii pracę w lecznictwie uzdrowiskowym. W kraju czekała jednak żona z córeczką i dwoma synami, która jako repatriantka osiadła we Wrocławiu. Kiedy więc znalazłem się w tym mieście, zabrałem się do uruchomienia miejskiego zakładu kąpielowego – jednego z największych wówczas typu obiektów w Europie. Otrzymałem

od władz miasta angaż na stanowisko naczelnego dyrektora tego zakładu. Ale kiedy w 1950 r. zaczęto interesować się moim pobytem w Anglii, przeczuwając na co się zanoszą, sam poprosiłem o zwolnienie. I wówczas Edward Osóbka-Morawski – szef uzdrowisk w Polsce – zaproponował mi pracę w Krakowie, gdzie uruchomiłem uzdrowiska w Swoszowicach i Matecznym, lecz w roku 1955 zostałem zwolniony. Półtora roku chodziłem bez pracy, aż otrzymałem ją dzięki panu Krejczemu, w Biurze Projektów Cementu i Wapna, jako kierownik działu obsługi technicznej. Przepracowałem tam 16 lat – do emerytury.

Jeżeli dożyliśmy z żoną do naszych lat, to chyba przede wszystkim dlatego, że dobrze układało się nam życie rodzinne. Z naszych trojga dzieci – jeden syn jest aktorem w Radomiu, drugi syn samochodziarzem – specjalizuje się w naprawie volkswagenów, córka (najstarsza z całej trójki – jest na emeryturze), była nauczycielką w Ostrołęce. Mam dorosłych, wykształconych wnuków.

Gdy ostatnio zawiązywało się w Krakowie Towarzystwo Miłośników Lwowa<sup>7</sup>, proponowano mi kandydowanie w wyborach do zarządu, ale odmówiłem. Są ode mnie trochę młodszy, mogą jeszcze z siebie więcej dać. Udało mi się odwiedzić po wojnie Lwów, gdzie zajrzałem także do zarządzanej przeze mnie łaźni miejskiej. Zastąpiłem jeszcze

## Osiemdziesiąt lat temu

W swoim codziennym kalendarium krakowski „Dziennik Polski” (257/04) przypomniał pod datą 2 listopada:

1925 – w Warszawie odbył się pogrzeb Nieznanego Żołnierza. W grobie na placu Saskim złożono uroczystie prochy nieznanego obrońcy Lwowa. Grób zaprojektował art. rzeźbiarz Stanisław Ostrowski. Miasto złożyło hołd po raz pierwszy zastosowanym kilkunastominutowym powszechnym milczeniem.

Jak pamiętamy, zwłoki Nieznanego Żołnierza zostały wzięte z poboju lwowskiego w drodze konkursu kilkunastu najważniejszych pobojuwisk polskich I wojny światowej. Trumnę ze zwłokami – jedną z trzech wystawionych – wskazała pani Stefania Zarugiewiczowa, matka

poległego pod Zadwórzem, lecz nie zidentyfikowanego (patrz CL 3–4/95).

Grób Nieznanego Żołnierza został urządzony w Warszawie w arkadowym podcieniu Pałacu Saskiego. Pałac uległ zburzeniu w czasie II wojny, jednak szczęśliwym trafem ostał się ów podcień z dekoracją rzeźbiarską Stanisława Ostrowskiego, po wojnie odnowioną (dochodzą słuchy, że cały pałac ma być wkrótce odbudowany). Ocalał również pomnik Marszałka Piłsudskiego, wykonany przez Ostrowskiego, i przed paru laty ustawiono go przed Belwedem. Stanisław Ostrowski jest także autorem pomnika Władysława Jagiełły w nowojorskim Central Parku.

Wybitny rzeźbiarz polski, Stanisław Ostrowski (1879–1947), urodzony w Warszawie, pochodził z rodziny lwowskiej i we Lwowie się wychowywał. Był synem również rzeźbiarza, Kazimierza (1848–80), urodzonego we Lwowie, ale jego rodzina wywodziła się z Doliny.



z tamtych czasów pracownika – Iwana. Witając się ze mną, chciał mnie pocałować w rękę. I wtedy pomyślałem, że jeżeli moja żona nie została deportowana ze Lwowa w głąb ZSRR – klasyfikowała się przecież według ówczesnych kryteriów do „pomieszczików” – to głównie dlatego, że cały personel łaźni, której byłem dyrektorem, prawdopodobnie nie powiedział na mnie jednego złego słowa.

Doeszło oczywiście do spotkania z Tońkiem, którego odwiedziłem w Londynie w 1978 r. Cóż to było za spotkanie...

Tadeusz Stec

- <sup>1</sup> Tońcio, czyli Henryk Vogelfanger (który w Anglii zmienił nazwisko na Barker), zmarł w czasie krótkiego pobytu w Warszawie w 1990 r., prochy pochowane w Londynie.
- <sup>2</sup> Stanisław Wasiuczyński zmarł w Krakowie w 1995 r.
- <sup>3</sup> O Niemirowie pisaliśmy w CL 2/04.
- <sup>4</sup> Tadeusz Fabiański zmarł w Krakowie w 1972 r.
- <sup>5</sup> Patrz przypis 1.
- <sup>6</sup> Stanisława Kondolewiczowa z Wajdów, zmarła w Krakowie w 1990 r.
- <sup>7</sup> 1989 r. Nazwa nieco później rozszerzona na *Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich*.

---

## Sam początek dokończenie ze s. 8

Wracając do masakry w więzieniach. Opowiadał Marian Kotula, kolega brata, że w sobotę po południu odważył się wejść do więzienia przy Łąckiego. Nie było nikogo, wszędzie wałały się trupy. Posuwając się w głąb budynku, natrafił na zamknięte drzwi. Uchylił je i włos zjeżył mu się na głowie. Naprzeciw, za biurkiem spał enkawudysta. Głowę w czapce z niebieskim denkiem oparł na złożonych rękach. Marian bał się poruszyć, aby go nie obudzić, stał jak wryty, długo – póki nie dostrzegł, że tamten śpi jak zabity, bo jest zabity – że wydaje się martwy, bo jest martwy. Prawdopodobnie śpiącego ukatrupił „towarzysz broni” rutynowym strzałem w potylicę.

Trup kata wśród ofiar kata...

Przez całe tygodnie Niemcy usuwali ciała. Odór wypełniał ulice, z Brygidek docierał aż do nas na Szumlańskich.

W 1944 czuliśmy go znów – z drugiej strony miasta.

# Z kapitanem Janem Surą

**prezesem Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. „Orląt Lwowskich” Światowego Związku Żołnierzy AK rozmawia Janusz M. Paluch**

**Panie Prezesie, słuchając pana, pomyślałem, że nie udałoby się panu ukryć kresowego pochodzenia!**

Jestem rdzennym lwowianinem! Urodziłem się we Lwowie w 1923 roku i tam spędziłem młodość. I pewnie gdyby nie wojna, mieszkałbym tam do dziś. W 1939 roku ukończyłem gimnazjum i zdałem tzw. „małą maturę”. Zostałem przyjęty do liceum humanistycznego. To było IX Gimnazjum i Liceum im. Jana Kochanowskiego przy ul. Chocimskiej, nieopodal kościoła św. Elżbiety. Po wybuchu wojny do Lwowa wkroczyli sowietzi. Naukę kontynuowałem, ale już nie w polskiej szkole, ale typu sowieckiego. Tam też, w 1941 roku, zdałem maturę.

**Czy już od młodzieńczych lat był pan związany z polskim podziemiem?**

Rzeczywiście, bo od samego początku sympatyzowałem z ruchem narodowym. Pracę konspiracyjną rozpocząłem w 1937 roku...

**Nie pomylił pan dat?! Przecież wojna rozpoczęła się we wrześniu 1939 roku!**

Nie, proszę pana, to były czasy rządów sanacyjnych. Stronnictwo Narodowe było wtedy źle widziane. Poza tym w szkołach nie można było zakładać innych organizacji poza harcerstwem i Sodalacją Mariańską. Ja wtedy wstąpiłem do nielegalnej Narodowej Organizacji Gimnazjalnej, tzw. „NOGA”. Składaliśmy przysięgę, że wszystko utrzymamy w tajemnicy, że niczego nie zdradzimy... Również w gimnazjum pełniłem funkcję prezesa Sodalacji Mariańskiej. Tak więc od samego początku byłem bardzo ściśle związany z ruchem narodowo-katolickim.



**Czyli konspiracyjna działalność w podziemiu nie była dla pana czymś nowym, tyle że przeciwnik był daleko niebezpieczniejszy.**

To prawda. Po wkroczeniu 1939 roku wojsk sowieckich do Lwowa nie zaprzestałem działalności. Niejako automatycznie włączeni zostaliśmy w struktury organizacyjne powołanej już w okupacyjnej konspiracji przez Stronnictwo Narodowe organizacji „Wyzwolenie”. Początkowo zajmowaliśmy się zbieraniem pozostawionej przez żołnierzy broni, którą gromadziliśmy w wielu punktach zbornych. Zakładaliśmy, ba – byliśmy pewni, że ta broń może się kiedyś przydać. Kiedy w 1941 roku do Lwowa wkroczyły wojska niemieckie, też nie zaprzestaliśmy działalności konspiracyjnej. Z organizacji „Wyzwolenie” przeszedłem do Narodowej Organizacji Wojskowej – NOW, która w 1942 roku została scalona z Armią Krajową. Nazywała się „NOWAK”! W tej organizacji ukończyłem kurs szkoły podchorążych rezerwy, uzyskując w 1943 roku stopień kaprała podchorążego. NOW, działająca w ramach AK, posiadała pewną samodzielność, polegającą na tym, że można było podejmować działalność polityczną w ramach Stronnictwa Narodowego. Wiadomo było bowiem, że Armia Krajowa to siły zbrojne Polski Podziemnej, które polityką się nie zajmują. W tym czasie we Lwowie powstała organizacja młodzieżowa przy Stronnictwie Narodowym – Młodzież Wielkiej Polski. Od samego początku byłem członkiem tej organizacji, a od roku 1944 byłem jej kierownikiem organizacyjnym.

**To musiała być bardzo ważna, ale i niebezpieczna funkcja. Opowiada pan o tamtych trudnych przecież czasach w taki sposób, że nie czuje się atmosfery grozy...**

No oczywiście! Wtedy nikt się nad niebezpieczeństwem nie zastanawiał. A dzisiaj? Dzisiaj grozę tamtych lat pokryła patyna czasu... Tak więc w taki sposób dotrwaliśmy do 1944 roku, kiedy wszyscy wzięliśmy udział w Akcji „Burza”. Prawdę mówiąc, w dzielnicy „Śródmieście”, gdzie ja pracowałem, działały cztery plutony NOW. I my właściwie opanowaliśmy całe miasto! Politechnikę – gdzie mieliśmy placówkę, ratusz, okolice katedry łańciskiej... Tak, że sowieci wkraczając do Lwowa 27 lipca, weszli do miasta, które obwieszono było polskimi biało-czerwonymi flagami. Na ulicach znajdowało się mnóstwo żołnierzy AK z opaskami biało-czerwonymi na ramionach. Prawdę mówiąc, w tych pierwszych chwilach sowieci zachowywali się bardzo przyzwoicie. Dziękowali, że ta broń może się kiedyś przydać. Dziękowali, że dzięki nam mogli tak błyskawicznie zdobyć Lwów.

**Brzmi to nieprawdopodobnie! Dlaczego?**

Ponieważ do Lwowa wkroczyły oddziały zmotoryzowane, nie mając w zapleczu żadnej piechoty! Wobec tego skorzystali z pomocy AK, która tę piechotę dała. I właśnie dzięki tej piechocie, która przecież doskonale знаła teren, na którym odbywały się działania wojenne, mogli tak szybko iść do przodu, wypierając Niemców. Gdyby wpadli czołgami do Lwowa, chyba niewiele by zdziałali. Niemcy byli jeszcze dość silni. A i Lwów ucierpiałby o wiele bardziej.

**Jednak ta sympatia sowietów do was dość szybko się chyba skończyła?**

Rzeczywiście. Po tych pięknych przyjaznych układach, jakie wytworzyły się między sowietami a nami, na trzeci dzień do Lwowa wkroczyło NKWD. I wszystko się skończyło. Natychmiast aresztowano komendanta generała Filipkowskiego oraz całą komendę. I rozpoczęło się też wyłapywanie żołnierzy AK... Zresztą we Lwowie było to dość łatwe, bo przecież była tam dość spora grupa Ukraińców. Myśmy ich przed wojną nazywali Rusinami, oni też używali takiej nazwy. Zmiana nazewnictwa pojawiła się, kiedy zaczęły się mordy na Polakach, kiedy powstała UPA (Ukraińska Powstańcza Armia). Nie będę jednak na ten temat się wypowiadał, bo ja działałem we Lwowie i nie



brałem udziału w walkach z bandami UPA, ale przecież wiadomo, ile wsi polskich zostało przez nich spalonych, ile tysięcy Polaków przez nich wymordowanych i to w jak bestialski sposób. Wróćmy jednak do Lwowa... To właśnie Ukraińcy pomagali w tym polowaniu na żołnierzy AK. I tylko wskazywali: ten chodził z opaską! To wystarczyło!

#### **Pana też nie minęło aresztowanie...**

Mnie aresztowali 6 sierpnia. I to w bardzo dziwny sposób. Ukrywałem się, jak wszyscy, którzy mogli obawiać się aresztowania. Przebywałem w mieszkaniu, do którego niby przypadkowo – jak mówili, w poszukiwaniu mieszkania – weszło dwóch oficerów NKWD. Kręcili się po pokojach. Jeden z nich otworzył szafę i z mojej marynarki wyjął „Słowo Polskie”, najświeższy numer z 4 sierpnia. Na pierwszej stronie był artykuł „W »oswobodzonym« Lwowie” opisujący wszystkie aresztowania Polaków. Oczywiście zostałem zatrzymany, przesłuchiwali mnie. Pytali skąd mam gazetę, od kogo dostałem i tak cały czas... Wymyśliłem historijkę, że w każdą niedzielę o 9 rano pod kościołem Marii Magdaleny spotykam nieznanego faceta, od którego otrzymuję świeże egzemplarze gazety. Proszę sobie wyobrazić, że wypuścili mnie, pod warunkiem że wskażę im osobę, która kolportuje pismo. Celowo wybrałem tę godzinę, bo z kościoła po „dziewiątówce” zawsze wychodziły tłumy ludzi. Wiedziałem, że wtedy jest szansa ucieczki, że w tym tłumie ludzi wychodzących z kościoła mogę się zgubić. I udało się! Natychmiast też wyjechałem ze Lwowa, żeby zejść im z oczu. W końcu protokół spisali i wiedzieli, jak wyglądam. Na pewno mnie szukali. Tak nagły wyjazd spowodował, że nie miałem szansy spotkania się z kolegami, żeby dostać kontakty do leśnych oddziałów, które ze Lwowa zostały przerzucone przez San na Rzeszowszczyznę. Do października byłem po drugiej stronie, za Sanem. Oczywiście przez granicę przejechałem sowieckim wozem nielegalnie. Wódka była tam zawsze najlepszym dokumentem. Nie udało mi się trafić do oddziałów leśnych. Z powrotem przez „zieloną granicę” wróciłem do Lwowa, gdzie nawiązałem ponownie kontakty i wróciłem do działalności konspiracyjnej. I tak było do maja 1945 roku. Wtedy ponownie zostałem aresztowany na ulicy. Na szczęście udało

mi się ponownie uciec. Wtedy definitywnie postanowiłem wyjechać. Grunt palił się pod nogami. Nie miałem co jeść ani pieniędzy na utrzymanie. Pracy też nie było.

#### **Wtedy zaczyna się pański krakowski okres życia?**

Tak. Przez zieloną granicę, nielegalnie dotarłem do Przemysła. Tam otrzymałem fałszywe dokumenty, a więc kartę ewakuacyjną ze Lwowa, którą sam musiałem wypełnić, oraz przepustkę wydaną przez komendę w Krakowie. Wychodziło na to, że niby do Przemysła jechałem w sprawach rodzinnych z Krakowa. I dzięki tym dokumentom 16 maja znalazłem się w Krakowie. Tym razem znałem już adresy, pod które miałem się zgłosić. Nawiązałem kontakt ze Stronnictwem Narodowym i Komitetem Ziemi Wschodnich. Od razu też przystąpiłem do współpracy z nimi. Zacząłem też pracę w firmie Bata przy ul. Floriańskiej. Był to sklep obuwniczy. Pracowałem tam i na polecenie władz Stronnictwa Narodowego stworzyłem w tamtym miejscu punkt kontaktowy. To było doskonałe miejsce! Blisko dworca i przewijała się masa ludzi. Był to czas, kiedy do Krakowa przyjeżdżało wiele osób ze Lwowa, którzy docierali do nas bez żadnych dokumentów. Ja miałem bezpośredni kontakt z biurem legalizującym dokumenty. Brałem dane personalne od ludzi, fotografie i wytwarzaliśmy im nowe dokumenty, na podstawie których mogli rozpocząć nowe i legalne życie. I tak było do 3 grudnia 1946 roku. Tego dnia zostałem aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Zostałem przez kogoś „zasypany”. Nie wytrzymał, załamał się i powiedział na przesłuchaniu, co wiedział! Dwa miesiące siedziałem w więzieniu przy Placu Inwalidów. Kiedy zakończyli śledztwo, przewieźli mnie na Montelupich. Zadziwiające dla mnie było to, że byli doskonale poinformowani o naszej działalności. Wszystko wiedzieli! W maju 1947 roku odbyła się rozprawa. Prokurator żądał 7 lat więzienia za prowadzenie punktu kontaktowego i fałszowanie dokumentów. Ale ja miałem niesamowite szczęście! Zresztą nie opuszczało mnie ono przez całą wojnę! Okazało się, że sekretarzem Okręgowego Sądu Wojskowego w Krakowie był ojciec koleżanki mojej żony ze Lwowa. Razem chodziły do szkoły Królowej Jadwigi. Kiedy doszło do rozpra-

wy, to tak pouklądał wszystko, że zostałem skazany na 5 lat i na mocy amnestii wypuszczony na wolność. I w taki sposób skończyła się moja konspiracyjna działalność. W sklepie Bata pracowałem do 1951 roku. Później przeszedłem do pracy w Biurze Projektów Przemysłu Skórzanego, gdzie dotrwałem do emerytury.

#### **To zrozumiałe, był pan spalony!**

Tak. Ale proszę sobie wyobrazić, że pomimo tego, że nie narażając siebie, nie narażałem innych na niebezpieczeństwo, kiedy w Instytucie Pamięci Narodowej zajmowałem się swojej opastej teczki, okazało się, że przez cały czas podlegałem obserwacji! To niewiarygodne, jak oni się bali!

#### **W końcu jednak przyszły czasy powstania „Solidarności” w 1980 roku i w końcu wolność – rok 1989.**

Ja nie działałem w „Solidarności” w roku 1980. Tak się złożyło, że kiedy powstawała „Solidarność” w moim zakładzie pracy, ja byłem na urlopie. Kiedy wróciłem, władze „Solidarności” były już wybrane i pracowały. Jak ja zobaczyłem, kto się tam wepchał... Ja z nimi nie mogłem być w jednej organizacji. Ale w 1989 roku, kiedy powstało Stowarzyszenie Żołnierzy AK w Krakowie, nawiązałem z nimi kontakt, który trwa do dziś.

#### **Przecież to pana zasługa, że w Krakowie powstało koło żołnierzy AK obszaru „Lwów”.**

Nie do końca tak było. W 1991 roku w Krakowie istniało już środowisko żołnierzy AK obszaru lwowskiego, które podlegało Okręgowi „Małopolska” Światowego Związku Żołnierzy AK. Z Zarządu Głównego SZŻAK docierały do nas sygnały, aby założyć „Okręg Lwowski”. W takiej sytuacji przejąłem inicjatywę i doprowadziłem do powołania w ramach naszego związku „Okręgu Lwowskiego”. W grudniu 1991 roku doszło do pierwszego organizacyjnego spotkania we Wrocławiu. Dlaczego tam? We Wrocławiu mieszka najwięcej Lwowiaków i jest tam najprężniejsze środowisko. Na tym spotkaniu powołaliśmy Ogólnopolski Okręg Lwowski Żołnierzy AK, a mnie wybrano na jego prezesa. I trzeba było zająć się sprawami organizacyjnymi. Spotkania, zebrania, korespondencja. Nawiązałem kontakty z już istniejącymi środowiskami, a to w Bielsku-Białej, Gliwicach, Rzeszowie, Warszawie, Poznaniu, Bydgoszczy i Szczecinie. W maju 1992 roku ZG SZŻ AK powołał w swych

strukturach już oficjalnie nasze środowisko. Okręg bez ziemi! W Zarządzie Głównym tak nazywają te nasze wschodnie okręgi – Wilno, Nowogródek, Polesie, Wołyń, Lwów, Stanisławów, Tarnopol – „okręgi bez ziemi”! No rzeczywiście nie mamy tej ziemi! A dalsze działania doprowadziły do tego, że teraz w ramach naszego okręgu w całej Polsce istnieje 12 środowisk! W sumie mamy jeszcze ponad 400 członków! Ale nas ciągle ubywa... Nie ma miesiąca, żeby ktoś nie odszedł...

#### **Jakie główne cele postawiliście przed organizacją?**

Przede wszystkim wypełnienie wszystkich białych plam w historii, by wypełnić nieobecność AK w dziejach Lwowa. Powołaliśmy w naszym okręgu zespół redakcyjno-wydawniczy najpierw Biuletynu Informacyjnego Okręgu Lwowskiego, a później powstał Zespół Wydawniczy Biblioteki Historycznej Lwowskiego Okręgu AK. Biuletyny wydajemy już 15 lat! Zaczęliśmy też wydawać książki – 17 tomów! I w tym miejscu muszę wspomnieć naszego historyka prof. dr hab. inż. Jerzego Węgierskiego. To jest jego wielka zasługa. On jest autorem 9 tomów! Prof. Węgierski został aresztowany w 1946 roku, odsiedział 10 lat w łagrach sowieckich. Wrócił do kraju i z benedyktyńską dokładnością zaczął jeździć po Polsce, odwiedzać żołnierzy AK, o których wiedział i zbierał materiały. Od samego początku nawiązaliśmy też kontakt z kościołem pw. św. Jadwigi w Krakowie na Krowodrzy. Tam zbudowaliśmy Panteon Narodowy Żołnierzy Armii Krajowej. Ostatnio odsłonił tablicę poświęconą płk Tomaszowi Matuszewskiemu. On jest bardzo znanym bohaterem Armii Krajowej we Lwowie. Był komendantem dzielnicy Śródmieście, potem dowódcą oddziałów „Warta” na Rzeszowszczyźnie, które przeszły tam ze Lwowa. Szedł na odsiecz Warszawie! Zostali rozbrojeni. Ale dzięki jego umiejętnościom i pomysłowości, potrafili wydostać się z okrażenia. I proszę sobie wyobrazić, że on swoich ludzi wywiózł do Niemiec jako głuchoniemych Greków, którzy byli tutaj w obozach niemieckich i po wojnie wracali do domu! Załatwił to z misją francuską i przez Czechosłowację udało im się wymknąć spod reżymu sowieckiego. Dotąd umieściliśmy tam 44 tablice pamiątkowe naszych lwowskich żołnierzy, generałów,

oficerów, różnych bohaterów. W roku 2002 w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie otworzyliśmy stałą ekspozycję „Obszar lwowski ZWZ AK”. Udostępniliśmy nasze dokumenty Instytutowi Pamięci Narodowej, Radzie Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa Narodu Polskiego w Warszawie, w końcu Muzeum Powstania Warszawskiego.

**W jaki sposób udało się prof. Węgierskiemu zebrać te materiały? Przecież ludzie cały czas się ukrywali. Nie ujawniali się bardzo długo!**

Tak, to prawda. Nie ujawniali się. Są tacy, którzy do dziś się nie ujawnili. Prof. Węgierski miał swoje kontakty. Pracował w Instytucie Kolejnictwa w Katowicach, dzięki czemu mógł bez większych obciążeń finansowych poruszać się po Polsce. Ludzie, do których dotarł, kiedy tylko nabierali do niego zaufania, przekazywali mu kolejne kontakty. Przecież on nie był obcym człowiekiem, sam się wywodził z tego środowiska. A poza tym, każdy coś przekazał, to informację, to fotografię, albo jakiś dokument. Powstawała swoista układanka!

**Powiedział pan, że jesteście „okręgiem bez ziemi”. Ale przecież ta ziemia istnieje, tak samo jak i miasto Lwów. Czy odwiedzają państwo tamte strony?**

Ależ naturalnie! Systematycznie wysyłamy do Lwowa 60 egzemplarzy naszych biuletynów. Byliśmy też jednym z głównych sponsorów Polskiego Radia Lwów. W 1993

roku zorganizowaliśmy olbrzymią zbiórkę pieniędzy na pomoc dla Lwowiaków, które przekazaliśmy późniejszemu biskupowi Kiernickiemu. Za naszym pośrednictwem syn generała Langnera – generał Langner był przecież dowódcą obrony Lwowa w 1939 roku – dwukrotnie przesyłał z USA transporty odzieży do Lwowa. Jako organizacja nie mamy na te cele żadnych pieniędzy, tak więc wszystko zdobywaliśmy sami. Jeśli potrzebne były pieniądze, to pochodziły z naszych prywatnych budżetów.

**Czy jako organizacja kombatancka nawiązujecie kontakty z młodzieżą, ze szkołami?**

To jest nasza bolączka. Bardzo trudna i smutna sprawa. Jakkolwiek by na to nie spojrzeć, działamy na obcym dla siebie terenie. Nie mieliśmy znajomych, nie mieliśmy doświadczenia do szkół. Tym bardziej że już wcześniej wszystkie zainteresowane szkoły nawiązały kontakty z okręgiem „Małopolska”. Tu w grę też wchodzi patriotyzm lokalny. Poza tym, kiedy mogliśmy zacząć działać, nasze dzieci były już dorosłe. Nie sprościliśmy temu zadaniu... My jesteśmy już na wymarcu... Średnia wieku w naszym kole przekroczyła 80 lat! Ile lat jeszcze będziemy żyć? Chcielibyśmy, by ktoś po nas przejął schedę. Ale nie mamy komu przekazać! Bolejemy nad tym, ale i nic nie jesteśmy w stanie na to poradzić. Pozostają muzea, archiwa i biblioteki...

**Serdecznie dziękuję panu za rozmowę.**

## Archiwum

# Dramaty

II wojna światowa uczyniła wiele krzywd Polakom, nigdzie jednak nie dotknęło to całej społeczności, tak jak na Ziemiach Wschodnich. Oto jeden z „małych” dramatów, opisanych przez Ewę Junczyk-Zioamecką w artykule *Hamtramck* w „Tygodniku Powszechnym” 37/87.

*Romana Konieczna, żołnierz Armii Krajowej ze Lwowa, była aresztowana przez gestapo z 16-letnim synem. Syna zabili na jej oczach, a ją z kilkuniesięcną córką wtrącili do więzienia za przynależność do*

*AK. Kiedy dziewczynka miała 2 lata, gestapo odebrało dziecko pani Koniecznej, a ją samą wysłano do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Po wojnie wyłądownała w Detroit, ale poszukiwania córki kontynuowała przez wiele lat. Wreszcie krewni z Polski odnaleźli ją w Bystrzycy Kłodzkiej, lecz zaadoptowaną już przez obcych ludzi. Na wiadomość, że prawdziwych rodziców ma w USA, nie zdecydowała się na przyjazd, tylko prosiła państwa Koniecznych, aby nie komplikowali jej życia i nie starali się jej zobaczyć w Polsce.*

Można zrozumieć problem niemłodej już dziś kobiety, 2-letniej dziewczynki z lat 1940., o wiele jednak trudniej pojąć brak zrozumienia przez nią nieporównywalnego dramatu jej matki.

**Z** Agnieszka Ciesielka

## *Piosenka z Sybiru*

**S** Ojczyzna nasza, ziemia ukochana  
W trzydziestym dziewiątym cała krwią zalana.  
Nie dość, że Polskę na pół rozerwali,  
Jeszcze Polaków na Sybir zabrali.

**R** Dziesiąty luty<sup>1</sup> będziemy pamiętali,  
Przyszli Sowietci gdyśmy jeszcze spali  
I nasze dzieci na sanie usadzili,  
Na główną stację nas podwozili.

**E** O, straszna chwila, o, straszna godzina  
Rodząca bólów swoich zapomina  
Ale nam onej nie zapomnieć chwili,  
Gdy nas w ciemny wagon jak w trumnę  
wsadzili.

**I** O, żegnaj Polsko, żegnaj chato miła,  
O, żegnaj ziemię, któraś nas karmiła.  
Żegnaj słoneczko i gwiazdy złociste  
My odjeżdżamy ze ziemi ojczystej.

**W** Dni trzy polską ziemią-śmy jechali  
Choć my ją tylko przez szparę<sup>2</sup> żegnali  
Piąty dzień sowiecka maszyna ryknęła  
Jakby sztyletem każdego przeszyła<sup>3</sup>.

Mijają doby, tygodnie mijają.  
Raz na dzień chleba i wody nam dają.  
Mijamy Rosję i góry Uralu  
I wciąż jedziemy i dalej i dalej.

Czwartego marca stanęła maszyna  
Już inny transport z nami się zaczyna.  
Jedziemy autem, a potem saniami,  
Przez śnieżne tajgi, rzekami, lasami.

O, smutna była nasza karawana,  
Kipiatoku z chlebem dali nam co rana.  
Dzieci zmarznięte z sani wypadają,  
A na noclegach umarli zostają.

O, Polska, nasza ziemię, nasza święta,  
Godziwi Twoje syny! Godziwi Twoje orłęta!  
Dzisiaj w sybirskie tajgi przyjechały,  
Czy Ciebie kiedy będą oglądały<sup>4</sup>?

Słoneczko złote smutno nas witało,  
Gdy do baraku rano zaglądało.  
Dwie białe skrzynki sosnami ubrane  
Nad nimi matki klęczą zapłakane<sup>5</sup>

Jesteśmy sami; straż nas zostawiła,  
Bo cóż tu będzie koło nas robiła.  
Świat nam zamknęli, wszędzie lasy, drzewa,  
Nawet ptaszyna tu nie śpiewa<sup>6</sup>.

### **LIST LEKARZA**

*List prof. A. Szymusika, którego kopię niedawno otrzymaliśmy, ma bliski związek z wierszem zamieszczonym powyżej. Warto ten list poznać i zapamiętać.*

Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum, KATEDRA PSYCHIATRII  
Kraków, dnia 28 kwietnia 1997

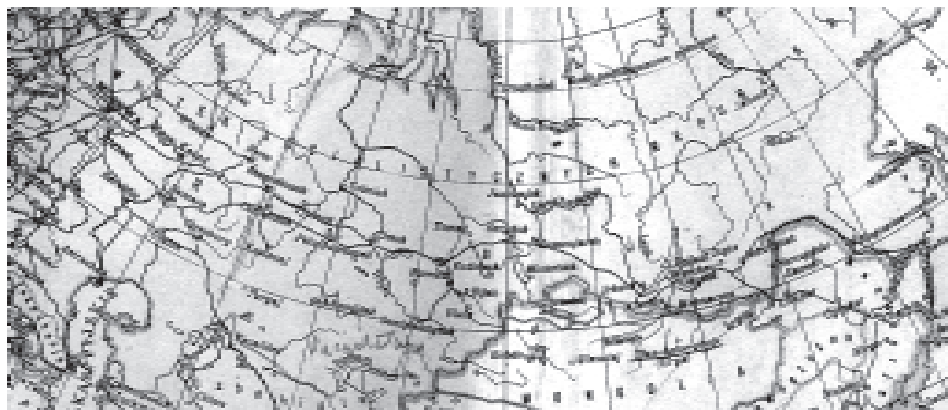
Pan Edward Jabłonka, Przewodniczący ds. Opieki Społ.  
Związek Sybiraków, Zarząd Główny, Warszawa

Na prośbę Zarządu Głównego Związku Sybiraków w Warszawie oświadczam, co następuje:

Katedra Psychiatrii CM UJ w Krakowie od 1959 roku prowadzi badania nad stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Od 1989 r. podjęliśmy też badania osób wywiezionych w latach 1939–1956 do Związku Radzieckiego. Badania te obejmują łagieników, więźniów, deportowanych i dzieci urodzone w tym okresie. Wszystkie badania wykazują, iż długotrwałe przebywanie w stanie stresu, w lęku, w fatalnych warunkach higienicznych, często w głodzie i zimnie, poczuciu stałego zagrożenia, wywołuje nieodwracalne zmiany psychiczne i fizyczne.

W stanie psychicznym u osób tych górują: depresja, przedwczesne starzenie się, stany lękowe. Wiele z tych osób cierpi również na gruźlicę, choroby układu krążenia,



Mróz, wielka zima, w lesie ciężka praca,  
Głód i tęsknota bardzo nas przygniata.  
Tyfus okrutny wśród ludzi się szerzy,  
Co dzień to więcej pod sosnami leży.

Choć przyszła wiosna, słońce zajaśniało,  
Lecz u nas wcale nie poweselało<sup>7</sup>.  
Tylko po lesie słyhać głos ptaszęcy.  
O, Jezu Chryste w Ogrójcu mdlejący.

Królowo Polski zlituj się nad nami,  
Nad polską ziemią i nad Polakami,  
Powróć nas, powróć do Ziemi Ojczystej,  
Polski Królowo, Panienko Przechysta.

Opisałam przy pracy w piekarni, a wieczorami po cichu śpiewaliśmy tę pieśń płynącą ze splawem drzewa przez rzeki Sojmę, Birusę, Lenę i Angarę do Jeniseju. Wzdłuż tych rzek mieszkali Polacy i śpiewał ją cały Sybir.

*Ciesielka Agnieszka*  
czerwiec, rok 1940,  
Kalucza, Szytkiński Lespramchoz,  
Krasnojarski Kraj, obłast Irkucka

---

#### WYJAŚNIENIA AUTORKI (wg odsyłaczy)

1. 10 II 1940, 2. Wicek wypalił dziurę w drzwiach, 3. Bośmy już wiedzieli, że jedziemy na Sybir, 4. Bardzo dużo tam zostało, 5. Wicka synek i Dybczyński mały, ostatni dzień w drodze zmarli, tośmy ich na miejscu pochowali, 6. Głuche lasy wiosną ożyły, 7. Co dzień po kilka pogrzebów w wieczór.

choroby przewodu pokarmowego, gościec stawowy, choroby endokrynne. Typowe są również zmiany psychoorganiczne wywołane urazami czaszkowo-mózgowymi, zatruciami, chorobami zakaźnymi, czy też głodem i zimnem.

Objawy te nazywane początkowo *astenia progressiva* lub *KZ-Syndrom*, znane są obecnie jako zespół przewlekłego stresu i znajdują się we wszystkich międzynarodowych klasyfikacjach.

Jako przewodniczący Międzynarodowej Komisji ds. Inwalidztwa Wojennego, powołanej w 1993 r., wyraziłem pogląd, iż nie jest możliwe 50 lat po wojnie ustalenie, w jakim stopniu aktualny stan zdrowia jest wynikiem prześladowań czy chorób doznanych w czasie deportacji, w jakim – skutkiem wieku i chorób w okresie powojennym.

Nadal uważam, iż bardziej celowe byłoby przyznanie inwalidztwa wojennego wszystkim osobom, które doznały represji i posiadają uprawnienia kombatanckie, niż badanie ich przez komisje ZUS. Badania takie są praco- i czasochłonne, drogie, często bardzo uciążliwe dla samych badanych, a niekiedy nawet obrażające dla poszkodowanych.

Kierownik Katedry Psychiatrii i Kliniki Psychiatrii dla Dorosłych CM UJ  
Prof.dr hab. Adam Szymusik

*Nasz komentarz: Ile dziesiątek tysięcy osób bestialsko potraktowanych przez sowieckiego okupanta i system stalinowski nie mogło przez 30 lat (1959–1989) liczyć nawet na potraktowanie ich na równi z ofiarami prześladowań hitlerowskich? Ile w tym czasie zmarło w cierpieniach i PRL-owskim poniżeniu?*



*Ksiądz Mieczysław był wielkim przyjacielem Karola Wojtyły, kolejno kleryka, księdza, biskupa, acybiskupa, kardynała, wreszcie Ojca Świętego. Ostatnio poświęcił Mu swoją kolejną książkę – może najważniejszą? – „Drugie życie Karola Wojtyły”. Nie od rzeczy więc będzie, jeżeli właśnie w CL pokażemy Autora także z naszej, lwowskiej strony. Poniższy tekst ukazał się przed niewielu laty w krakowskim „Dzienniku Polskim” (niestety nie zapisaliśmy daty ani numeru – przepraszamy!). Czcigodny Autor wyraził zgodę na przedruk felietonu w naszym kwartalniku.*

**Ks. Mieczysław Maliński**

# To był mój raj



fot. Renata Francuz

Każdy ma swój raj. Mój raj to był Lwów. Jeździłem tam na wakacje z moim rodzeństwem – z Tochą, Zochą, Józkiem. Ciocia Kasia mieszkała w centrum, ciocia Hela, Andzia, Różia – na Lewandówce, stryjek Wicek – na Pohulance, a stryjek Maksymilian leżał w grobie na Obrońców Lwowa. Lwów to była gromada kuzynek i kuzynów, zwłaszcza Gustek cioci Kasi, Maciek cioci Heli, Zuzia i Janka stryjka Wicka.

To było buszowanie w malinach na Pohulance. To była zieleń Parku Kilińskiego, rozśpiewana głosami ptaków, jeżdżenie jego alejkami na rowerach z góry i pod górę. Lody na ulicy Akademickiej. Zdjęcie pod pomnikiem Mickiewicza. To była mroczna katedra ormiańska, w której pobłyskiwała złotem przepiękna polichromia. Potem wracałem do Krakowa i koledzy śmiali się ze mnie, że ja – krakowiak zaciągam po lwowsku. A ja wracałem cały rozpromieniony jak Mojżesz z góry Synaj i czekałem na następne wakacje.

Ale tych już nie było. W 1939 roku przyszyły złe duchy i rozpętały wojnę. Zrujnowały mój raj. W końcu wypędzili z niego wszystkich krewnych. Oni przybyli do Polski jak wagnańcy. I mnie nie było po co tam już jeździć.

Aż kiedyś, w latach osiemdziesiątych, przyszła do zakrystii dziewczyna i poprosi-

ła, żebym do jej miasta przyjechał z wieczorem autorskim. Spytałem: – Dokąd? – Do Lwowa. Zbaraniałem: – Skąd wy macie moje książki? – Zawsze jakaś ciotka coś przywiezie – odpowiedziała z tajemniczym uśmiechem. Pojechałem. Nie poznałem mojego raj. Była ciężka zima. Na dworcu płakała polska studentka, bo nie dostała przepustki na wyjazd do pobliskiego miasteczka na niedzielę. Kościół dominikański był przerobiony na „galerię ateizmu”. W kioskach można było tylko kupić „Prawdę” i „Wiadomości”. Z tym, że jak mnie objaśniono: – W „Praw-

dzie” nie ma wiadomości, a w „Wiadomościach” nie ma prawdy.

Na szczęście przetrwały oazy mojego raj. W jednej z nich, dokąd zaprowadził mnie mój anioł, zamieszkałem. To był dom przy Parku Jezuickim. Gdy chcieliśmy porozmawiać, wychodziliśmy do pustego parku, w którym megafony podawały rycząc jakieś komunikaty.

Była jeszcze druga oaza – to katedra łacińska z cudownym proboszczem, w której w niedzielę siedziałem od rana do wieczora i uczestniczyłem w mszach świętych, chrztach, pogrzebach, ślubach, a chór śpiewał na pięć głosów „Na stopniach Twego upadamy tronu”. Niestety, mnie nie wolno było koncelebrować, pod grozą, że proboszcz pójdzie do więzienia. Mówiono mi na pociechę, że antagonizmy polsko-ukraińskie wygasają, ale pojawił się nowy wróg: rusyfikacja. Pokazywano mi na dowód sztyldy sklepowe, pisane po rosyjsku. Wyjechałem po trzech dniach, będąc przekonany, że tam już nigdy nie powrócę. I powróciłem – w osobie papieża odwiedzam katedrę ormiańską, łacińską, greckokatolicką. Znowu chodzę po alejkach Parku Kilińskiego. Podziwiając Górę Zamkową, dobiegają mnie głosy bawiących się ze sobą dzieci, polskich i ukraińskich.



Feliks Konieczny

# O PIERWOTNEJ POLSKOŚCI ZIEMI CHEŁMSKIEJ I RUSI CZERWONEJ (1)

Kontynuujemy prezentację tekstów historycznych, dotyczących prapolskości obszaru położonego między górnym Sanem, górnym Dniestrem i górnym Bugiem – różnie zwanego w ubiegłym tysiącleciu: Ziemią Czerwieńską, Rusią Czerwoną, województwem ruskim, Małopolską Wschodnią. Wcześniej – poczynając od CL 1/03 – cytowaliśmy teksty profesorów Jerzego Nalepy, Gerarda Labudy, Michała Parczewskiego, a także rozważania (słuszne!) architekta Jana Sas Zubrzyckiego.

Poniższy tekst pochodzi z wydawnictwa pod ww. tytułem, Warszawa 1920 – ciąg dalszy zamieścimy w następnym numerze. Ponieważ został opublikowany przed 85 laty, staraliśmy się uwspółcześnić jego stylistykę i pisownię.

## CO TO JEST „RUS”?

Niniejsza rozprawka ma na celu wykazanie, że ziemia zwana powszechnie przez nas samych Rusią, była polską od początku – a pierwotnie wyłącznie – polską. Zazwyczaj uważamy się w kraju tym za żywioł osadniczy, przybyły dopiero w drugiej połowie XIV wieku, za Kazimierza Wielkiego. Kiedy już chcemy silnie zaakcentować prawa nasze do dawnego województwa ruskiego, wołamy, żeśmy te prawa zasiedli tam od sześciu wieków.

Pogląd taki jest całkiem mylny, a zrodził się... z nazwy kraju. Świadczenia historyczne mówią wyraźnie o pierwotnej polskości „Rusi Czerwonej”, a na czele ich stoi najstarsza kronika ruska, tak zwana *kronika Nestora*. Czytamy tam wyraźnie pod rokiem 981:

*Ide Wołodimer k Lacham i zają hrady ich Priemyszl, Czerweń i iny hrady. Najdawniejsza wiadomość o kraju tym, i to pochodząca z najpoważniejszego źródła ruskiego, świadczy dobitnie, że Włodzimierz kijowski (980–1015) zajął wymienione grody Lachom, tj. zdobył je na Po-*

*lakach. Wbrew takiemu oczywistemu świadectwu utarło się jednak, że dopiero od Kazimierza Wielkiego rozpoczyna się polski okres tego kraju; w kął Nestor, bo jakżeż mogła być polską „Rus”?* Tak to słownictwo działa mocno na umysł. Pod wpływem słowa formują się często pojęcia, a z pojęć – poglądy! Oczywiście powinno być przeciwnie, a w każdym razie pojęcia i tym bardziej poglądy powinny być niezależne od rzeczy tak umownej jak terminologia. Metodyczna niedopuszczalność takiego sposobu rozumowania – żeby słowu dać pierwszeństwo przed dowodem faktu historycznego – okaże się jaskrawo na tym właśnie przykładzie.

Rus zwało się plemię skandynawskiego ludu Swiów, które wyemigrowało nad Nową i Dźwinę zachodnią, następnie na całe Podnieprze i część Powołża; zorganizowawszy się w zbrojne drużyny „Waregów”, stali się panami Słowiańszczyzny wschodniej pod dynastią Rurykowiczów. Od Rusów, żywiołu panującego, przybrało to państwo nazwę Rusi, nie mającą w sobie *ż a d n e g o* znaczenia etnograficznego. Rus ówczesna była tam i tak daleko, gdzie i jak daleko panowali Waregowie. Gdyby się usunęli z Podnieprza nad Morze Czarne lub na Bałkany – jak to zamierzali – pojęcie „Rusi” wędrowałoby z nimi. Rus znaczyło bowiem to samo, co *Wareg*: członek zbrojnej drużyny skandynawskiego pochodzenia. W trzecim ustępie pierwszej redakcji *Prawdy Ruskiej*, najstarszego pomnika ustawodawczego wschodniej Słowiańszczyzny z czasów Jarosława Kijowskiego (1015–1054), wyrażenie *Rusi*, tj. pochodzącej od skandynawskich Rusów, użyte jest w przeciwieństwie do rodzimej ludności nowogrodzkiej, słowiańskiej.

Dla Europy zachodniej była Słowiańszczyzna wschodnia pojęciem wyłącznie geograficznym, zbiorem krajów, zamieszkałych przez jakieś egzotyczne ludy, których nie umiano ściśle określić: *Rutheni, Gothi, Nor-*

*manni et ceterae gentes orientales* (wyrażenie w przywileju handlowym cesarza Fryderyka I dla miasta Lubeki). Władcy ze wschodniej Słowiańszczyzny są *reges Rusciae* lub *Russiae*, a również *reges Ruthenorum*. Jedno i drugie wyrażenie, *Russia* i *Rutheni*, stosuje się do wszelkiej Rusi, zarówno południowej, jako też północnej, wschodniej i zachodniej.

A samo wyrażenie *Ruś* jakiego nabrało z biegiem pokoleń znaczenia w ustach krajowców? Zrazu nie uznawano za Ruś tzw. Zalesia [...] i Ziemi Rostowskiej, kolonii słowiańskich w dorzeczu Wołgi; latopiści wyrzekają np. na „dzieckich” (urzędników książęcych), sprowadzonych do ziemi rostowskiej z *Rusi* (południowej), – ale trwało to niedługo, i **przeważała konsekwencja w użyciu tej nazwy jako pojęcia dynastyczno-politycznego: Ruś jest tam, gdzie Rurykowicze. Tak pojmowano „Ruś” już od XI wieku, i nie zmieniło się co do tego nic skutkiem późniejszych zmian granic politycznych. Tak długo pojmowano Ruś jako obszar panowania Rurykowiczów, iż w końcu (około r. 1260) uważano za Ruś wszystko, gdzie są lub byli Rurykowicze. Stąd pojęcie *Rusi litewskiej* – pozostaje ona *Rusią*, chociaż przeszła pod panowanie litewskiej dynastii\***.

A więc po prostu – ponieważ panowanie Rurykowiczów rozciągało się nad całą Słowiańszczyzną wschodnią, przeto Ruś i Słowiańszczyzna wschodnia wraz z jej koloniami – to jedno.

Nazwa więc *Rusi Czerwonej* niekoniecznie stanowi ślad, jakoby kraj przynależny był etnograficznie do Słowiańszczyzny wschodniej; może być tylko śladem panowania Rurykowiczów i niczego więcej.

Zaznaczyć należy, że tej wschodniej Słowiańszczyźnie brak było świadomości jakiegokolwiek jedności narodowej i nie ma na całym jej obszarze w ogóle najmniejszego śladu, aż do wieku XVI, ewolucji w kierunku pojęcia narodowości. Ta kwestia nie istniała w czasach, o których tu będzie mowa.

## GDZIE BYŁY GRODY CZERWIEŃSKIE?

Istnieje na ten temat cała literatura i długi szereg hipotez, z których atoli ani jedna nie czyniła zadość zasadniczemu warunko-

wi hipotezy naukowej, mianowicie, żeby wyjaśniać konsekwentnie wszelkie strony danego zagadnienia z jednego i tego samego stanowiska. Pozostały też do ostatniej chwili poważne wątpliwości, kwestia była nie rozstrzygnięta. Dopiero w r. 1913 rozstrzygnął sprawę Stanisław Cercha w krótkiej, lecz posiadającej zasadnicze i trwałe znaczenie rozprawce pt. *Chełmszczyzna ziemią Grodów Czerwieńskich* (ogłoszonej w zeszycie krakowskiego miesięcznika „Świat Słowiański” z maja 1913 r.). Tok rozumowania S. Cerchy jest następujący.

Rozdziela on zapiskę Nestora na dwie części. Włodzimierz zajął:

a) Przemyśl,

b) Czerwień i inne grody,

z czego nie wynika, jakoby Przemyśl miał należeć do „Grodów Czerwieńskich”. Wynika tylko, że prócz Przemyśla, chodziło o całą grupę grodów *innych*, których ośrodkiem jest *Czerwień*, po polsku Czerwień. *Musiały grody te nie być różruczone, ale zgromadzone w pewnym określonym skupieniu – prawdopodobnie grody graniczne, do obrony i dla dawania sygnałów o zbliżającym się niebezpieczeństwie.*

Takiej grupy grodów nie było koło żadnego z domniemyanych *Czerwieniów*, były tylko koło miejsca, które wskazał jeszcze w roku 1844 Józef Kołaczkowski w „Bibliotece Warszawskiej”, pisząc: *Zwaliska starożytnego Czerwienia położone są dziś o milę od Chełma, w lesie należącym do wsi, która zapewne przez podobieństwo do pierwotnej osady, dostała nazwisko Czerniejów.* Kołaczkowski sam nie zwiedził jednak miejsca, na którym nie było też nawet w 1844 r. żadnych zwalisk, lecz tylko ślady pewne grody, ani też nie troszczył się o *inne grody*, jakie winny wieńcem opasywać dawny Czerwień.

Dopiero w latach 1910 i 1911 udał się Cercha na miejsce. *Był gród, z gliny budowany, tylko z palisadą, również glinianą oblepioną, a wokół otoczoną nie tylko rzecz kami, które dziś są strumykami, ale niedostępnymi błotami.* Gród główny leży pomiędzy strumieniem o nazwie Udalec a strumieniem Pławanickim (niegdyś istniało w pobliżu jezioro) w lesie Majdanu Czerniejowskiego, o 47 wiorst na wschód od Lublina, a o 14 wiorst na południowy za-



chód od Chełma, od Ostrowa (*pogranicznego strażniczego grodu*) o 6 wiorst, od Bugu zaś o 10 wiorst\*\*.

Czerwień już od początku niemal zwany był też *Czermen*, a także *Czirmiejów*, którą to nazwę spotyka się jeszcze w XVI w., zaś porównanie nazwy *Czerwień* z pokrewnymi wyrazami słowiańskich języków tłumaczy dostatecznie, w jaki sposób *Czerwień* zamienił się w *Czerniów* lub *Czerniejów*. W kwestii tej zasięgnął Cercha opinii najkompetentniejszego znawcy, prof. UJ Jana Rozwadowskiego, i przytacza wywód uczonego językoznawcy.

Ważną wskazówkę co do tożsamości Czerniejewa z dawnym Czerwieniem stanowi zapisek *Rocznika Hipackiego* pod r. 1289, jak to bojarowie namawiali Mściława, przebywającego we Włodzimierzu: *...idi, pierwoje zajmi horod Belz i Czerwień, no też pojdziesz k Bereśtiu*. W innym znów miejscu, pod r. 1221, czytamy w tymże roczniku o podpaleniu przez Daniła i Wasylka Romanowiczów wsi koło Belza i Czerwienia.

A zatem należy szukać Czerwienia na północ od Belza, na drodze do Brześcia Litewskiego.

Dokładniejsze określenie położenia otrzymamy z tegoż latopiśca pod r. 1205. Wspomniane są mianowicie *wrota czerwieńskie* koło Komowa i Uchań, – a więc Czerwień leżał niedaleko na północ od tych gródków. Czerwień był grodem pogranicznym na lewym brzegu Bugu.

Okolo zaś tego Czerwienia mamy owe *inyje hrady*, cały wieniec grodów i gródków: od północy Andrzejów i Chełm, od południowego wschodu Turzysk, Horodło (Horodek); od południa Belz, Grabiec, Uchanie, Komow, od zachodu Tarnawa i Lublin wreszcie, oddalony o jeden dzień drogi; nadto Uhrowesk (zwany czasem Uhrowem). Wereszczyn, Stołpie i Bielawina (najstarszy ślad Chełma). W *Roczniku Hipackim* czytamy pod r. 1213, że Daniło Romanowicz zajął Leszkowi Białemu *Uhrowesk, Wereszczyn, Stołpie i Komow i wsiu ukrainu*; wyrażenie to świadczy, że to kraina pograniczna polska, *piastowska ukraina*. Nawiasem mówiąc, spotyka się tu po raz pierwszy, o ile dotychczas wiadomo, wyrażenie: *ukraina*.

Szeregiem grodów, gródków i osad wojennych (Stupy [Stołpy], Ostrówki, Stróże, Strzelce) ciągnęła się granica polsko-ruska

od Grodów Czerwieńskich, których głównym punktem był Czerwień na lewym brzegu Bugu. Naprzeciw i przeciwko polskiemu Grodom Czerwieńskim stał wzniesiony przez Rurykowicza Włodzimierz Wołyński.

Nadto zwraca S. Cercha uwagę na inne jeszcze okoliczności. Granice najdawniejsze biskupstwa krakowskiego, jak je oznaczył Potkański, są identyczne z granicami biskupstwa chełmskiego i ziemi chełmskiej od południo-zachodu. *Na podstawie historii tamtejszych kościołów stwierdzić wypada, że granice te pozostały niezmienione od Kazimierza W. aż do r. 1533, kiedy można je sprawdzić na nowo na podstawie przechowanej w archiwum skarbowym w Warszawie księgi poborów z r. 1533... Północno-zachodnia część ziemi Grodów Czerwieńskich sięgała aż po Brześć Litewski, który następnie był w rękach polskich.*

Zachodzą jeszcze inne okoliczności.

*Wykopaliska z ziemi chełmskiej, jakie zebrałem, pisze Cercha, i na miejscu w kilku dworach widziałem zarówno narzędzi krzemiennych, jak urn i celtyckich narzędzi brązowych, przekonywują, że należą do wykopalisk nadzwyczaj podobnych do wykopalisk wschodniej części Królestwa Polskiego.*

*Zestawienie nazw miejscowości, tj. wsi w ziemi chełmskiej, wykazuje, że nazwy te zbliżone są do nazw na ziemiach polskich, podczas gdy w nazwach z tamtej strony Bugu jest różnica tak znaczna, że Bug muszę uważać za granicę etnograficzną.*

Grody Czerwieńskie, a ziemia chełmska, to jedno i to samo... Zamiast określenia: „Grody Czerwieńskie”, znajdujemy wyrażenie „ziemia czerwieńska” pod r. 1225, i to obok ziemi bełskiej. Od czasu jednak wzmocnienia Chełma i uczynienia z niego stolicy (1224–1240) zarzucona jest nazwa „czerwieńska”, a występuje na widownię księstwo chełmskie. O samym Czerwieniu wspominają źródła jeszcze do r. 1289, ale o okolicznych Grodach Czerwieńskich milkną.

Tak tedy Grodów Czerwieńskich szukać należy w ziemi chełmskiej; Przemyśl, Halicz, Lwów itp. nigdy do nich nie należały. Skoro jednak ziemia chełmska jest pierwotnie polską, na Lachach w r. 981 przez Włodzimierza zajęta, tem bardziej polską była od początku tzw. Ruś halicka.

## W JAKI SPOSÓB WAREGOWIE ODKRYLI ZIEMIĘ LACHÓW?

Słowiańszczyzna zachodnia pierwotnie nie graniczyła wcale ze Słowiańszczyzną wschodnią; Polska i Ruś nie sąsiadowały pierwotnie ze sobą bezpośrednio.

Obszar osiedlenia wschodniej Słowiańszczyzny przedstawia się według Nestora jako trójkąt, którego podstawą jest linia mniej więcej od Łucka nad Styrem poza Kijów, na wschód do górnej Suły, a wierzchołkiem jezioro Ilmeń. Od tej szerokiej podstawy trójkąt ów geograficzny zwęża się ku północy, i to nagle, gdyż od średniego biegu Bugu poprzez całe dorzecze Niemna ciągnęło się osadnictwo szczepu bałtyckiego Jadźwingów i Litwinów.

Osadnictwo wschodniosłowiańskie zwęża się coraz bardziej ku północy tak dalece, że lud słowiański wysunięty najbardziej na północ, Słowieni nad jeziorem Ilmeń, zajmują obszar w kierunku równoleżnikowym wcale nie rozległy, nie mając już słowiańskich sąsiadów ani od wschodu, ani od zachodu. Widoczna, że ludy wschodniosłowiańskie z pierwotnej, południowej części swego osadnictwa, z dorzecza Prypeci, rozszerzały się nie ku południowej, lecz nieco tylko ku wschodowi, a najbardziej – później zaś wyłącznie, przez czas dłuższy – ku północy, wdzierając się klinem pomiędzy osadnictwo szczepu bałtyckiego na zachodzie, a fińskie na wschodzie.

Ta słowiańszczyzna wschodnia była w pierwszym okresie swych dziejów odgródzona zupełnie zarówno od zachodniej, jak i od południowej. Plemiona polskie nie stykały się nigdzie bezpośrednio z pobratymcami wschodnimi, toteż aż do końca wieku X – skoro nie było żadnej styczności – nie było więc żadnego oddziaływania na siebie (Ulicze i Tywercy nad Dniestrem i Bohem nie byli Słowianami. Decyduje tu ustęp VII Nestora, gdzie wyliczanie ludów słowiańskich zagaja wyraźnie: *Te są tylko słowiańskie narody w Rusi*).

**Dwie gałęzie Słowiańszczyzny, wschodnią i zachodnią, odgradzał od siebie szczep bałtycki: Łotewcy, Żmudzi- ni, Prusacy, Litwini, Jadźwingowie. Dalej zaś na południe były kraje pustynne. Znamy już dziś dobrze historię ich osad- nictwa i wiemy, że dopiero od X wieku**

zaludniały się strony nad Wieprzem i górnym Bugiem, tudzież nad górnymi biegami południowych dopływów Prypeci. Jeszcze w wieku XI, jadąc z Polski od Sanu do Kijowa, przejeżdżało się przez kraj pustynny, dzielący Polskę od Rusi. Ta izolacja słowiańszczyzny wschodniej od wpływów jakichkolwiek zachodnich, a połączenie jej natomiast bezpośrednio z ludami fińskimi, ma zasadnicze znaczenie dla dziejów „Rusi”. Ale ma to zarazem doniosłość powszechno-dziejową, jako jedno z najważniejszych zagadnień geografii historycznej. Sprawa ta wiąże się nawet z kwestią wędrówki ludów, ale to już nie należy do naszego tematu.

Nam chodzi o to, kiedyż więc rozłączone geograficznie dwa działy Słowiańszczyzny nawiązały z sobą styczność?

Pierwsze zetknięcie się wschodnich Słowian z pobratymcami nastąpiło ze Słowiańszczyzną południową, a dopiero później – skutkiem tego – z zachodnią.

W ten sposób posiadają pośredni związek z historią Polski dwie wyprawy bałkańskie Waregów: w latach 967 i 969–971, za panowania w Kijowie Światosława Rurykowicza. Poznali wówczas Waregowie dolny Dunaj i dowiedzieli się, że ku Dunajowi zmierzają drogi handlowe z Zachodu, którymi z Czech i Węgier sprowadzono do bułgarskiego Presławia i do Carogrodu „srebro i konie”, jak zaznaczono u Nestora. A wszak celem wyprawy (przekazanym następcom) było zdobycie sobie panowania na Bałkanie i przeniesienie tam „Rusi” – wszak Presław ów wyznaczony już był na nową stolicę Światosława.

Waregowie badali każdy szlak handlowy, jaki doszedł do ich wiadomości, czy to od wysp brytyjskich do Sycylii, czy to od Ilmenu na Kaukaz i do Bagdadu. Zna ich z tego historia powszechna; słyną pod imieniem Normanów w dziejach zachodniej Europy. Normanowie a Waregowie to rodzeni bracia. Przestrzenie nie istnieją dla nich, odległości jakby jeszcze bardziej wzmagają ich nadzwyczajną przedsiębiorczość. Zainteresowali się więc także odkryciem nowej drogi, wiodącej z Czech i Węgier do Bizancjum.

*dokończenie na s. 79*



# NA RZECZ POLAKÓW I POLSKOŚCI (3)

## FEDERACJA ORGANIZACJI KRESOWYCH

*Przedstawiamy dokończenie Sprawozdania Rady Naczelnej FOK (w skrócie), którego dwa pierwsze odcinki zamieściliśmy w CL 1 i 3/05*

### IV WAŻNIEJSZE DZIAŁANIA FEDERACJI, INTERWENCJE, PROTESTY

Podobnie jak w minionych latach poprzedniej kadencji, Federacja w swojej pracy podejmowała nadal szereg działań i interwencji na rzecz aktualnych potrzeb kresowych – także dokumentując swoje stanowisko w pisemnych oświadczeniach, protestach i memoriałach, kierowanych zwykle do instancji parlamentarnych, organów państwowych i opinii publicznej. Najważniejsze dotyczyły:

- Cmentarza Orłąt we Lwowie;
- pomocy polskiemu szkolnictwu na Białorusi i Ukrainie – *jeżeli w dziedzinie pomocy polskiemu szkolnictwu nie nastąpi radykalny przełom, groźba wynarodowienia Polaków stanie się coraz bardziej realna*;
- problemów Polaków na Litwie, a zwłaszcza: ● pomocy samorządowcom z podwileńskich SołeczNIK, oskarżonym o *zamiar oderwania regionu sołecznickiego od Litwy*, oraz ● dążenia władz litewskich do rozbicia jednostek samorządowych zamieszkałych głównie przez Polaków, ograniczenia zasięgu nauczania polskojęzycznego szkolnictwa, pauperyzacji społeczności polskojęzycznej poprzez dyskryminację przy zwrocie skolektywizowanej ziemi, wyrugowania języka polskiego z życia publicznego, zastraszania aktywnych politycznie i społecznie elit polskich.

Dzięki determinacji FOK mamy dzisiaj w kraju Województwo Podkarpackie, a nie Małopolskę Wschodnią, ...*powszechnie bowiem wiadomo, że zarówno w potocznym*

*języku polskim*, jak i w całej naszej historiografii, terminem „Małopolska Wschodnia” określano ziemie na wschód od Sanu wraz ze Lwowem, aż po Podole.

\* \* \*

W kwietniu 2004 r. na prośbę Federacji Organizacji Polskich nU – FOK podjęła interwencję w Kancelarii Senatu, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w Ministerstwie Skarbu w sprawie planowanego przez Fundację Pomocy Polakom na Wschodzie usunięcia kilku lwowskich organizacji polskich z zajmowanego przez nie lokalu. Z prośbą o poparcie zwróciliśmy się także do grupy posłów na Sejm RP.

Lokal we Lwowie, w którym znalazły siedziby m.in. Polskie Radio Lwów, redakcja czasopisma „Lwowskie Spotkania” i Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych – a korzystały z niego także inne środowiska – został zakupiony przez Fundację właśnie do takich celów społecznych, z funduszy budżetowych przekazanych przez Kancelarię Senatu RP. Nasza interwencja okazała się na tyle skuteczna, że już 10 czerwca 2004 z FOPnU otrzymaliśmy podziękowanie za pozytywne rozwiązanie sprawy.

*Rozdział V, dotyczący spraw finansowych, pomijamy.*

### VI UPOWSZECHNIANIE KULTURY KRESÓW – imprezy organizowane przez Radę Naczelną Federacji lub przy jej współudziale

Pamiętając o jednym z istotniejszych celów istnienia Federacji, jakim jest utrwalanie i upowszechnienie historii, tradycji i dziedzictwa kulturowego Kresów Wschodnich w kraju i za granicą – Rada Naczelna inicjowała i organizowała samodzielnie bądź we współpracy z innymi organizacjami w kraju i na Kresach, szereg imprez kulturalnych.

Przypominały one zarówno społeczności w kraju, jak i środowiskom polskim na Wschodzie piękno, szeroki zakres i ogrom kresowego dziedzictwa kulturalnego wniesionego do skarbcza kultury ogólnonarodowej.

Zachowując chronologiczny porządek, przypominamy o powstałym w 1995 r. z inicjatywy FOK Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie, cieszącym się dużym rozgło-



sem i powodzeniem. Choć Federacja była inicjatorem festiwalu, niestety nie stała się liczącym się partnerem dla innych organizatorów festiwalu – II programu TVP.

Szkodliwa dla festiwalu stała się także okoliczność, że stopniowo zaczął on pełnić propagandową i promocyjną rolę już nie tylko dla Senatu RP, ale też dla kierownictwa II programu TVP – kierującego się coraz wyraźniej innymi względami aniżeli dobro kultury polskiej na Wschodzie. Ponadto TVP od pewnego momentu rozpoczęła akcentowanie tzw. *poprawności politycznej*. A w 1997 r. na IV Festiwalu miał miejsce incydent, kiedy to organizatorzy uzależnili występ dzieci ze szkoły w Mościskach k. Lwowa od zaprezentowania przez nie pieśni zamiast w języku polskim – po ukraińsku. Dopiero bezpośrednia i ostra interwencja przewodniczącego FOK pozwoliła wystąpić młodzieży z Mościsk z przygotowanym polskim programem. Ta symptomatyczna okoliczność oraz to, że Festiwal – już wyłącznie autorstwa TVP, stawał się okazją do promocji różnych firm, a wreszcie osób wykorzystujących go dla własnych celów politycznych, osobistych i materialnych spowodowały, że dalszy protektorat Federacji Organizacji Kresowych nad festiwalem stał się niemożliwy. IV edycja Festiwalu w 1997 roku była ostatnią.

\* \* \*

Nie rezygnując jednak z naszych celów podjęliśmy dla ich realizacji kolejną inicjatywę, organizując „Dni Kultury Kresów” w Warszawie, tym razem w ścisłej współpracy ze Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska”. Podstawowym założeniem Dni jest prezentacja tej części ogólnonarodowego dorobku kulturalnego, jaka powstała na dawnych Kresach Rzeczypospolitej.

Pierwsza edycja „Dni Kultury Kresów” odbyła się na przełomie listopada/grudnia 2000 r. Wypełniły ją występy Teatru Polskiego ze Lwowa, Orkiestry Kameralnej z Wilna. W muzeum im. I.J. Paderewskiego grano muzykę J. Zarębskiego, A. Zarzyckiego, F. Dobrzyńskiego, J. Paderewskiego i K. Szymanowskiego, recytowano poezję M. Piotrowskiej, I. Sandeckiej, W. Wróblewskiego, L. Skirmickiej i K. Angielskiej. Kończącym wydarzeniem było otwarcie wystawy P. Rulewicz z Wilna i występ chóru „Musicae Amantes” z Zaolzia.

Drugą edycję w 2001 r. otworzyła gawęda Barabary Wachowicz o wielkich Polakach: Mickiewiczu, Słowackim, Kościuszcze, Paderewskim i Moniuszce. Odbywały się koncerty naszych kresowych kompozytorów, zakończone występem Konstantego Andrzeja Kulki grającego muzykę Karola Lipińskiego, kompozytora urodzonego w 1870 r. w Złoczowie. Wystąpił m.in. Teatr Polski z Wilna i Orkiestra Kameralna z Bratysławy. Organizowane spotkania z kulturą kresową stały się już poważnym i zauważalnym wydarzeniem w kalendarzu kulturalnym Warszawy.

III Dni Kultury Kresowej miały miejsce w grudniu 2002, a czwarte, z najbogatszym programem – w 2003 r. na przełomie września/października. Było sześć zróżnicowanych programowo wieczorów artystycznych. Pierwszy – na Zamku Królewskim, poetycko-muzyczny, poświęcony przypadającej w tym roku 60. rocznicy tragedii wołyńskiej. Kilka dni później wystąpił chór „Wołyń” z Łucka oraz solistka Opery Kijowskiej. Występy połączone były z wernisażem wystawy malarstwa Wilhelma Kotarbińskiego, niegdyś konkurującego z Henrykiem Siemiradzkim, a dziś powoli w kraju zapominanego. W Domu Polonii odbył się spektakl *Beniowskiego* w inscenizacji „Teatru Niewielkiego”, z ilustracją muzyczną Dobrzyńskiego, Stankowskiego, Moniuszki i Chopina. Kolejne spotkanie, tym razem z poezją kresową, było żywym świadectwem odradzającej się naszej kultury narodowej na Kresach. Prawdziwym wydarzeniem stał się koncert finałowy w Teatrze Stanisławowskim w Łazienkach Królewskich. Utwory polskich kompozytorów: urodzonego na Wołyniu Feliksa Dobrzyńskiego, we Lwowie – Aleksandra Zarzyckiego, w Ubielu na Mińszczyźnie – Stanisława Moniuszki, oraz współczesnego kompozytora Romualda Twardowskiego z Wilna – zagrała wspaniale Warszawska Filharmonia Młodzieżowa. Dni Kultury Kresowej zakończyły się otwarciem wystawy fotograficznej Wasyla Titowa z Mohylova.

Obok wzruszeń Kresowian – Dni Kultury Kresów stały się dla warszawskiego środowiska kulturalnego przypomnieniem, a czasem odkryciem dotąd nieznanych bądź zapomnianych skarbów naszej narodowej kultury. Był to prawdziwy, choć chwilowy powrót Kresów do Warszawy.

\* \* \*

A ponadto wiele jeszcze innych wydarzeń poprzedziło obchody Dni Kultury Kresów.

Był to – poza wspomnianym już koncertem na Zamku warszawskim w 55. rocznicę męczeństwa ludności polskiej na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich II RP – koncert w 80. rocznicę odzyskania niepodległości i Obrony Lwowa. Oba miały miejsce w 1998 r. W rok później odbył się na Zamku Królewskim koncert upamiętniający 60. rocznicę uderzenia wojsk sowieckich na Polskę. W 2001 r. w Równem i Wilnie, wspólnie z Ministerstwem Kultury RP, Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska” i Stowarzyszeniem Kultury Polskiej na Równiejszczyźnie, zorganizowano uroczystości poświęcone Ignacemu Janowi Paderewskiemu, wielkiemu patriocie i Polakowi. W 2003 roku byliśmy też obecni z programami patriotyczno-religijnymi w wielu małych i rzadko odwiedzanych na co dzień miejscowościach północno-wschodniej Wileńszczyzny. Spotkały się one z tak wielkim uznaniem, że i w następnym roku odwiedziłyśmy te i inne miejscowości.

Wszystko to tworzy obraz naszej statutowej działalności, której zasadniczym celem jest kontynuowanie i współtworzenie kultury polskiej na kresach wschodnich Rzeczypospolitej, w jej kształcie sprzed II wojny światowej.

*Autorem tekstu jest p. Stanisław Mitraszewski, wieloletni prezes Federacji Organizacji Kresowych.*

*Tekst został skrócony, za co Redakcja przeprasza.*

Adam Trojanowski

# LWOWSCY MECHANICY W KRAKOWIE

*jak ich pamiętam*

Politechnika Krakowska im. T. Kościuszki obchodzi w tym roku 60-lecie swojego istnienia. Warto wspomnieć, jakie były jej początki przy liczonym udziale kadry naukowej, przybyłej ze Lwowa. Kadra ta była związana z Politechniką Lwowską, która wywodziła się od założonej w 1817 r. we Lwowie Cesarsko-Królewskiej Szkoły Realnej, przemianowanej później na Realno-Handlową, by poprzez Cesarsko-Królewską Akademię Techniczną, ustanowioną w 1844 r., i poprzez Szkołę Politechniczną od 1877 r., uzyskać w 1921 r. status oraz nazwę Politechniki Lwowskiej.

Jej dalsze losy kształtowały się na tle zmieniających zaszczości historycznych, a więc w latach 1939–41 była Lwowskim Instytutem Politechnicznym, potem, w latach 1942–44 działała pod kryptonazwą Technische Fachkurse, zaś w ciągu 1944 r. wróciła do poprzedniej nazwy, nadanej przez władze sowieckie. Przez cały ten czas była z tą uczelnią związana liczna, zmieniająca się okresowo kadra naukowa, która stała się w 1945 roku – 60 lat temu – podstawą uruchomienia Wydziałów Politechnicznych przy Akademii Górniczej w Krakowie, w tym Wydziału Komunikacji, obejmującego Oddział Samochodowy, Lotniczy oraz Kolejowy. Kadra ta obejmowała tak profesorów zwyczajnych, jak też niższych pracowników naukowych, do młodszego asystenta włącznie. Ci ostatni stawali się później często profesorami tegoż Wydziału. W 1954 r., po oddzieleniu się od AGH, powstała niezależna Politechnika Krakowska.

Zamierzeniem moim nie jest przedstawienie jednostronnej grupy ludzi w sposób encyklopedyczny i formalny, lecz zlokalizowanie jej w układzie organizacyjnym Wydziału Komunikacji oraz przedstawienie jej bodaj skrótkowo, tak jak widzieliśmy to jako studenci, ze szczególnymi cechami oraz zachowaniem, a więc z szacunkiem i ciepło.

Ze względu na zmieniające się w poszczególnych państwach oraz ich uczelniach tytuły naukowe, jakimi ci ekspatrianci dysponowali, będą one wobec poszczególnych osób

pomijane, z ewentualnym ukazywaniem ich w dalszym tekście, w nawiązaniu do ich miejsca pracy.

**P**ierwszym przedstawicielem wspomnianej kadry, z jakim zetknęliśmy się na początku studiów, był podziwiany i cieszący się ogólnym szacunkiem **Antoni Plamitzer**, wieloletni profesor zwyczajny Politechniki Lwowskiej i dla nas jej wówczas uosobienie, kilkakrotnie dziekan tamtejszego Wydziału Mechanicznego. On to wraz z grupą startujących studentów był duszą pierwszej powojennej inwestycji, jaką w sali 333a na III piętrze Akademii Górniczej była budowa z nieheblowanych desek oraz ustawianych na posadzce nieokorowanych pieńków prymitywnych ław. To one stanowiły wówczas o możliwości naszego uczestniczenia w wykładach na siedząco. Antoni Plamitzer prowadził dla nas wykłady z geometrii wykreślnej, z którą to dziedziną był związany latami poprzez prof. Kazimierza Bartła, byłego premiera Rzeczypospolitej, zamordowanego przez Niemców we Lwowie w 1941 r. Dawał nie tylko popisy szczególnej elokwencji, ale w dodatku frałdował nas m.in. produktami przecięć stożków różnie ustawionymi płaszczyznami, co przedstawiał kunsztownymi rysunkami, wykonywanymi starannie, lecz bardzo szybko, kredą na tablicy. Ten dynamiczny w działaniu naukowiec kończył często swoje rysunki aż na ścianie, zaznaczając każdy istotny punkt przecięcia kółeczkiem, którego środek podkreślał dla wyrazistości ślinionym *ad hoc* palcem. Nie raz pouczał nas w sposób szczególnie dosadny, ale też skuteczny, w aspekcie zachowania studenckiego. Niedużego wzrostu oraz skromnego postępowania, budził szczególny respekt, zwłaszcza po udzieleniu wspomnianych, swoistych pouczeń *savoir vivre*'u.

Jako niezapomniany wykładowca oraz srogi egzaminator pojawił się wkrótce **Tadeusz Malarski**, który w latach 20. był profesorem fizyki na Wydziale Rolno-Lasowym Politechniki, usytuowanym w podlwowskich Dublanach. Egzamin u niego był szczegól-

nym utrapieniem i przeżyciem, gdyż wymagał wyprowadzania niekończących się wzorów, jak to czynił podczas wykładów sam, kończąc je także często na ścianie, tak jak czynił to profesor Plamitzer. Jago szczególnie „konikiem” było stosowanie dymensji poszczególnych wielkości fizycznych, operując nimi we wzorach fizycznych jak wielkościami matematycznymi. Było to niezwykle logiczne i wielce pouczające. Zdanie egzaminu z fizyki było szczególnie sukcesem i decydowało często o dalszej karierze studenta.

Najbliższym współpracownikiem T. Malarskiego był mój profesor fizyki z VIII Gimnazjum we Lwowie, później jako jego następcą na Politechnice, **Michał Halaunbrenner**. Ćwiczenia prowadziła z nami jego małżonka oraz **Mieczysław Kmicik**, kierujący do wybuchu wojny w 1939 r. Laboratorium Radiotechnicznym Politechniki, w charakterze młodszego asystenta. Należy wspomnieć z uznaniem, że zarówno T. Malarski, jak i M. Halaunbrenner byli obrońcami Lwowa oraz wielkimi patriotami. Nic więc dziwnego, że M. Halaunbrenner sprowadził do



Prof. Zygmunt Ciechanowski

Katedry Fizyki lwowskiego ekspatrianta, byłego tercjana wspomnianego Gimnazjum, pana Gulewicza, i zatrudnił go jako laboranta. Tak więc zespół osobowy był tam szczególnie lwowski.

**D**opiero na III roku studiów zetknąłem się z seniorem naszych wykładowców, wielokrotnym dziekanem oraz prorektorem Politechniki Lwowskiej i jej profesorem zwyczajnym **Zygmuntem Ciechanowskim**. Cichym, starczym głosem mówił o pompach wodnych, którymi zajmował się już w pierwszym dziesięcioleciu XX w. – dziedzinie, jak się to wtedy nazywało, *motorów wodnych*. Mając w latach II wojny ponad 70 lat, był faktycznie seniorem. Dysponował olbrzymią wiedzą oraz doświadczeniem w swojej dziedzinie techniki, równocześnie był jednak człowiekiem humanistycznego ducha, autentycznym intelektualistą, utalentowanym

pianistą oraz admiratorem sztuki. Jego najbliżsi współpracownicy to inż. **Hugo Trzebiński** oraz inż. **Szablowski**, którzy prowadzili z nami ćwiczenia oraz korekty projektów. Obaj wywodzili się z Politechniki Lwowskiej i już tam byli związani z prof. Ciechanowskim, wnosząc podczas naszych studiów do nauki i techniki osiągnięcia nowoczesności. Do lwowskich seniorów należał także **Oton Nikodym**, drobnej figury, ale ruchliwy, a wręcz dynamiczny profesor matematyki. Posługiwał się laseczką, którą czasem wykorzystywał także podczas swych wykładów dla celów ilustracyjnych. Niezapomniane było jego przysyłanie rzędów oraz słupków rozpisanych na tablicy wyznaczników wspomnianą laseczką. Wykładał na Wydziale Komunikacji matematykę przez dwa kolejne lata studiów, kiedy to został zwolniony z pracy ze względów politycznych. Wkrótce wyemigrował, by za granicą przynieść chlubę nauce polskiej i harbę bolszewikom.

Szczególne wspomnienie należy się też, związanemu wcześniej z Politechniką Lwowską, naszemu wykładowcy z zakresu części maszyn, późniejszemu profesorowi Politechniki Wrocławskiej, **Tadeuszowi Demeterowi**. Był niezwykle sympatyczny, bezpośredni i życzliwy, przeto powszechnie lubiany przez studentów. Był przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego naszego Koła Mechaników. Niezapomniana jest jego charakterystyczna wypowiedź, kiedy to studenci – członkowie Sądu dopatrywali się konieczności ukarania naszego zbyt energicznego kolegi, który dokonał spustoszenia rozbijanymi krzesłami podczas Balu Mechaników. Wtedy to zabrał głos, ze swym charakterystycznym akcentem lwowskim, mówiąc: *ta my si wy Lwowi nożami pobili i nikomu nic!* Szybko nas w ten sposób rozbroił, korzystając ze swej mądrości życiowej oraz znajomości braci studenckiej.

Szczególną osobą, którą nazywaliśmy niezbyt ładnie w naszych pokątnych rozmowach, był **Eugeniusz Małecki**, kierownik Katedry Silników Lotniczych i Samochodo-

wych. Z Politechniką Lwowską był związany jako pracownik naukowy już przed wojną. Będąc doskonałym praktykiem działał wtedy także jako ekspert w Komisji Cywilnych Statków Powietrznych, instytucji o archaicznej wprawdzie nazwie, ale badającej nowoczesnie przyczyny wypadków lotniczych. Był niezwykle pracowity i każdy jego wykład był dowodem jego ogromnej pracy nad poszerzaniem przekazywanej nam wiedzy. Na Politechnice Lwowskiej był adiunktem w Katedrze Budowy Samochodów i Traktorów, prowadzonej przez **Władysława Rubczyńskiego**. Ten był związany z lwowską uczelnią od lat dwudziestych jako naukowiec na kolejnych stanowiskach, aż



Prof. Antoni Plamitzer

do uzyskania tytułu profesora, zaś w Krakowie kontynuował swą działalność naukową jako kierownik Katedry Budowy i Eksploatacji Samochodów. Był prawdziwą wyrocznią w reprezentowanej dziedzinie zarówno w aspekcie teoretycznym, jak i praktycznym. Jego najbliższym współpracownikiem był **Mieczysław Nosowicz**, późniejszy profesor nadzwyczajny Politechniki Krakowskiej w dziedzinie eksploatacji oraz naprawy pojazdów

mechanicznych. Zarówno E. Małecki, jak i W. Rubczyński byli najczęstszymi promotorami prac dyplomowych, zgodnie z wybranymi przez nas kierunkami studiów.

**P**rzez kilka kolejnych lat byłem związany blisko z **Janem Koreckim**, kierownikiem Katedry Maszynoznawstwa I i wykładowcą rysunku technicznego, jako jeden z jego licznych asystentów. Do Krakowa przybył Korecki jako adiunkt Politechniki Lwowskiej w tamtejszej Katedrze Maszynoznawstwa, kierowanej przez prof. Witolda Aulichę. Miał za sobą doskonałą szkołę i przeniósł ją z powodzeniem na grunt krakowski. Od rysunku technicznego przeszedł poprzez maszynoznawstwo do teorii mechanizmów i maszyn – jako profesor oraz kierownik katedry odnośnego zakładu. Był wykładowcą ze szczególną swadą oraz rzadką sprawnością w wykonywaniu skomplikowanych ry-



sunków na tablicy, dynamizowanych często kolorowymi kredami. Żał było, gdy ze względów oczywistych dzieła te musiały być zmywane. Zgromadził olbrzymie ilości części maszyn oraz ich zespołów, służących jako modele przy wykonywaniu rysunków technicznych, i uruchomił nawet stanowisko katedralnego mechanika, dysponującego obrabiarką do sporządzania szczególnych modeli. Przez współpracowników był lubiany, a w rozmowach pokątnych nazywaliśmy go „Jasień”, zaś przez studentów był uważany za ostrego i wymagającego.

Jego kolegą ze studiów lwowskich był ówczesny młodszy asystent przedwojennej Mechanicznej Stacji Doświadczalnej oraz Katedry Mechaniki Technicznej, prowadzonej przez profesora Burzyńskiego, **Janusz Walczak**. Jako student prowadził on charakterystyczne, barwne życie studenckie, łącząc atrybuty młodości z nauką. Wraz z J. Koreckim był wtedy członkiem studenckiego zespołu muzyki tanecznej, grając na saksofonie i poprawiając w ten sposób na różnych imprezach swoje finansowe możliwości. Był świadkiem, a może nawet uczestnikiem takich wydarzeń studenckich, o jakich opowiadał nam barwnie T. Demeter. W Krakowie doszedł do stanowiska profesorskiego i był kierownikiem Katedry Wytrzymałości. Jego wykłady były prowadzone bardzo ciekawie i barwnie, a ze względu na zachowaną żywotność oraz bezpośredni stosunek do studentów był naszym nieklamany ulubieńcem.

Katedra, a późniejszy Zakład prowadzony przez J. Koreckiego, zajmował duże powierzchnie lokalowe gmachu Wydziału w byłych koszarach przy ul. Warszawskiej. Jeszcze w 1947 r. podczas naszych zajęć słychać było komendy wojskowe oraz muzykę marszową. Ta rozległość pomieszczeń pozwoliła udzielić gościny lokalowej wykładowcy z dziedziny maszyn dźwigowych **Leopoldowi Krajewskiemu**. Wywodził się on z Politechniki Lwowskiej, gdzie działał jako starszy asystent w Katedrze Maszyn Dźwigowych, prowadzonej tam przez profesora

Łukasiewicza. Jego duża wiedza oraz szczególna rozmowność, a także życzliwy stosunek wobec niższych rangą naukową licznych młodszych kolegów powodowały, że w wolnych chwilach zbierała się wokół niego cała asytencka gromada, by słuchać niezwykle ciekawych i barwnych opowiadań.

**C**zęsto uzupełniał to towarzystwo kolejny szczególny rozmówca, a mianowicie **Franciszek Kotowski**. Niegdyś był młodszy asystentem Docentury Mechaniki Lotu i Budowy Płatowców Lwowskiej uczelni, prowadzonej wcześniej przez prof. Gustawa Mokrzyckiego. W latach 1939–40 był jako docent organizatorem Katedry Budowy Płatowców we

Lwowie, a później kierownikiem takiej katedry na Wydziale Komunikacji w Krakowie. Po likwidacji kierunku lotniczego był kierownikiem Katedry Elementów Maszyn Politechniki Krakowskiej. Dosłownie godzinami trwały niezapomniane opowiadania obu rozmówców na temat ich studiów, życia studenckiego oraz późniejszej pracy zawodowej. Nosili u nas dyskretnie stosowane przezwiska „Poldek” oraz „Franio”, stanowiące wyraz naszego szacunku, sympatii oraz uznania. Obaj byli ze sobą bardzo blisko związani towarzysko. Franciszek Kotowski był niezapomnianym, błyskotliwym fachowcem, promotorem mojej pracy doktorskiej, organizatorem Instytutu Szybowcowego w Bielsku, a także konstruktorem posiadającego kilka rekordów szybowca „Mucha”. W jego skromnym pomieszczeniu spotykaliśmy się przy okazji korekty prac przejściowych oraz dyplomowych, co stanowiło doskonałą okazję do kolejnych, niekończących się godzinami rozmów technicznych, a także pełnych szczerości oraz humoru wspomnień prywatnych. Dołączał się do nich, przeważnie małowównie, inż. **Ryszard Siemiński**, związany bezpośrednio z kierunkiem lotniczym na Politechnice Lwowskiej, specjalista od drewna jako tworzywa lotniczego. Później przeniósł się na Politechnikę Gdańską, gdzie prowadził wykłady z zakresu budowy i eksploatacji obrabiarek do drewna.



Prof. Tadeusz Malarski

u nas dyskretnie stosowane przezwiska „Poldek” oraz „Franio”, stanowiące wyraz naszego szacunku, sympatii oraz uznania. Obaj byli ze sobą bardzo blisko związani towarzysko. Franciszek Kotowski był niezapomnianym, błyskotliwym fachowcem, promotorem mojej pracy doktorskiej, organizatorem Instytutu Szybowcowego w Bielsku, a także konstruktorem posiadającego kilka rekordów szybowca „Mucha”. W jego skromnym pomieszczeniu spotykaliśmy się przy okazji korekty prac przejściowych oraz dyplomowych, co stanowiło doskonałą okazję do kolejnych, niekończących się godzinami rozmów technicznych, a także pełnych szczerości oraz humoru wspomnień prywatnych. Dołączał się do nich, przeważnie małowównie, inż. **Ryszard Siemiński**, związany bezpośrednio z kierunkiem lotniczym na Politechnice Lwowskiej, specjalista od drewna jako tworzywa lotniczego. Później przeniósł się na Politechnikę Gdańską, gdzie prowadził wykłady z zakresu budowy i eksploatacji obrabiarek do drewna.



Do grupy fachowców w dziedzinie lotnictwa oraz szybownictwa, z którymi mieliśmy w czasie studiów do czynienia, należał **Władysław Nowakowski**, wykładowca frapującego nas przedmiotu, jakim była mechanika lotu. Był doskonałym wykładowcą, spokojny i dystyngowany, a równocześnie kontaktowy i życzliwy. Był teoretykiem i praktykiem, konstruktorem, a także menedżerem – jako dyrektor Instytutu Szybowcowego w Bielsku. Z lwowską grupą latania był związany także inż. **Rudolf Matz**, który prowadził dla nas wykłady z dziedziny wyposażenia pokładowego samolotów oraz nawigacji lotniczej. Był konstruktorem powojennego szybowca szkolnego „ABC”. Później został wykładowcą z tej samej dziedziny na Politechnice Wrocławskiej, ja zaś jego asystentem. Był człowiekiem niezwyklej dobroci i życzliwości, skrupulatnym i doświadczonym, niestety chorowitym i wkrótce uległ męczącemu cierpieniom.

Wszyscy nasi wykładowcy z dziedziny lotnictwa byli związani ze Studium Lotniczym Politechniki Lwowskiej, prowadzonym w latach 30. przez dra inż. Zygmunta Fuchsa, pod nadzorem naukowym wspomnianego już wcześniej prof. Gustawa Mokrzyckiego, przemianowanym później – po włączeniu do niego Instytutu Szybownictwa oraz Motoszybownictwa – na Instytut Techniczny Lotnictwa. Tam powstał szereg konstrukcji znanych szybowców, w tym znany na lwowskim niebie z charakterystycznego układu silnik–skrzydło, motoszybowiec ITS-8.

Szczególną osobowość wśród naszych nauczycieli akademickich przedstawiał **Kazimierz Sulima Szawłowski**, wykładowca z dziedziny kilku kierunków budowy maszyn, a to maszyn parowych oraz turbin, silników spalinowych, a także nauki o kołach zamachowych i regulatorach, teorii drgań oraz pomiarów maszyn. Na Politechnice Lwowskiej był Szawłowski związany z profesorem Ludwikiem Ebermanem, specjalistą w dziedzinie silników spalinowych dużej

mocy – tak trakcyjnych, jak i stabilnych, w tym silników do łodzi podwodnych dla Austrii oraz Niemiec w I wojnie światowej. Był także pracownikiem naukowym u specjalisty termodynamiki prof. Stanisława Ochęduszki. Na Wydziałach Politechnicznych był profesorem zwyczajnym oraz kierownikiem Katedry Maszynoznawstwa II. Dla nas był wzorem erudycji, także wzorem elegancji oraz dobrego stylu w każdym słowie i każdym ruchu. Równocześnie jednak nie wywyższał się, a studentów traktował z nadzwyczajną życzliwością i wyrozumieniem. Dysponował wspaniałą kadrą asystentów, późniejszych profesorów wyższych uczelni technicznych. Kadrę tę cechowała nie



Prof. Michał Halaunbrenner

tylko rzetelna wiedza, ale też szczególny stosunek do studentów, przejęty od swego profesora. Tak jak i on wywodzili się z Politechniki Lwowskiej. Tworzyli obsadę Katedry Maszynoznawstwa II, dysponującej dużym laboratorium maszynowym oraz warsztatem mechanicznym. Królował w nich p. Dziewanowski, późniejszy pracownik naukowy Politechniki Szczecińskiej, ze swymi doświadczeniami i wynalazkami do silnika

odrzutowego oraz helikoptera włącznie. Ćwiczenia prowadził z nami **Stanisław Steindel**, mąż wnuczki Wincentego Witosa, późniejszy profesor Politechniki Krakowskiej, oraz Stanisław Dawidowicz, późniejszy profesor Politechniki Częstochowskiej, mąż córki filozofa i matematyka, prof. Leona Chwistka, asystentki matematyki na Wydziale Komunikacji. Pierwszy był doskonałą powtórką osobowości prof. K. Szawłowskiego, w każdym calu dżentelmen w postępowaniu, jak i wyglądzie. Drugi z kolei był bardzo swobodny w zachowaniu, oczywiście w należnych granicach, co czyniło go szczególnie bliskim studentom.

Wszyscy pracownicy naukowcy Katedry Maszynoznawstwa II byli przez nas lubiani i szanowani w sposób szczególny. Byli oni bardzo bliscy zawodów, jakie wkrótce mieliśmy wykonywać po studiach. Wśród nich było się prawdziwym, dojrzałym studentem!

Do typowych iwowiaków należy zaliczyć Tadeusza **Czaykę**, młodszego asystenta w lwowskiej Katedrze Pomiarów Elektrycznych, a później kierownika Katedry Elektrotechniki na Wydziale Komunikacyjnym. Cechowała go duża wiedza teoretyczna, jak i praktyczna, przy równoczesnej dużej żywotności oraz humorze, potęgowanym wspaniałym bałakiem lwowskim, wtedy oczywiście gdy było to dopuszczalne wobec studentów, w chwilach rekreacji. Jego zaprzeczeniem w sensie natury i sposobu bycia był cichy i spokojny **Roman Asler**, nasz wykładowca z dziedziny oświetlenia oraz sygnalizacji lotnisk, który swą mową nie mógł wyprzeć się lwowskich związków, o ile by tego chciał lub musiał, w co bardzo wątpię.

Rzadkim gościem był u nas **Klaudiusz Filasiewicz**, były dyrektor Państwowej Szkoły Technicznej we Lwowie, profesor obróbki plastycznej na Politechnice Śląskiej, a u nas wykładowca tego samego przedmiotu. Ten doświadczony pedagog oraz specjalista w swej dziedzinie miał niestety nieco upośledzony słuch i z tej przyczyny opowiadano o nim różne, zwykle nieprawdziwe dowcipy. Zapamiętałem jego doskonałą definicję walcowania – jako ciągłe kucie. Trudno lepiej oddać charakter tej technologii metali.

Nie mogę na koniec nie wspomnieć zawsze eleganckiego i prezentującego swoją klasę **Tadeusza Chlipalskiego**, który wykladał dla nas ogrzewanie oraz wietrzenie. Z tego przedmiotu zdawaliśmy egzaminy, przez zaprojektowanie jakiejś zadanej instalacji grzewczo-wentylacyjnej, w warunkach isticie królewskich, bo w jego mieszkaniu na Wzgórzu Wawelskim. Ten zażarty lwowiak spędził bodajże za granicą okres wojenny, a mnie wiązał się zawsze z niezapomnianą tragedią jego brata Leszka, jaką spowodowała lawina na Zaroślaku pod Howerlą w Czarnohorze, jeszcze przed ostatnią wojną.

Ze Lwowem byli związani także tacy zaśluzeni i cenieni fachowcy, organizatorzy

polskiego kolejnictwa po wojnie, jak prof. Adolf Langrod, niegdyś adiunkt prof. W. Mozera na Politechnice Lwowskiej, oraz prof. Stanisław Haupt. Nie miałem z nimi do czynienia bezpośrednio, gdyż byli związani z Oddziałem Kolejowym Wydziałów Politechnicznych.

Cały szereg byłych studentów Politechniki Lwowskiej podczas wojny uczęszczało także na Technische Fachkurse lub Lwowski Instytut Politechniczny w jego dwóch okresach działania, a po wojnie zasilił późniejszą kadrę naukową Wydziałów Politechnicznych, jako asystenci różnego stopnia, a niektórzy zdobywali tam dyplomy. Wspomnieć należy **Wiesława Krzysia**, **Leszka Michała Wysockiego**, związanych z Katedrą Wytrzymałości. **Kazimierz Łatkiewicz** był prawą ręką w katedrze J. Koreckiego, aż do swojej niespodziewanej śmierci. Tam też był ulokowany **Stanisław Oprędkiewicz**, asystent w Katedrze Budowy Maszyn Kolejowych, kierowanej przed wojną przez prof. W. Mozera na Politechnice Lwowskiej, były dyrektor Zakładów im. Szadkowskiego w Krakowie, zatrudniony później



Prof. Tadeusz Chlipalski

w Instytucie Obróbki Skrawaniem w Krakowie. **Inż. Jarominek** był asystentem w Katedrze Części Maszyn, **Henryk Kaiser** zaś, bodajże jako adiunkt – w Katedrze Silników Lotniczych i Samochodowych. Późniejszym profesorem Wydziałów Politechnicznych został także **Zdzisław Romaniszyn**, związany praktycznie też z Kolejami Państwowymi, który na delegacje służbowe udawał się prowadząc osobiście parowozy lub elektrowozy.

\* \* \*

Jestem przekonany, że na skutek ułomności pamięci pominałem szereg pracowników naukowych lwowskiego pochodzenia, a wobec innych popełniłem nieścisłości informacyjne. Niech mi to będzie wybaczone! Wszystkich otaczam ogólną, życzliwą pamięcią, jako związanych z bliską mi uczelnią.

Kraków, lipiec 2005

Piotr Marek Stański

# POMNIKI ALEKSANDRA FREDRY we Lwowie i Krakowie

Pod lwowskim niebem szczególnie rozwijały się talenty komediowe. Znaczną część życia spędzili w tym mieście (i zmarli) Aleksander Fredro oraz Gabriela Zapolska – jej *Moralność pani Dulskiej* w swej podstawowej wersji rozgrywa się pod Wysokim Zamkiem, na który spacerował dookoła stołu pan Felicjan, choć wersja krakowska z Kopcem Kościuszki była przez pisarkę również autoryzowana. W bliższym nam czasach z grodu nad Pełtwią rozbrzmiewała na cały kraj popularna „Wesoła Fala” ze Szczepciem i Tońciem, czyli Kazimierzem Wajdą i Henrykiem Vogelfangerem.

Teatr Skarbkowski przez długi czas pozostawał domem artystycznym Fredry, którego komedie przeżywały tam chrzest sceniczny, dopóki ich miazdząca krytyka ze strony Seweryna Goszczyńskiego – powodująca się różnicami na tle polityki – nie sprawiła, że pisarz zamilkł w 1835 roku, pisząc później swe utwory wyłącznie do szuflady, z której zostaną wydobyte i ujrzą światła rampy dopiero po jego śmierci. Po upływie kilku dziesięcioleci podobna nagonka dotknie w Krakowie innego komediopisarza – Michała Bałuckiego, przybierając wszakże bardziej tragiczny obrót, albowiem ten, w którego została wymierzona, popełnił samobójstwo.

W przypadku Fredry ironia losu sprawiła, że pod koniec życia S. Goszczyński zamieszkał we Lwowie naprzeciw swego dawnego adwersarza, umierając na cztery miesiące przed nim. Dodatkowo po śmierci połączyła ich twórczość Leonarda Marconiego, który w 1882 roku wyrzeźbił nagrobek Goszczyńskiego na Cmentarzu Łyczakowskim, a w przyszłości miał zostać autorem pomnika Fredry, który ostatecznie 14 paź-

dziernika 1897 r. o godzinie 8 rano zasiadł pośrodku placu Akademickiego, w miejscu gdzie wcześniej znajdowała się studnia. Lokalizację tę wybrano nie przypadkiem, gdyż o rzut kamieniem, przy ulicy noszącej jego imię, stał jeszcze wtedy *tak zwany pałacyk Fredrów, w cieniu starych drzew, gdzie poeta pracował i dokonał zasłużonego żywota. W tę też zwrócona jest twarz posągu*<sup>1</sup>.

Z inicjatywą uczczenia w ten sposób Fredry w związku z przypadającym 20 czerwca 1893 stuleciem jego urodzin wystąpił Romuald Bobin na zebraniu Koła literacko-artystycznego dwa lata wcześniej. W tym celu rozpisano konkurs wyłącznie pomiędzy polskimi rzeźbiarzami. Jego regulamin zakładał nadanie przyszłemu obiektowi renesansowych cech stylowych, przy czym postać pisarza uchwycona być miała w pozycji siedzącej, a przyodziana w czamareę. Nadesłano trzynaście modeli, na ogół glinianych, a nie jak tego wymagano – gipsowych. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem, w czerwcu 1892, urządzono pokonkursową wystawę *na balkonie gmachu teatralnego ponad głównym wejściem, obitym dywanami i draperią, wśród zieleni kwiatów egzotycznych*.



Pomnik Aleksandra Fredry na pl. Akademickim

tycznych<sup>2</sup>. Ze szczególnie życzliwym przyjęciem spotkał się projekt Tadeusza Barączy (przyszłego twórcy pomnika Sobieskiego), który jako jedyny przedstawił autora *Zemsty* (takie też obrał godło) w kontuszu. Przy okazji naśmiewano się, że *nazwiska autorów, acz utajnione pod różnymi godłami, znane są powszechnie... Stąd cały konkurs sprawia wrażenie balu maskowego w bardzo ścisłym i zaufanym kółku*<sup>3</sup>. Zebrany 23 czerwca komitet znawców przyznał I nagrodę, polegającą na skierowaniu projektu do realizacji – Leonardowi Marconiemu, obligując go zarazem do wprowadzenia pewnych poprawek (zrezygnowano m.in. z kamiennych ławek, okalających cokół). Postanowiono ponadto, że sama figura wykonana zostanie z brązu zamiast z marmuru. Dwie następne nagrody wysokości 100 złotych reńskich otrzymali Tadeusz Wiśniowiecki i Mieczysław Zawiejski. Praca tego ostatniego wyróżniała się pochyleniem postaci do przodu, z brodą opartą na dłoni, ale – jak pisano – nadaje się do ustawienia w jakiejś niszy lub foyer<sup>4</sup>.

Choroba Marconiego sprawiła, że mijaly kolejne terminy inauguracji pomnika (np. w lipcu 1894, z okazji Wystawy Krajowej), a ustawiony na placu cokół z czerwonego kamienia trembowelskiego pozostawał pusty. Do odsłonięcia doszło dopiero w niedzielę 24 października 1897. Tak opisywało ten dzień „Słowo Polskie”<sup>5</sup>: *Nadeszła uroczysta niedziela wśród jesieni figlarnej jak humor Fredry ojca* (żywa wtedy była jeszcze pamięć syna Aleksandra, też komediopisarza, stąd zaznaczenie – przyp. P.M.St.).

*Niepokoili Lwów te figle jesieni już od dni kilku: zdawało się nawet, że wśród deszczu odsłonimy nowy pomnik. To śmiało się do nas słońce, wesole jak pogodna twarz starego Jowialskiego, to znów chmużyło się nad*

*nami jak czoło rejenta Milczka, to wreszcie ciął nas wiatr jesienny z deszczem ostrym jak satyryczny dowcip twórcy „Geldhaba”. W niedzielę wreszcie od rana panowało zimno dotkliwe, a na horyzoncie kłębiły się chmury coraz gęstsze. Ale snadź stary Fredro musi być w łaskach niebiańskich, skoro w chwili, gdy miała się rozpocząć uroczystość odsłonięcia pomnika, nagle spośród chmur wyjrzało słońce, uśmiechając się do tłumów. Od dawna wypełniały już one niewielki placyk i przylegające doń ulice, na których wstrzymano ruch kołowy. Wszystkie stany i warstwy, ludzi wszystkich zawodów i rodzajów pracy – wylizła w swym sprawozdaniu „Gazeta Lwowska”<sup>6</sup>. A zatem aktorki z weteranką lwowskiej sceny Anielą Aszpergerową, grającą w sztukach Fredry za jego życia, oraz przedstawiciele wszystkich trzech wyznań katolickich (łacińskiego, unickiego oraz ormiańskiego, z jego arcybiskupem Issakowiczem). Odnotowano natomiast, że „*koła arystokratyczne i finansowe oraz inteligencja żydowska słabo były reprezentowane*”. Według „Dziennika Polskiego”<sup>8</sup> *Las cylindrów i szapokłaków falował (...)* *ze wszystkich okien i balkonów okolicznych, ciekawe główki kobiece, uzbrojone w binokle, śledziły przebieg uroczystości. Zajęto nawet oparkanie budującego się gmachu, zasłoniętego na dzień uroczystości całym gajem choinek. Pewna część publiczności skorzystała z rusztowań tej budowli na wysokości pierwszego piętra i znalazła na nich (...) niejako improwizowane trybuny*<sup>9</sup>. *Aparaty fotograficzne wycelowane swoimi szkiełkami w posąg ukryty za zasłoną z czerwonego sukna z draperiami niebieskimi, rozpiętą na czterech drażkach również czerwonych. Tuż przy pomniku wzniesiono mównicę, przystrojoną materią o tych samych barwach miejskich – można było przeczytać w relacjach prasowych. O godzinie wpół do dwunastej z wieży ratusza wywieszono lwowską chorągiew, a na placu zagrano hejnał. Na trybunę wstępowali kolejno mówcy: Albert Wilczyński we fraku, z głową odkrytą, zabierający głos w imieniu tych, którzy rzucili hasło postawienia pomnika; August Balasits we fraku, z głową nakrytą, jako reprezentant aktualnych władz Koła literacko-artystycznego – dał hasło do odsłonięcia. Prezydent miasta Godzimir Małachowski w kontuszu, z łańcuchem burmi-**



Popiersie Aleksandra Fredry przed krakowskim Teatrem im. Słowackiego nocą  
 Fot. Piotr Fall



strzowskim na piersiach, w kółpaku i przy karabeli apelował do mieszkańców Lwowa o pieczę nad monumentem, co uczynił nie bez kozery, gdyż trzy dni wcześniej chuligani uszkodzili postument. A gdy pojawił się potomek pisarza – jego wnuk, Andrzej – w czarnym kontuszu (mimo że po rozstrzygnięciu konkursu zabiegał o rezygnację z przybrania dziadka w czamare – przyp. P.M.St.), z kółpakiem w dłoni – szmer przeszedł. Kiedy bowiem mówca odwrócił głowę w prawo, jak u postaci na pomniku, uderzyło wszystkich niepospolite, chwytające podobieństwo wnuka do dziadka. Jedyne czoło starego Fredry więcej zmarszczkami poorane, czupryna bujniejsza i inaczej zaczesana<sup>10</sup>. On też wydał następnie w Kasyńce miejskim bankiet na 120 nakryć. Reporter „Gazety Narodowej” odnotował, że ogólną uwagę zwracał ks. Szeptycki, bazylianin, któremu powszechnie wrożą osiągnię-

cie w niedługim czasie wyższych dostojestw w hierarchii gr.-kat. kościoła<sup>11</sup>. Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że przyszedł władca świętojurski był za sprawą swej matki wnukiem Fredry. Nie zabrakło więc toastów na cześć tego rodu.

Wieczorem odegrano „Śluby panieńskie” w Teatrze Skarbkowskim, którego *widownia dekorowana bardzo gustownie herbami województw, ziem i miast polskich oraz kolorami narodowymi, była wypełniona inteligentną publicznością*<sup>12</sup>. To pewnie a propos wcześniejszych obaw dyrekcji, że na przedstawieniach z powodów świąt narodowych zazwyczaj bywają w teatrze pustki, tak że miasto musiało wykupić większą część biletów, aby w dniu, kiedy naród wznosi pomnik Fredrze, w polskim teatrze nie śpiewano „Pięknej Heleny” lub tańczono sprośnego kankana. Właściwą sztukę poprzedził okolicznościowy prolog, ułożony przez Adolfa Walewskiego, pod koniec którego uniosła się kurtyna i przy dźwiękach hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła” ukazał się żywy obraz, skomponowany z postaci fredrowskich, upozowanych wokół jego popiersia.

Podobna apoteoza, którą współtworzyli m.in. *rejent Milczek i cześnik Raptusiewicz podający sobie ręce do zgody, Geldhab zgarniający worki ze złotem, kapelan z „Dam i huzarów”*<sup>13</sup>, pojawiła się 8 listopada 1900 w Krakowie, tyle że na zakończenie „Ślubów panieńskich”, dawanych z okazji ufundowania krakowskiego pomnika Fredry. Przybrał on znacznie skromniejsze rozmiary, w rzeczy samej popiersia, choć dwukrotnie większego od naturalnego, a wyrzeźbionego przez Cypriana Godebskiego, twórcę pomników: Mickiewicza w Warszawie i Kopernika w Krakowie. Był on darem ówczesnego filantropa Konstantego Wołodkowicza i może dlatego bez większego rozgłosu stanął 19 października na gazonie przed Teatrem Miejskim (Rada Miejska ograniczyła się jedynie do wyrażenia swego podziękowania). Aby zrekompensować brak oficjalnego odsłonięcia, dyrektor krakowskiego teatru Józef Kotarbiński ogłosił 8 listopada dniem fredrowskim. W jego ramach odprawiona została poranna msza w pobliskim kościele św. Krzyża, w której wzięli udział: prezydent Krakowa Józef Friedlein, dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej Karol Estreicher oraz zastęp literatów i przyjaciół sceny<sup>14</sup>, po





czym udano się po posąg, u stóp którego dyrektor Kotarbiński złożył wieniec laurowy. Podczas wieczornego spektaklu wygłosił zaś specjalnie na tę okazję napisany przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera wiersz, po którym nastąpił wspomniany już żywy obraz, przygotowany – jak we Lwowie – przez Adolfa Walewskiego przy współpracy Piotra Stachewicza. Recenzent „Głosu Narodu”<sup>15</sup> ubolewał jedynie, że *publiczność powinna przyjść w odświętnych szatach, niestety tylko kilku mężczyzn w pierwszych rzędach foteli uznało za stosowne przybrać fraki*, wyrażając zarazem życzenie, aby sztuki Fredry na stałe weszły do repertuaru teatru, za czym przemawiać miały *wybuchy wesołości, burze oklasków, płynące głównie z górnych warstw teatru*. Ponadto wraz z zapadnięciem zmroku iluminowano pomnik światłem, rzucanym z dwóch przeciwnych reflektorów.

[...]\*

Na zakończenie warto napomknąć, że twórca lwowskiego Fredry – Leonard Marconi – wpisał się również w pejzaż krakowski konnym pomnikiem Tadeusza Kościuszki, ustawionym na bastionie wawelskiego wzgórza.

<sup>1</sup> „Tygodnik Ilustrowany” nr 44 z 30 X 1897, s. 870–872.

<sup>2</sup> „Gazeta Lwowska nr 132 z 11 VI.

<sup>3</sup> jw.

<sup>4</sup> „Gazeta Narodowa” nr 144 z 16 VI.

<sup>5</sup> nr 250 z 25 X.

<sup>6</sup> nr 244 z 26 X.

<sup>7</sup> „Tygodnik Ilustrowany”, jw.

<sup>8</sup> nr 297 z 26 X.

<sup>9</sup> „Słowo Polskie”, jw.

<sup>10</sup> „Kurier Lwowski” – dodatek nr 297 z 25 X.

<sup>11</sup> nr 297 z 26 X.

<sup>12</sup> „Dziennik Polski”, jw.

<sup>13</sup> „Nowa Reforma” nr 257 z 10 XI 1900.

<sup>14</sup> „Czas” nr 274 z 8 XI.

<sup>15</sup> nr 256 z 9 XI.

\* Autor opisał w tym miejscu pomnik M. Hruszewskiego, jaki postawiła ukraińska administracja Lwowa w latach 90. w miejscu pomnika Fredry, usuniętego po II wojnie (jak większość pomników lwowskich) i odesłanego do Wrocławia. Z fragmentu tego zrezygnowaliśmy (*red.*).

*W przyszłym roku przypada 130. rocznica śmierci naszego największego komediopisarza, Aleksandra Fredry (1793–1876). Jego podobizna zdobi okładkę niniejszego numeru CL.*

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

### DOBROSTANY

Wieś w pow. gródeckim, wojew. lwowskim, położona w odległości 9,5 km na pń. od Gródka Jagiellońskiego, wśród lasów, przy trzech dużych stawach. Parafia rzym.kat. w pobliskiej kolonii niemieckiej Weissenberg (Białogóra); parafia gr.kat. w miejscu.

W 2. połowie XIX w. był tu browar należący do Kaliksta Ponińskiego, właściciela dóbr dobrostańskich.

Zob. też *Wola Dobrostańska*.

### DOMAŻYR

Wieś w pow. gródeckim, wojew. lwowskim, położona w odległości 10 km na zach. od Lwowa, 11 km na pń.wsch. od Gródka Jagiellońskiego i 9,5 km od Janowa. Przechodziła tędy droga ze Lwowa do Jaworowa. Wieś należała do parafii rzym.kat. w Janowie; parafia gr.kat. w miejscu.

W 2. połowie XIX w. właścicielem Domażyra był Edward Kopecki. Założył przy tutejszej gorzelnii fabrykę drożdży prasowanych, które znajdowały zbyt w Galicji, a także poza jej granicami, w Rosji i Moldawii.

### HAŁUSZCZYŃCE

Wieś w pow. skałackim, wojew. tarnopolskim. Parafia rzym.kat. na miejscu, erygowana w 1851 r. Kościół parafialny pw. Narodzenia św. Jana Chrzciciela, murowany, wybudowany w 1869 r. ze składek społecznych. Po II wojnie światowej był czynny bez przerwy.

Przed 1939 r. parafia gr.kat. była w Żerebkach Szlacheckich.

### MSZANA

Wieś w pow. gródeckim, wojew. tarnopolskim, położona w odległości 12 km na pń.wsch. od Gródka Jagiellońskiego i 11 km na pld.wsch. od Janowa. Należy do dorzecza Dniestru przez rzeczkę Wereszycę i niewielkie strugi wodne spływające do potoku Stawiska, dopływu Szczarka. Leży na wys. 303 m npm.

Anna Madej

## CO SŁYCHAĆ U TARNOPOLAN

W dniach 13–17 czerwca 2005 r. w Soli koło Rajczy w Beskidzie Żywieckim odbył się XIX Koleżeński Zjazd Tarnopolan, zorganizowany przez Klub Tarnopolan przy TMLiKPW w Krakowie. Ośrodek wypoczynkowy „Jodła” w Soli (nazwa miejscowości wywodzi się od pokładów soli, którą wydobywano tu i warzono 400 lat temu), w którym odbywał się zjazd, jest położony w malowniczym terenie, powietrze wspaniałe, atmosfera stworzona przez kierownictwo ośrodka bardzo przyjemna, więc „zjazdowicze” mogli też doskonale wypocząć. Uczestniczyło w zjeździe 111 osób z całej Polski, a także czworo gości z Tarnopola.

Głównym i najbogatszym w wydarzenia dniem był wtorek 14 czerwca. Zaczęliśmy od mszy św., koncelebrowanej przez ks. Andrzeja Maligę z Tarnopola i miejscowego proboszcza ks. kan. Władysława Rypienia. Tradycyjnie modliliśmy się za tarnopolan, którzy zmarli od poprzedniego zjazdu (dwadzieścia kilka osób), ale też za nas samych i za Rodaków na Ziemi Tarnopolskiej. W czasie mszy odmówiliśmy *Tarnopolską Litanię do Matki Boskiej*, która niejednemu uczestnikowi wycisnęła łzy z oczu. Po mszy było wspólne zdjęcie, a po obiedzie odbyło się oficjalne spotkanie, na którym Komitet Organizacyjny wręczył okolicznościowe dyplomy dwom najstarszym (rocznik 1917) uczestnikom zjazdu. Dyplomy otrzymali też najwytrwalsi, którzy nie opuścili ostatnich pięciu zjazdów, oraz najmłodsza uczestniczka, 11-letnia Zosia z Wejherowa.

Następnie ksiądz Andrzej Malig opowiedział o problemach parafii w Tarnopolu i o postępie prac przy budowie kościoła. Dom katechetyczny funkcjonuje niemal w całości. Są w nim mieszkania dla dwóch księży, sala katechetyczna oraz duża kaplica, gdzie odprowadzane są msze św. (msze odprowadzane są też w kaplicy na cmentarzu). Kościół ma skończony dach nad główną wieżą i prezbiterium, nad nawą główną wykonano jedynie prace ciesielskie. Brakuje blacharzy. Dopóki dach nie będzie skończony, nie można tynkować wnętrza kościoła. (Zburzony w roku 1954 przez Sowietów kościół parafialny był konsekrowany w 1908 r. – czy możliwa będzie konsekracja nowego kościoła w setną rocznicę tamtej?) W domu katechetycznym ksiądz może przyjąć na nocleg 30–40 osób. Jest też możliwość wyżywienia na miejscu. Ilość parafian ksiądz ocenia na około 600 osób. Większość mszy odprowadzana jest po polsku.

\* \* \*

Panie Irena Berg i Aniela Pałamar z Tarnopola opowiedziały o sytuacji Polaków i o pracy tamtejszego Towarzystwa Kultury Polskiej. Nowo wybrany zarząd nie pracuje najlepiej, brak jest jednności, skutkiem czego działalność kuleje lub wręcz zamiera. Stara gwardia odeszła, młodych jest mało. Wiele osób przeniosło się do parafii i tam szuka kontaktów z polskością. Stałych członków w Towarzystwie jest 50–60. Wielu płaci tylko składkę w wysokości 1 hrywny i na



Tarnopolanie w Soli 2005.  
Autorka w najmniejszym rzędzie,  
wśród pań – trzecia od prawej

tym kończy działalność. Na obchodzony w roku ubiegłym Rok Polski na Ukrainie opracowano plan, który nie w pełni zrealizowano. Na festiwalu mniejszości narodowych w Tarnopolu Polaków miejscowych było niewiele, liczniej reprezentowany był Krzemieniec. Pani Irena stwierdziła, iż w *Tarnopolu Polacy nie są lubiani, ale tolerowani. Jest lokal, ładna biblioteka – ponad 3000 książek, ale nie ma ich komu czytać.* Przy Towarzystwie działa sobotnio-niedzielną szkoła języka polskiego. Obecnie uczy w niej młoda nauczycielka z północnej Polski. Ma bardzo dobry kontakt z młodzieżą. Do szkoły uczęszcza około 150 osób, podzielonych na kilka grup w zależności od wieku i poziomu zaawansowania. Polskiego uczą się nie tylko osoby pochodzenia polskiego, ale też sporo Ukraińców. Konsulat Polski we Lwowie niezbyt interesuje się działalnością Towarzystwa. Starzy członkowie Towarzystwa nadal pracują przy porządkowaniu polskich grobów na tarnopolskim cmentarzu.

\* \* \*

Następnie o swojej działalności opowiedzieli tarnopolanie z klubów w Warszawie, Opolu, Krakowie i Żarach. Klub warszawski ma własny lokal (razem ze Stowarzyszeniem Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich), wydaje systematycznie biuletyn „Głosy Podolan”, uzyskał wejście do Internetu poprzez Wielkopolską Bibliotekę Cyfrową, gdzie można zapoznać się z biuletynami (adres: [www.wbc.poznan.pl](http://www.wbc.poznan.pl)). Dwóch członków otrzymało wyróżnienie w konkursie na wspomnienia kresowe, zorganizowanym przez Klub w Żarach. Wydało też dwa biuletyny specjalne pt. *Wysiedlenie zwane repatriacją* i T. Hussak *Podole – młodość i nostalgia*.

Klub w Żarach powstał w 2003 r. Działa bardzo prężnie. W przeciwieństwie do innych klubów, które skupiają głównie osoby urodzone na Ziemi Tarnopolskiej, klub w Żarach ma w swoich szeregach dużo młodzieży. Członkowie Klubu ufundowali i odsłoniли pomnik Pomordowanych Polaków Kresowych. W 2003 r. zorganizowano sejmik krajoznawczy, którego plonem była książka *Piękno Podola – Ziemia i Ludzie – Tradycje i Kultury*. Organizowane są coroczne konkursy literackie na wspomnienia kresowe, a także rajdy kolarskie, w których w tym roku

Oddalona o 16 km od Lwowa stacja kolejowa, istniejąca od czasu wybudowania kolei żelaznej Karola Ludwika.

Mszana należała do parafii rzym.kat. w Powitnie; parafia gr.kat. w miejscu.

### PACYKÓW

Wieś w pow. stanisławowskim, wojew. stanisławowskim, położona w odległości ok. 10,5 km na płd.zach. od Stanisławowa, nad Bystrzycą Nadwórniańską. Należała do parafii rzym.kat. w Stanisławowie. Parafia gr.kat. w miejscu. W najbliższej okolicy od dawna rozwinięte było rzemiosło garncarskie.

Pacyków stanowił własność Fredrów. Około połowy XIX w. (?) w drodze spadku przeszedł w ręce Józefa Jabłonowskiego, który przy końcu stulecia sprzedał wieś powracającemu z emigracji Stanisławowi Brykczyńskiemu. Ten, pochodzący z zaboru rosyjskiego, uczestnik powstania styczniowego, osiadł w Pacykowie i rozwinął społeczną działalność gospodarczą. Był też członkiem stanisławowskiej rady powiatowej.

Słynna fabryka fajansów została założona w 1911 lub 1912 r. przez Józefa Lewickiego, brata Kazimierza, właściciela sklepu z porcelaną i „malarni” wyrobów porcelanowych we Lwowie, przy pl. Mariackim 5. Zniszczona podczas I wojny światowej oraz po raz drugi w pożarze, od połowy lat 30. przeżywała okres rozkwitu. Kierownikiem jej był wtedy Aleksander Jerzy Lewicki. W produkcji fabryki pacykowskiej przeważały fajansowe figurki zwierząt i ludzi, pojedynczo lub w wielofigurowych kompozycjach. Modele do produkcji dostarczane bywały przez znanych rzeźbiarzy: Lunę Drexler, Antoniego Popiela, Wacława Szymanowskiego. Kres istnieniu fabryki położył wybuch II wojny światowej. Po wkroczeniu wojsk sowieckich została obrabowana i zamknięta. Budynki fabryczne ocalały i po wojnie rozpoczęto w nich produkcję kafli na piec.

### PRZYŁBICE

Wieś w pow. jaworowskim, wojew. lwowskim, położona 11 km na płd.wsch. od Jaworowa, przy drodze do Sądowej Wiszni. Parafia rzym.kat była w Bruchnalu, gr.kat w miejscu.

**Historia.** W 1376 r. Władysław Opolczyk nadał rozległe grunty należące do wsi braciom Herbordowi i Frydruszowi z Felsztyna. Syn lub wnuk jednego z nich, Herbord (†1453) założył na terenach sąsiadujących z wsią miasteczko Bruchnal. Na własność dobra przyłbickie dostał dopiero



wzięło udział ponad 100 zawodników w wieku od 6 do 85 lat. Klub wydał odznakę klubową, otrzymało ją 7 osób. W marcu klub gościł Radio Maryja. Na spotkaniu tym ujawniono, że w posiadaniu klubu znajduje się zabytkowy sztandar Sokoła z 1906 r. z Borszczowa. Sztandar ten był ukrywany, a następnie przywieziony do Polski przez stryja p. Adama Masiarskiego i dopiero teraz został ujawniony. W maju br. odbył się w Żarach VII Festiwal Polszczyzny i Pieśni Kresowej „Wielkie Bałakanie”, w którym wzięło udział kilkuset wykonawców.

Klub Tarnopolan w Opolu spotyka się raz w miesiącu. Członkowie przyczynili się do wmurowania na tamtejszym ratuszu tablicy, upamiętniającej 60 rocznicę wywózek z Kresów Wschodnich. W uroczystości, oprócz kresowian, brali też udział Niemcy i Ślązacy zamieszkujący Śląsk Opolski. Współpraca między tymi grupami układa się pomyślnie. Klub tradycyjnie organizuje we wrześniu wycieczkę do Tarnopola. O tym piszemy niżej.

Klub krakowski liczy niewiele, bo około 20 osób, ale są to ludzie bardzo zgrani i chętni do pracy. Spotkania odbywają się raz w miesiącu, ale zarząd klubu ze względu na organizację zjazdu spotykał się częściej. Członkowie biorą też udział w spotkaniach organizowanych przez TMLiKPW, a także w uroczystościach ormiańskich (ks. kan. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, duszpasterz Ormian w Polsce, ma korzenie na Ziemi Tarnopolskiej) – m.in. w ormiańskiej mszy Surb Patarak, którą ku czci Ofiar Ludobójstwa Ormian w Turcji w latach 1915–1923 odprawiono 17 kwietnia tego roku w kościele św. Mikołaja w Krakowie. Klub utrzymuje stały kontakt z Tarnopolem, stara się w miarę możliwości – dzięki Wspólnocie Polskiej w Krakowie – pomagać najstarszym i najbardziej potrzebującym Polakom, przekazując im niewielkie zapomogi. Objęliśmy opie-

ką studentkę z Tarnopola i studenta z Czortkowa, którzy studiują na AGH i są naszymi łącznikami z tymi miastami.

\* \* \*

Wtorkowe popołudnie zjazdowe przyniosło nam też artystyczne wzruszenia. Pani Jadzia Wrońska, która często ubogaca spotkania krakowskich lwowian, przyjęła nasze zaproszenie i dała recital pieśni i piosenek podolskich i lwowskich.

Było też spotkanie z panią Lubomirą Bojcun – Ukrainką z Tarnopola, mającą jednak polskie korzenie, gdyż jej pradziadek był powstańcem 1863 r. Pani Lubomira wydała piękny album *Tarnopol w ciągu lat* (w języku ukraińskim). Z jej opowiadania widać było, jak bardzo kocha swoje miasto, a i dla nas jest ten album szczególnie cenny, bo zawiera bardzo dużo zdjęć takiego Tarnopola, jaki większość z nas nosi w sercu i pamięci. Autorka pisząc o kościele parafialnym mówi, że na całe życie pozostanie jej w pamięci niepowtarzalne piękno witraży i ołtarzy oraz czarowna siła muzyki organowej tego kościoła. Boleje, że tego piękna nie udało się zachować. Album ma prawie 400 stron i zawiera 720 ilustracji. Być może będzie możliwe wydanie go w języku polskim.

W czasie zjazdu pan Piotr Korpanty z Krakowa co wieczór wyświetlał przeźrocza, które robił w czasie wycieczek na Kresy. Pan Piotr nie ma kresowych powiązań, ale jego wiedzy na temat zabytków i historii Kresów niejedynemu kresowianin mógłby mu pozazdrościć (zbiór kresowych przeźroczy pana Piotra przekracza 20 tysięcy).

Jeden z wieczorów uprzyjemniła nam najmłodsza uczestniczka, Zosia Majerowska, wykonując utwory m.in. Bacha, Mozarta, Beethovena, Chopina, Vivaldiego, a także ukraińskie melodie ludowe i bardziej współczesny repertuar.

Była też wycieczka autokarowa po Żywiec, podczas której mogliśmy podziwiać przepiękne górskie krajobrazy, zjedliśmy nowo odrestaurowany pałac Prezydenta RP w Wiśle (rezydencja prezydenta Mościckiego), a także browar w Żywcu – to ostatnie oczywiście zakończone degustacją złotego płynu.

Żeby wspomóc księdza Andrzeja w jego dziele budowy kościoła, zorganizowaliśmy



aukcję książek, obrazów i innych przedmiotów. Pani Jadzia Wrońska przeznaczyła na ten cel część swojego honorarium, były też datki na tacę. To kropla w morzu potrzeb, ale kropla do kropli...

Zjazdowi towarzyszyła również wystawa zdjęć, map, pocztówek starego i dzisiejszego Tarnopola. Były też wspólne śpiewy przy ognisku, i oczywiście długie rodaków rozmowy i wspomnienia. Myślę, że większość tarnopolan wróciła do swoich domów zadowolona i pozytywnie naładowana. Zjazd pozwolił im na kilka dni *skrzydłem orłem lub sokolem unosić się nad Podolem*.

\* \* \*

**Wycieczka** miała miejsce w dniach 1–9 września, uczestniczyło w niej 38 osób. Trasa Lwów–Tarnopol–Buczacz–Stanisławów–Kołomyja–Jaremcze–Worochta. Trzy dni spędziliśmy w Tarnopolu, z tego jeden dzień był wolny i uczestnicy rozjechali się do swoich rodzinnych wiosek lub miejsc bliskich sercu. W niedzielę uczestniczyliśmy w mszy św., a potem odwiedziliśmy cmentarz na Mikulinieckiej Górze. Po południu w Towarzystwie Kultury Polskiej odbyły się dwa spotkania – jedno z nauczycielką p. Anitą Staszkiwicz i jej uczniami, którzy na spotkanie przygotowali krótki program pieśni i poezji, a potem z członkami Towarzystwa. Wszystkich powitał prof. Henryk Stroński – prezes Towarzystwa. Przy poczęstunku mogliśmy wspólnie pośpiewać i porozmawiać. Szkoda tylko, że pomieszczenia Towarzystwa są tak małe, że w sali zmieścili się właściwie tylko goście, a gospodarze stali na korytarzu. Było też spotkanie ze starszymi Polakami w domu katechetycznym. Atrakcją tej wycieczki miały być Miodobory i przełom Zbrucza pod Kręciłowem, niestety stan drogi nie pozwolił nam dotrzeć do celu. Utknęliśmy w Satanowie, gdzie mogliśmy odetchnąć wspianiałym powietrzem, posiedzieć nad Zbruczem i zakupić miód z Miodoborów! Z Tarnopola przez Buczacz, gdzie niestety nie zastaliśmy ks. Ludwika Rutyny (wyjechał do Lwowa), dotarliśmy do Stanisławowa, skąd robiliśmy wycieczki do Kołomyi (następny zawód – ks. Alfons Górowski, który wcześniej przez kilka lat był proboszczem w Tarnopolu, opuścił Kołomyję i wrócił do Polski), do Jaremcza i Worochty. Pogoda ciepła i słoneczna, widoki, szcze-

Walenty Herbut (†1555). W 1589 r. zakupił je Jan Dulski h. Przegonia, lecz już pod koniec 1. ćwierci XVII w. zostały sprzedane Jakubowi Bobowskiemu, który w 1634 r. odsprzedał je z kolei Mikołajowi Stoigniewowi. Od tego czasu Przyłbice często zmieniały właścicieli. Byli nimi kolejno Kazanowscy, Stanisław Jabłonowski, Niezabitowscy, Urbańscy. W połowie XVIII w. Ignacy Urbański sprzedał tamtejsze włości Teresie z Pocijów Humieckiej, a ta odsprzedała je Atanazemu Szeptyckiemu, grekokatolickiemu biskupowi przemyskiemu. Szeptycki ufundował we wsi cerkiew parafialną. Po śmierci biskupa Przyłbice przypadły jego bratu Bazylemu. W 2. połowie XIX w. majątek należał do Jana Szeptyckiego, żonatego z córką Aleksandra Fredry, Zofią. Synowie Jana, dziedzicząc po nim, podzielili między siebie dobra. Same Przyłbice wraz z Bruchnałem dostały się najmłodszemu, Leonowi, który był właścicielem do września 1939 r., kiedy to po wkroczeniu wojsk sowieckich został wraz z żoną zamordowany przez NKWD w dworskim parku.

**Zabytki.** Początkowo, zdaje się, Szeptyccy mieszkali w Bruchnalu i dopiero w XIX w. przenieśli się do Przyłbic, postawiwszy tam skromny dwór. W ostatniej ćwierci stulecia Jan Szeptycki wybudował obszerny nowy dwór, powiększony jeszcze w 1902 r. Wyposażenie wnętrza dworskich stanowiły zabytkowe meble, makaty buczaackie, portrety rodzinne Szeptyckich i Fredrów. Na początku I wojny światowej dwór został obrabowany. Ocalały tylko przedmioty oddane uprzednio na przechowanie ludności miejscowej. W 1939 r., po ponownym obrabowaniu i śmierci właścicieli, opustoszały dwór popadł w ruinę i obecnie już nie istnieje.

Z budynków dworskich zachował się śpichlerz datowany na XVIII w., murowany, piętrowy, kryty dachówką. W odległości 0,5 km od dworu stała kaplica grobowa, wzniesiona przez Zofię z Fredrów Szeptycką.

#### SKOROMOCHY

Wieś w pow. buczaackim, wojew. tarnopolskim. Od połowy XVIII w. własność ormiańskiej kupieckiej rodziny Antoniewiczów. Pierwszym właścicielem był zapewne Jan Antoniewicz, który za cesarza Józefa II uzyskał tytuł szlachecki z przydomkiem Boloz. Po jego śmierci (1796) dziedzicami byli kolejno jego syn, a następnie wnuk, Jan Boloz-Antoniewicz (1858–1922), historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, współzałożyciel lwowskiego Towarzystwa Naukowego.



gólnie w górach – wspaniałe, otwarta przestrzeń, biel stad gęsi w ilościach niewidzianych w dzisiejszej Polsce, ciągle jeszcze dzika przyroda, pozwoliły uczestnikom wycieczki w pełni chłonąć urok tej ziemi, z której historia ich wygnała.

\* \* \*

**Niecodzienna uroczystość** miała miejsce 17 czerwca w kościele oo. Dominikanów w Krakowie. Dwaj Synowie Ziemi Tarnopolskiej obchodzili jubileusz 60-lecia kapłaństwa. Byli to o. Albert Mieczysław Krapiec, postać znana ogółowi jako rektor KUL w latach 1970–1983 (jego sylwetkę przedstawiliśmy w CL 1/04), oraz o. Reginald Stanisław Wiśniowski. W samo południe Dostojni Jubilaci koncelebrowali uroczystą Eucharystię, która zgromadziła nie tylko ich rodziny i przyjaciół, ale też i rzesze wiernych. Po mszy św. było spotkanie z zaproszonymi gośćmi. Pisząca te słowa (która wcześniej opuściła Zjazd Tarnopolan w Soli) przekazała dostojnym Jubilatom życzenia podpisane przez tarnopolan zgromadzonych na zjeździe.

O. Reginald urodził się w Czortkowie (1920) w głęboko wierzącej rodzinie, czego dowodem, że pięcioro z dziesięciorga dzieci oddało się w służbę Bogu. Po maturze w czortkowskim gimnazjum w lipcu 1939 r. wstąpił do zakonu Dominikanów w Krakowie, 17 czerwca 1945 r. razem z O. Albertem Krapcem otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. bpa Michała Godlewskiego. Po święceniach do 1960 r. pracował jako wychowawca kleryków w Krakowie i Jarosławiu, przez następne 10 lat był wychowawcą kleryków w Poznaniu. W latach 1970–91 przebywał w Warszawie, gdzie był kierownikiem referatu kaznodziejskiego (czyli kierował na misje i rekolekcje), a także sam prowadził bardzo dużo rekolekcji i misji zarówno zakonnych, jak i parafialnych. Był też inicjatorem krucjaty różańca rodzinnego. W 1991 r. wyjechał do rodzin-

nego Czortkowa, gdzie przebywał do 1996 r., remontując oddany w 1989 r. parafianom kościół, oraz prowadząc pracę duszpasterską nie tylko w Czortkowie, ale też w okolicznych miejscowościach (Jagielnica, Kopyczyńce, Zalesie, Szańkowce, Probużna, Kociubińce). Dzięki zaangażowaniu parafian, którzy chętnie pomagają (jest też ekipa fachowców, ale Ojciec podkreśla, że to głównie parafianie remontowali odzyskany kościół) w 1995 r. zakończono remont i można było dokonać konsekracji. Do ołtarza głównego wrócił obraz Matki Boskiej Różańcowej, ale nie w oryginale, gdyż ten znajduje się w kościele św. Jacka w Warszawie. Wywiózł go z Czortkowa o. Urban Szeremeta – początkowo był w Krakowie, potem w kaplicy klasztornej w Warszawie, a teraz umieszczony jest w kaplicy po lewej stronie kościoła. To do tego obrazu (daru króla Jana Kazimierza z 1663 r.) pielgrzymują w pierwszą niedzielę września czortkowieńskie rozszani po całej Polsce. Pielgrzymki te zapoczątkował jeszcze w latach 70. o. Urban, a w latach 80. przejął o. Reginald. Początkowo przed obrazem Kresowej Hetmanki gromadziło się 300–400 czortkowieńskich. Przyjeżdżali też z zagranicy, ale czas robi swoje i w tym roku było ich tylko około 80. Parafia w Czortkowie liczy do 400 osób, w tym około 200 Polaków.

Należy też przypomnieć o Dominikanach (ośmiu ojców i braci), którzy zostali zamordowani 2 lipca 1941 roku przez NKWD. Czterech zostało rozstrzelanych w klasztorze, czterech wyprowadzono za miasto nad Seret i tam rozstrzelano. Dzięki staraniom o. Reginalda, w 50. rocznicę tej zbrodni prochy męczenników ekshumowano z mogiły nad Seretem i przeniesiono do kaplicy cmentarnej. 2 lipca 2001 r. uroczyste obchodzono 60-lecie ich męczeńskiej śmierci, przy współudziale biskupów, duchowieństwa i tłumów wiernych. Czynione są starania o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego czortkowskich męczenników.

Z wielkim bólem przyjęli Tarnopolanie po tej i tamtej stronie granicy wiadomość o niespodziewanym odejściu w dn. 25 listopada 2005

## śp. IRENY BERG

współzałożycielki, członka Zarządu i spiritus movens Towarzystwa Kultury Polskiej w Tarnopolu.

W następnym numerze poświęcimy Jej szersze wspomnienie.

# Polska Szkoła Sobotnia w Borysławiu ma już 16 lat

## Jak się rodziła inicjatywa

Było lato 1989 roku. Stanisław Bartmiński, ksiądz proboszcz z Krasiczyna k. Przemysła, zaprosił na kolonię do swojej plebanii 60-osobową grupę polskich dzieci z Borysławia. Nauczył je wielu religijnych i świeckich piosenek, a na koniec obdarował wielką biblioteką książek religijnych. Dzieciom towarzyszyły cztery nauczycielki, z których dwie brały później udział w założeniu polskiej szkoły w Borysławiu.

Właśnie w Krasiczynie powstała pierwsza myśl o założeniu polskiej szkoły. Trzeba było się zorientować, czy z tego pomysłu coś będzie, czy będą chętni rodzice do posyłania dzieci w sobotę na naukę i czy będzie to dla dzieci ciekawe? Chodziło o to, że sobota była dniem wolnym od lekcji, dzieci miały czas na zabawy. Czy dzieci polskiego pochodzenia będą chciały uczyć się mowy ojczystej?!

Jednocześnie zgodnie z decyzją miejskiego wydziału edukacji, w ukraińskich szkołach średnich nr 1, 4, 8, 7 od 1 września 1989 roku rozpoczęło się fakultatywne nauczanie języka polskiego (1 godzina tygodniowo). Zebrane grupy zainteresowanych liczyły od 9 do 15 osób. Nauczycielkami były panie: Maria Dąbrowska, Natalia Fedyna, Olga Gruszka, Orysia Buranowska, Krystyna Krasnopolska i Janina Podstawek. Nauczycielki otrzymywały wynagrodzenie pieniężne.

Nauczanie fakultatywne trwało do maja 1993 roku. Okazało się bowiem, że takie „rozproszenie” po szkołach dobre jest tylko na początku, na etapie organizacji. I chociaż wszystkie nauczycielki miały wyższe wykształcenie pedagogiczne, były jednak samoukami z języka polskiego – żadna z nich nie chodziła nawet do polskiej szkoły.

Na przełomie XVIII/XIX w. właściciele wybudowali w Skoromochach dwór, który został zniszczony podczas działań wojennych w 1917 r. Wraz z nim przepadła mieszcząca się w jego wnętrzu kolekcja obrazów XVII- i XVIII-wiecznych malarzy włoskich i niemieckich. Dworu nie odbudowano, a dla celów mieszkalnych zaadaptowany został budynek gorzelni przy dworskim ogrodzie. Ostatnią właścicielką była do 1939 r. córka prof. Bołoz-Antoniewiczza, Janina, zamężna za Edmundem Załęskim.

## WOLA DOBROSTAŃSKA

Wieś w pow. gródeckim, wojew. lwowskim, położona między Dobrostanami a Lwowem, w odległości 29 km na pñ.zach. od centrum Lwowa i 14 km na pñ. od Gródka Jagiellońskiego, wśród rozległych lasów Roztocza. Przez tereny wsi spływają źródła z całego obszaru i wpadają do potoku, tworzącego po stronie pñ.zach. staw Dobrostański. Dalej wody potoku przejmują Wereszyca. Zabudowania wiejskie znajdują się nad stawem Wolickim. Najważniejsze wzniesienie, zw. Wysoką Górą, mierzy 363 m n.p.m., najniższe miejsce 280 m n.p.m. znajduje się w dolinie stawu Wolickiego.

Za czasów I Rzeczypospolitej wieś należała do dóbr królewskich starostwa gródeckiego. W 2. poł. XIX w. właścicielem Woli Dobrostańskiej był Kalikst Poniński.

W 1896 r. zapadła decyzja o przeprowadzeniu do Lwowa wody ze źródeł dobrostańskich. W marcu 1901 r. uroczyście oddano do użytku pierwszy rurociąg. Pod koniec grudnia 1918 r. wypchnięte ze Lwowa wojska ukraińskie zatrzymały pracę pompowni w Woli Dobrostańskiej, a 19 marca następnego roku wysadziły w powietrze jeden z agregatów pompowych oraz budynek maszynowni. Dwa pozostałe agregaty uratowały się dzięki zamoknięciu lontów. Mieszkańcy Lwowa byli pozbawieni wody stamtąd przez 105 dni. W latach trzydziestych XX w. źródła dobrostańskie dostarczały miastu 33 miliony litrów na dobę (maksymalnie mogły dostarczać 34,5 mln l). Woda ze źródeł dobrostańskich słynęła na całą Polskę z doskonałej jakości.

Oprócz Woli Dobrostańskiej wodę do Lwowa dostarczały jeszcze źródła ze Szklą, oddalonego o 7 km na pñ.zach. od Woli. Tuż przed II wojną światową miano rozpocząć budowę nowego rurociągu prowadzącego wodę ze źródeł pod pobliskim Kamieniobrodem (nad Wereszycą, między Dobrostanami a Gródkiem Jagiellońskim).

Maria Taszycka



W sprawie założenia szkoły wielką pomocą służyła pani Krystyna Krasnopolska, która była metodyczką miejskiego wydziału edukacji i miała dostęp do wszystkich nowych ustaw dotyczących szkół. W biuletynie informacyjnym Ministerstwa Oświaty Ukrainy nr 23 z grudnia 1992 roku ukazała się ustawa o niedzielnych szkołach dla mniejszości narodowych na Ukrainie. Pani Krystyna Krasnopolska zapoznała kilka nauczycielek-Polek z ustawą, a one zwróciły się do miejskiego Wydziału Oświaty z prośbą o pozwolenie na założenie szkoły. Borysławska Rada Miasta 7 października 1993 roku wydała decyzje nr 515 „O otwarciu polskiej szkoły niedzielnej przy ukraińskiej ogólnokształcącej szkole średniej nr 3”.

Tak powstała Polska Szkoła w Borysławiu, miście położonym w górach, wśród lasów, gdzie znajduje się źródło wody mineralnej „Naftusia”, 6 km do znanego uzdrowiska Truskawiec.

## Początki działania szkoły

Pracę rozpoczęły cztery nauczycielki: Maria Dąbrowska (kierowniczka szkoły, która rok później założyła kulturalno-oświatowe towarzystwo „Zgoda”), Danuta Mrozek, Eleonora Popowicz i Aleksandra Krajnik. Szkoła mieściła się w dawnym gimnazjum polskim, co miało symboliczną wymowę. Przyjeżdżający do nas goście uczyli się w latach 1939–1945 w tym gimnazjum.

Co sobotę otwierano cztery klasy, a wyposażeniem były tylko ławki i tablice. Było bardzo mało podręczników, więc tablica i kreda stanowiły podstawowe pomoce

szkolne. Było 52 uczniów. Tak minął pierwszy rok nauki.

Rok szkolny 1994/95 był lepszy. Nauczycielki Eleonora Popowicz i Aleksandra Krajnik z kursów na UMCS w Lublinie przywoziły komplet podręczników pod redakcją Heleny Meterowej „Czytam po polsku” i „Pokochaj polską mowę”. Do 80 podręczników dołożone były zeszyty do ćwiczeń. Cały ten „dobytek” wraz z magnetofonem przechowywany był w pokoju sprzętów w żelaznej szafie zamykanej na kłódkę. Nauczycielki się cieszyły, bo to było coś swojego, coś własnego.

Szkoła funkcjonowała; starała się podtrzymać tradycje, np. obchody rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, dzień św. Mikołaja i inne. Istniała potrzeba nauczania też przedmiotów muzycznych. Z inicjatywy pani Marii Dąbrowskiej powstał zespół „Jaskółki”, kierowany przez pianistę Jerzego Cybałowa i jego żonę Danutę – choreografkę. Zespół występował m.in. w Legnicy i Wałbrzychu.

Pierwsi absolwenci opuścili szkołę już w 1994 roku. Była to młodzież polska, która uczęszczała też na zajęcia fakultatywne z języka polskiego i zdawała następnie egzamin z tego języka. Prawie wszyscy dostali się na studia wyższe w Polsce. Dzisiaj już wiemy, że skończyli studia i zostali magistrami, jak Irena Macokina, Maria Diguńska, Roman Sura i inni. Niektórzy z nich zostali w Polsce i założyli rodziny. Inni wrócili na Ukrainę i pracują.

Mijały lata, zmieniała się sytuacja i kadry. Do 1996 roku nauczyciele dostawali pensje. Od 1 września 1996 roku do dzisiaj pracują społecznie, bez żadnej zapłaty.

## Rozwijamy działalność

W 2000 roku kierowniczką szkoły została Krystyna Krasnopolska. W tym czasie zainteresowało się nami Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej. Przedstawiciele Towarzystwa przyjechali do szkoły, byli na zajęciach, sprawdzali wiedzę uczniów i przekonali się, że tej szkole warto pomóc i pomogli.

Od dyrektora ukraińskiej szkoły i miejskiego wydziału oświaty dostaliśmy w 2000 roku na własność pomieszczenie (bez pod-

łogi i z zagrzybionymi ścianami), które od lat było nieużywane.

Prezes warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej R. Kołudzi-Sztobbe, wiceprezes Jerzy Gordowy, skarbnik Zbigniew Bogacz, Ewa Bielecka i inni członkowie wsparli finansowo remont pomieszczenia. Remontem kierowała Krystyna Krasnopolska. Tak powstała pracownia języka polskiego. Pokój został podzielony na pracownię, bibliotekę i pokój nauczycielski. Wszystko było gotowe na początek roku szkolnego.

Od Towarzystwa dostaliśmy też telewizor, wideo i inny sprzęt techniczny, a od Wspólnoty Polskiej w Krakowie literaturę piękną, mapy, tablice gramatyczne i historyczne.

Członkowie warszawskiego TPZD odwiedzali szkołę parę razy w roku, przywożąc książki, podręczniki, zeszyty i długopisy. Problemy naszej szkoły szczególnie leżały na sercu p. Bogaczowi, który przed wojną chodził do tego gimnazjum, i p. Bieleckiej, której matka była tu nauczycielką.

W 2003 roku szkoła obchodziła 10-lecie. Byli przedstawiciele władz miasta i dużo gości zagranicznych. Było to autentyczne święto polskości.

Uczymy języka polskiego, literatury polskiej, a także geografii i etnografii Polski. W programach nauczania zwraca się uwagę na cztery elementy nauczania: słuchanie, mówienie, pisanie i czytanie.

Ponieważ szkoła cieszy się popularnością wśród społeczności lokalnej, pojawiają się w niej nowi uczniowie i fakt ten napawa optymizmem. W 2004/2005 w szkole było 142 uczniów – Polacy, Ukraińcy, Żydzi i Rosjanie. Różnorodność powoduje pewne trudności. Trzeba nowicjuszy uczyć po lekcjach języka na tyle, aby mogli należycie uczestniczyć w zajęciach.

W 2004 roku otrzymaliśmy następną nieużywaną klasę, jeszcze bardziej zniszczoną. Przy jej remoncie, finansowanym przez warszawskie TPZD, pracowali wynajęci robotnicy,

a także rodzice i nauczyciele. 1 września pracownia literatury polskiej była gotowa.

W pracowni znajduje się tablica pamiątkowa o życiu i twórczości Adama Mickiewicza, ufundowana przez dyrektora gimnazjum w Poznaniu, wystawa obrazów i książek o życiu Jana Pawła II, fotografia Papieża i znicz z Jego podobizną – wszystko przekazane przez prezes Komisji Charytatywnej w Bytomiu, panią Alicję Bizan-Kłos.

Miejski wydział oświaty w Borysławiu prowadzi okresowe sprawdzanie jakości pracy nauczycieli polskiej szkoły. Taka kontrola była przeprowadzona po raz pierwszy w 1994 roku, natomiast w roku 2001 dodatkowo szczegółowo sprawdzano poziom wiedzy uczniów, hospitując lekcje każdego nauczyciela. Wnioski z kontroli okazały się pozytywne dla szkoły, a poziom nauczania – procesu dydaktycznego i wychowawczego – na należyłym poziomie. Protokół pokontrolny był odczytany podczas posiedzenia rady miejskiej poświęconego edukacji, w obecności dyrektorów wszystkich szkół.

## Nasze sukcesy

Praca z młodzieżą jest ciekawa. Uczniowie aktywnie uczestniczą w życiu szkoły, chętnie biorą udział w konkursach, w spotkaniach z poezją i wieczorach poetycko-muzycznych. Młodzi ludzie, których znajomość języka i kultury polskiej jest zaawansowana, biorą udział w pracy kółek zainteresowań: literackim, teatralnym, historycznym. Nie oznacza to, że nauczyciele zapominają





o tych mniej uzdolnionych – są jeszcze kółka sportowe, plastyczne, itp.

W latach 2001–2004 bardzo aktywnie działało kółko historyczne. Jego członkowie przygotowali się do udziału w konkursie międzynarodowym pt. „Czy znasz Kraków?”. Ośrodek Edukacji Kultury Dzieci Polskich na Wschodzie otrzymał z Centrum Młodzieży im. dr. H. Jordana w Krakowie testy eliminacyjne i literaturę potrzebną do ich rozwiązania. Dziesięcioro uczniów pracowało po lekcjach, uczyło się historii Krakowa i rozwiązywało testy. W efekcie w 2003 roku za rozwiązanie testów otrzymali 187 punktów na 190 możliwych! Zostali potem zaproszeni do udziału w drugiej i trzeciej edycji konkursu do Krakowa, gdzie występowali wśród ośmiu grup uczestników: z Czech, Białorusi, Finlandii, Rumunii, Litwy, Łotwy i USA. Dwukrotnie zajęli trzecie miejsce. Dyplomy sprawiły wielką radość i napawały dumą (nagrodzeni w I edycji konkursu – O. Melnykowicz, Sławek Chanlak i O. Pahuta, w II edycji – Natalia Dybtan, Wiera Lisowец, Konstanty Hetman).

Występy teatralne naszych uczniów można podziwiać podczas uroczystości szkolnych, szczególnie w czasie inauguracji i zakończenia roku szkolnego. 14 czerwca 2002 roku kółko teatralne wystawiło fragment „Ślubów panięskich” – w ramach Korczyńskich Spotkań z Aleksandrem Fredrą. Aleksandra Nyżnyk zajęła I miejsce w konkursie plastycznym na ilustracje do utworów Fredry. Corocznie Polskie Towarzystwo im. Strzy organizuje konkurs teatryków pod hasłem „Podaruj dzieciom uśmiech”, poświęcony Kornelowi Makuszyńskiemu. Już dwukrotnie brały w nich udział i nasze dzieci.

Zespół taneczny występuje nie tylko w szkole, ale w 2003 roku wystąpił również podczas VI Integracyjnego Festiwalu Dorobku Artystycznego Polskich Środowisk Przygranicznych. Za udział w konkursie w Krasnobrodzie szkoła otrzymała dyplom.

Co roku organizowane są w szkole konkursy poezji Adama Mickiewicza i Marii Konopnickiej, w których biorą udział prawie wszyscy uczniowie, a najlepsi jadą na konkursy międzynarodowe. Tu najbardziej wyróżniła się klasa pani Aleksandry Krajnik, która w ciągu 5 lat brała udział we wszyst-

kich konkursach, a każdy uczeń raz albo dwa – w konkursach międzynarodowych. W 2005 roku było 22 absolwentów. Te sukcesy recytatorskie nie byłyby możliwe gdyby nie pomoc Centrum Młodzieży im. dr. Henryka Jordana w Krakowie, które organizowało warsztaty dla naszej młodzieży – nasi recytatorzy brali w nich udział trzykrotnie. Bez wsparcia ze strony fachowców nie byłoby sukcesów na konkursach międzynarodowych.

Od 1999 roku szkoła współpracuje ze Światowym Stowarzyszeniem „Klub Złoczowski” i uczestniczy we wszystkich jego konkursach, a Olek Stolar otrzymał Grand Prix na jednym z konkursów.

Najwięcej uczniów uczestniczyło w Festiwalach Recytatorskich Poezji M. Konopnickiej w Przedborzu. Nagrodami i dyplomami zostali uhonorowani Irena Kosinta, Oksana Czajkowska, Aleksandra Nużnyk, Olga Pałamarczuk i Anna Lityńska, która nie tylko recytowała, ale i śpiewała skomponowane przez siebie piosenki do słów M. Konopnickiej.

Podczas konkursu „Kresy” w 2004 roku wyróżnienie otrzymał nasz uczeń Wiktor Ostafin.

Wielu naszych utalentowanych uczniów bierze udział w międzynarodowych konkursach plastycznych. W roku 2003 na Międzynarodowym Konkursie Plastycznym pod hasłem „Miejsce mojemu sercu najbliższe” wyróżnienia dostali Jan Turiab (11 lat) za pracę „Karpaty” i Maks Myga (7 lat) za „Mój dom”. Laureatką tego konkursu została Zosia Turiab, zajmując I miejsce w kategorii B. Wszystkie dyplomy i wyróżnienia są w naszej pracowni literatury polskiej.

Gdańska Fundacja Oświatowa zaproponowała uczniom naszej szkoły program edukacyjny „Paderewski”, który daje możliwość uczniom zainteresowanym Polską kształcenia się w polskich szkołach, poznania współczesnego społeczeństwa polskiego, jego języka, historii i kultury. Anna Dybtan, obywatelka Ukrainy, uczennica Polskiej Sobotniej Szkoły, została stypendystką programu „Paderewski” i od 21 sierpnia 2005 do 30 czerwca 2006 będzie się uczyła bezpłatnie w jednej z prywatnych szkół województwa pomorskiego.

## *P r o ś b a*

Poszukuje się danych o życiu i twórczości Leonarda Podhorodeckiego (vel Podhoreckiego), architekta, malarza, założyciela szkoły rysunków i malarstwa przy ul. Piaskowej we Lwowie.

Osoby, które mogłyby udzielić informacji, proszone są o wiadomości pod adresem: Barbara Ostafin, Muzeum Narodowe, Dział Grafiki, 30-062 Kraków, al. 3 Maja 1, tel. (0-12) 29-55-553.



## Nauczyciele stale się doksztalcają

Szkola to nie tylko nauczanie dzieci, ale i podnoszenie kwalifikacji nauczycieli. Głównie nauczycielskie naszej szkoły należy do Zjednoczenia Nauczycieli Polskich Szkół na Ukrainie, które organizuje warsztaty dla swoich członków. Nauczyciele z Borysławia kształcą się także na seminariach i warsztatach organizowanych przez redaktora naczelnego biuletynu „Głos Nauczyciela” i jednocześnie dyrektora Polskiej Sobotniej Szkoły w Drohobyczu, pana Adama Chłopa. Seminaria te są bardzo dobrze zorganizowane; nauczyciele dzielą się doświadczeniami i spostrzeżeniami na różne tematy, a szczególnie na temat pracy ze zdolnymi i słabymi uczniami. Corocznie pewna ilość nauczycieli wyjeżdża do Polski przekazując po powrocie informacje o nowych tendencjach w pedagogice. W ostatnich latach kierujący pracą metodyczną Adam Chłopek zaprasza gości do nas. Od 2000 do 2004 roku szkolenia prowadzili metodycy z Krakowa, Rzeszowa, Warszawy i Płocka. Ostatnio jesteśmy w ciągłym kontakcie z Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli w Płocku, skąd przyjeżdżają znawcy metod nauczania prowadząc warsztaty dla wielu nauczycieli. Wymiana doświadczeń i osobiste kontakty są bardzo ważne, tym bardziej że Polska jest od 1 maja 2004 w Unii Europejskiej.

Adam Chłopek, przy wsparciu finansowym rzeszowskiego Oddziału „Wspólnoty Polskiej”, zorganizował w Iwoniczu Zdroju seminarium na temat pracy z trudnymi uczniami. Podobne seminarium zorganizował także w Płocku.

Borysławska szkoła prowadzi także wewnętrzne doskonalenie nauczycieli, podczas których kierowniczką Krystyna Krasno-

polska informuje na bieżąco o zmianach i nowościach w pedagogice, proponuje zagadnienia, nad którymi należy się szczególnie zastanawiać w danym roku szkolnym.

Ostatnio na podstawie szkoleń w Drohobyczu utworzono system nauczania dla dzieci chodzących do „zerówki” – nauczanie przez działanie. Uczniowie Danuty Mrozek w wieku 5 do 8 lat prawie nie mówią po polsku. Dlatego uczą się polskich słów śpiewając piosenki lub podczas zabawy – „kim jestem i co robię”. W ten sposób dzieci zapamiętują poszczególne części mowy, jak rzeczowniki czy czasowniki. Metodę tę wypracowano na szkolnych spotkaniach metodycznych. Opracowano także metodę bezstresowego nauczania pisowni, która uwzględnia trudności pisania w alfabecie łacińskim, bowiem język polski jest ich drugim obok ukraińskiego językiem.

17 marca 2005 roku w naszej szkole odbyło się spotkanie dyrektorów gimnazjów z Poznania i szkół ukraińskich, z udziałem prezydenta Poznania i władz Borysławia. Wymiana doświadczeń prowadzona była na temat „Wykorzystanie interaktywnych technologii na lekcjach XXI wieku”.

**Nauczyciele Polskiej Sobotniej Szkoły w Borysławiu dbają o to, aby kaganek oświaty płonął zawsze najpiękniejszym blaskiem, co jest misją nauczycieli na obczyźnie. Wszystkich chętnych zapraszamy na gościnną ziemię w Karpaty, gdzie można zobaczyć kopalnie ropy i wosku ziemnego, źródła mineralne i odwieźdź polską szkołę.**

20.07.2005

Krystyna Krasnopolska, kierowniczką PSS  
Aleksandra Krajnik, nauczycielka PSS  
w Borysławiu

### ERRATA

Do numeru 3/05 z nowu wkradło się parę błędów.

Pierwszy na s.10: drukarnię założył **Stanisław** Chowaniec, a nie *Czesław*.

Na stronach 63–65: przede wszystkim błąd porządkowy w numeracji odsyłaczy: dwa razy użyto cyfry 4. Trzeba więc drugą *czwórkę* w tekście na s. 64, wiersz 24 od góry oraz w przypisach – zamienić na 5. Natomiast *piątkę* w tekście na s. 64, wiersz 9 od dołu oraz w przypisach – zamienić na 6. Kolejny błąd – leksykalny: w przypisie 5 (po poprawieniu cyfr) słowo *kruchty* należy zamienić na **nawy**.

Przepraszamy!

# SYLWETKI

## Profesor Kazimierz Czechowicz 1926–1999

**Chociaż przez większą część życia związany był ze Śląskiem, to jednak do końca swoich dni zachował w sercu miłość i tęsknotę za krainą młodości oraz cudowny, śpiewny kresowy akcent. Można sądzić, że odnalazł się i dobrze czuł na Śląsku, w tym regionie Polski, gdzie tak ważne są podstawowe wartości: rodzina, tradycja rzetelnej pracy i poszanowanie dla innych.**

Urodził się w 1926 roku w Tarnopolu. Dom szczęśliwego dzieciństwa ofiarowali mu rodzice, polscy inteligenci, którzy od pokoleń związani byli z Podolem. Szczególną atmosferę tego domu, sprzyjającą nauce, poszanowaniu wiedzy i rozwijaniu posiadanych zdolności, tworzyła matka – nauczycielka. W jego odczuciu jej też zawdzięcza przekazanie podstawowych wartości życiowych i szczególną filozofię. Dzieciństwo przerwała wojna, stąd naukę kontynuował na tajnych kompletach i będąc jeszcze niemal dzieckiem związał się z ruchem oporu w szeregach Armii Krajowej.

Bezpośrednio po wojnie wraz z rodzicami osiadł w Bytomiu, gdzie ukończył liceum ogólnokształcące. Znaczącym miastem na jego życiowej drodze był Wrocław. Tu uzyskał szerokie przyrodnicze wykształcenie uniwersyteckie (1947–1951) i odnalazł dziewczynę z rodzinnego Tarnopola – późniejszą żonę Danutę, z którą było mu dane przeżyć niemal pół wieku i doczekać się dwóch córek oraz dwojga wnucząt.

Po ukończeniu studiów podjął pracę we wrocławskiej Akademii Medycznej, gdzie w 1962 uzyskał stopień doktora nauk przyrodniczych, zaś w 1969 mianowany został docentem w ówczesnym Zakładzie Histologii i Embriologii wrocławskiej Akademii Medycznej. Swoje zawodowe pasje łączył

z równoczesną pracą we wrocławskich szkołach różnego szczebla. Jego zawodowe zainteresowania koncentrowały się wokół neuroendokrynologii, zwłaszcza zjawiska neurosekrecji. Nieobce były mu problemy embriologii eksperymentalnej, klasycznej histologii i anatomii mikroskopowej, a także toksykologii. Z zakresu tych dyscyplin naukowych opublikował ponad 100 oryginalnych prac badawczych, liczne skrypty i podręczniki akademickie. Wkrótce z powodzeniem przeprowadził też swój przewód habilitacyjny (1971). Głęboko zaangażowany w liczne badania naukowe, jednocześnie nie szczędził czasu na perfekcyjnie prowadzone zajęcia dydaktyczne; przez kilka lat był prodziekanem ds. studenckich Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Już przeszło trzydzieści lat temu jego pozycja zawodowa była na tyle ustabilizowana, a publikowane kolejne rozprawy na tyle znaczące, że w 1975 r. poproszono ówczesnego docenta Czechowicza o zorganizowanie katedry histologii i embriologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach i objęcie jej kierownictwa. Życiowe wyzwanie przyjął bez wahania i właśnie tu spełnił się jako naukowiec i nauczyciel. Wkrótce dysponował już nie tylko doskonale zorganizowanymi pracowniami i laboratoriami, ale także młodym, prężnym zespołem ludzi, a przede wszystkim zafascynowaną nim rzeszą studentów. Starszym imponował wiedzą, doświadczeniem i życiową mądrością, młodym zaś niespożytą energią, nienaruszoną intensywną pracą, której nie zawsze mogli dorównać młodszy o całe pokolenie współpracownicy. Cieszył się taką popularnością, że również tutaj był wieloletnim prodziekanem Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska. Właśnie jako pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu Śląskiego uzyskał w 1987 roku tytuł profesora nadzwyczajnego i wkrótce też zwyczajnego.

Jego pozycja zawodowa nie wymaga szerszego komentarza, broni się sama ogromem publikacji. Aktywnie uczestniczył także w życiu licznych gremiów naukowych, takich jak: Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, Polskie Towarzystwo Histochemików i Cytochemików, Polskie Towarzystwo Anatomiczne, Polskie Towarzystwo Fizjologiczne. Profesor Kazimierz Czechowicz był ani-

matorem niektórych ich śląskich oddziałów, tak jak Polskiego Towarzystwa Zoologicznego w 1982 r.

Tak wielki dorobek naukowy i dydaktyczny sprawił, że w zawodowych kręgach mówiło się o nim z szacunkiem i zainteresowaniem. Jego głęboka wiedza i ufność wobec ludzi sprawiała, że przyciągał do siebie zawsze najmłodszych. Wypromował ponad 90 magistrów biologii, 11 doktorów nauk przyrodniczych i życzliwie wspierał tych, którzy sięgali po wyższe stopnie i tytuły naukowe. Był krytycznym a jednocześnie życzliwym recenzentem licznych prac doktorskich i habilitacyjnych.

Był łagodnym i cierpliwym człowiekiem, nigdy nie był zdenerwowany, nawet w najtrudniejszych sytuacjach nie podnosił głosu. Mówił cicho, co sprawiało wrażenie, jakby był zażenowany, a przecież tak nie było; świadczyło to tylko o tym, że był człowiekiem bardzo skromnym i delikatnym, a przez to niesłychanie ujmującym. Wszystkim, którzy spotkali go na swojej życiowej drodze, stawał wysoki, a jednocześnie proste wymagania – oczekiwał zwykłej ludzkiej przyzwoitości i to wystarczyło, aby obdarzał ich przyjaźnią. Ogromna wiedza, kultura osobista, wysublimowane poczucie humoru i swoista filozofia życiowa była przyczyną, że społeczność akademicka postrzegala go

jako mistrza i nauczyciela w nieco już starym stylu.

Myliłby się ten, kto by sądził, że jego życie wypełniały tylko pasje zawodowe. Bardzo bliska była mu szeroko pojęta kultura, sztuka, muzyka... Uczestniczył w koncertach, był w operze; sam zresztą doskonale grał na skrzypcach. Bliska była mu też fotografia i fotografika. Przez kilkadziesiąt lat życia zgromadził także poważny zbiór znaczków pocztowych, i choć interesowało go tylko kilka wybranych tematów, to znaczna ich część ilustruje... zwierzęta. I jeszcze jedna słabość Profesora: w zaciszu domowym wypoczywał, sklejjając przez wiele godzin modele samolotów i samolocików. I tylko ten, kto zna warsztat pracy histologa, wie, że właśnie ta profesja i właśnie to hobby wymaga tej samej precyzji, cierpliwości i sprawnej ręki.

Mimo przejścia na emeryturę w 1996 roku ciągle aktywnie uczestniczył w życiu uczelni. Zmarł w 1999 roku.

Pod fotografią, którą mi ofiarował, napisał: *Pamięć o człowieku jest echem, trzeba by ją jakaś myśl wzbudziła, a wówczas człowiek nadal żyje i przebywa wśród nas.* Mam nadzieję, że to moje serdeczne wspomnienie pozwoli zatrzymać go wśród nas na dłużej.

Marian Biczycycki (uczeń)

## Laryngolodzy

*„Magazyn Otolaryngologiczny” wydał w sierpniu '04 suplement (VI), poświęcony Powstaniu Warszawskiemu, a w nim znalazł się zbiór not biograficznych 41 laryngologów polskich – uczestników tego Powstania. Wśród nich zauważyliśmy aż 12 z Ziemi Wschodnich (w tym 2 wywodzących się z Polonii z carskiej Rosji, co w międzywojennej Warszawie nie było odosobnione).*

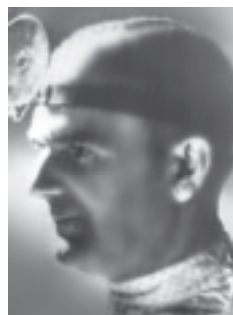
*Czworo lekarzy pochodziło z Małopolski Wschodniej:*

ANTONI DOBRZAŃSKI (1893–1953), rodem z Podola. Gimnazjum w Tarnopolu, studia we Lwowie i Wiedniu. Do 1939 r. docent, pracował w szpitalach lwowskich.

Przed samą II wojną został profesorem i kierownikiem kliniki w Warszawie, ale ze Lwowa wyjechał dopiero w roku 1941. Udział w tajnym nauczaniu, a w czasie Powstania opieka nad rannymi – do czasu zajęcia gmachu

kliniki przez nacjonalistów ukraińskich, którą przeniósł wtedy poza Warszawę. Po wojnie profesor i dziekan AM, redaktor czasopism fachowych, prezes Polskiego Towarzystwa Otolaryngologicznego. Odznaczony Krzyżem Walecznych za udział w bojach o Lwów.

Przyp. red.: Rodzina Dobrzańskich mieszkała we Lwowie na rogu ul. Romanowicza i Sena-



torskiej. Dzieci, Andrzej i Anna, osiadły po wojnie w Ameryce.

**HENRYK KINDLER (1900–1981)**, ur. w Stryju. Studia we Lwowie. W latach 30. praca w Stryju. Za okupacji niemieckiej prześladowany jako Żyd, ukrywał się w Warszawie pod nazwiskiem Marian Kwiatkowski (po wojnie przyjęte oficjalnie). Czynnny jako lekarz w czasie Powstania, potem w szpitalu jenieckim k. Drezna. Po powrocie praca w szpitalach wrocławskich.

**EWA KOSSOWSKA**, z domu Dubanowicz, ur. 1923 we Lwowie. Liceum i szkołę pielęgniar-

ską ukończyła w Warszawie w czasie II wojny, potem studia med. na kompletach UW, ukończone w Poznaniu po wojnie. W czasie Powstania była pielęgniarką operacyjną w szpitalu powstańczym. Profesor AM w Warszawie, kierowała kliniką laryngologii dziecięcej.

**WACŁAW KUŚNIERCZYK (1908–1997)**, ur. w Śniatynie. Studia we Lwowie, do 1938 praca we Lwowie, potem w szpitalach warszawskich. Leczył rannych powstańców w szpitalach warszawskich, potem w szpitalu polowym. Po wojnie praca w Nowym Sączu, Zabrze, Katowicach. Kierownik kliniki otolaryngologicznej Śląskiej AM.

## POLACY z POLAKAMI

### TEGO ROKU W KLECZY

Bytomskie Stowarzyszenie „Euromost” i krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW zaprosiły i wspólnie sfiansowały przyjazd i 10-dniowy pobyt wakacyjny – u progu lata (4–16 czerwca), w malowniczej podkarpackiej miejscowości – dla dwóch grup uczniów polskich szkół sobotnich zza wschodniego kordonu: z Drohobycza (30 + 3 opiekunki) i Jaworowa (21 + 2 opiekunki). Miejscem zakwaterowania było Collegium Marianum Ojców Pallotyńów w Kleczy Dolnej, tuż pod Wadowicami, po drugiej stronie Skawy.

Dzieci i młodzież w wieku 7–14 lat ulokowano w doskonałych warunkach, w budynku klasztornym, w pokojach 2–3-osobowych. Zakupiono dla nich sprzęt do gier i zabaw, kremy i wzmacniający syrop oraz środki czystości, obdarowano swetrami. Leki i materiały opatrunkowe – na wszelki wypadek – otrzymano z krakowskiej Apteki Darów Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei” (szczęśliwie nie wykorzystane – grupy zabrały je do swych miejscowości i oddały Siostrom).

Młodzi goście nie mieli czasu na nudzenie się: odbywały się konkursy plastyczne i zawody sportowe (na szczęście pogoda przez większość czasu dopisywała), ale największymi atrakcjami były wycieczki. Zwiedzono nie tylko pobliskie Wadowice – miasto Jana Pawła II, gdzie zorganizowano spotkanie integracyjne z miejscową młodzieżą, i równie pobliską Kalwarię Zebrzydowską z sanktuarium bernardyńskim i ścieżkami Drogi Krzyżowej. Były też trzy większe wycieczki autokarowe: najpierw Kraków, gdzie zwiedzono Stare Miasto i Wawel (wstępy do Zamku i Katedry oraz do Bazyliki Mariackiej udzielono bez opłat); tu gośćmi opiekowali się członkowie Towarzystwa). Drugi wyjazd – do Bytomia, gdzie spotkano się z tamtejszymi organizatorami, oraz do Częstochowy, z uczestnictwem w mszy św. na Jasnej Górze. Trzecia wycieczka to „pętla beskidzka” – przez Szczyrk i Wisłę.

Były też odwiedziny w Kleczy. Gości witali przedstawiciele Oddziału TMLiKPW

Młodzież z Borysławia i Jaworowa przy dzwonie Zygmunta



z Krakowa oraz przedstawiciele Tow. Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej z Bytomia.

Ze strony „Euromostu” organizatorem i opiekunem gości była p. Alicja Brzan-Kłoś z Bytomia, a ze strony TMLiKPW Kraków – Edward Adles, wiceprezes zarządu Oddziału.

Organizatorzy kierują serdeczne podziękowanie dla oo. Pallotyńów, na czele z Ojcem Przełożonym.

Edward Adles

## Z TAMTEJ STRONY

### IV SEJMIK FEDERACJI

### ORGANIZACJI POLSKICH

W CL 2/05 informowaliśmy o rozpoczętym w marcu br. w Kijowie zjeździe sprawozdawczo-wyborczym FOPnU (IV Sejmiku). Napomknęliśmy o jego przerwaniu – przyczyną był wówczas gorszący przebieg „obrad” i napastliwa krytyka dotychczasowej prezeski Emilii Chmielowej ze strony grona nielicznych a głośnych prezesów niektórych organizacji prowincjonalnych.



Dru ga część Sejmiku odbyła się 3 września w Płoskirowie (Chmielnickim); udział wzięło 194 delegatów. Do Zarządu kandydowali E. Chmielowa, H. Stroński (Tarnopol) i W. Sergiejewa (Stanisławów, zrezygnowała). Wynik, mimo wszystko – wobec atmosfery jaka powstała na spotkaniu marcowym – nieoczekiwany: uczestnicy zjazdu, odrzucając bezpodstawne zarzuty, miażdżącą większością głosów (151:34) wybrali na prezesa Federacji ponownie E. Chmielową, kładąc tym samym kres analogicznym (jak się nam wydaje) tendencjom, jakie mieliśmy niedawno okazji obserwo-

wać w państwie Białoruś, w naszym Grodnie i Wołkowysku.

Do nowego Zarządu Federacji weszło 16 osób, w tym kilkoro dobrze nam znanych znakomitych działaczy, m.in. Teresa Dutkiewicz (Lwów), Maria Siwko (Kijów), Adam Chłopek (Drohobycz), Władysław Strutyński (Czerniowce), Teresa Teterycz (Mościska), a także Emil Legowicz (Lwów), co wróży lepszą niż dotąd, konstruktywną i kulturalną współpracę. Szczerze tego życzymy.

Pani Prezes i całemu Zarządowi składamy serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia spokojnej i skutecznej pracy na rzecz Rodaków w państwie ukraińskim.

## WIADOMOŚCI Z WOŁYNIA

Odbyły się ostatnio dwie podniosłe uroczystości – poświęcenia nowo zbudowanych kościołów w dwóch bardzo oddalonych od siebie miejscowościach: w Kamieniu Koszyrskim (czerwiec '05) i na jego antypodach, w Szumsku (lipiec). Historia tych miejscowości i parafii katolickich w obu miasteczkach jest niejako symbolem trudnej doli odradzającego się Kościoła na Wołyniu. W Kamieniu Koszyrskim ponad 10 lat temu nie zwrócono wiernym ich kościoła, nadal w nim znajduje się wytwórnia słodyczy („kondyterski cech”). W Szumsku było jeszcze tragiczniej – w kwietniu i maju 1985 r. (sic!) kościół parafialny wysadzono w powietrze. Była to jedna z ostatnich zbrodni reżymu komunistycznego względem naszego Kościoła (a czyimi rękami wykonywana? – red.) Obie parafie nie załamały się – w okresie ponad 10 lat potrafiły ze swoimi proboszczami na czele – o. Z. Majcherem OFM i ks. T. Mielleszką – odbudować swoje świątynie.

Parafia katolicka w Ostrogu – po wielu trudnościach uczynionych przez jedną niezyczną osobę\* – nareszcie przystępuje do odbudowy plebanii, która została zniszczona na początku wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

\* Pisaliśmy o tym w CL 1/05, podaliśmy też jej nazwisko: Inna Hwizda. Serio!



## POLSKI CMENTARZ WOJENNY NA HOŁOSKU

O. Hieronim Warachim (o którym już parokrotnie pisaliśmy) opisał w „Naszym Dzienniku” (27 VII 05) zapomniany cmentarzyk na Hołosku Małym we Lwowie, położony w dolince przy miejscowym cmentarzu. Pochowano tam we wspólnej mogile polskich żołnierzy poległych w walkach z Niemcami we wrześniu 1939 r. Autor przypomina wydarzenia: Lwów stawiał opór armii Hitlera. Na pomoc miastu zbliżało się polskie wojsko pod dowództwem gen. Sosnkowskiego. Aby otworzyć mu drogę do Lwowa, 18 września dokonano uderzenia na oddziały niemieckie przez Hołosko Małe, Hołosko Wielkie i Zboiska. Walki toczyły się w lasach

Hołoska Wielkiego do 22 września, kiedy to na wschodnich rogatkach Lwowa stanęła armia sowiecka. Z powodu poniesionych wielkich strat Niemcy nazwali ten las *Totenwald* – „Las śmierci”.

Wśród grzęd buraków i innych warzyw stoi dziś skromny krzyż z napisem: *900 żołnierzy Wojska Polskiego poległych w walce z hitlerowskim najeźdźcą w obronie Rzeczypospolitej Polskiej w dniach 12 IX do 22 IX 1939 r.*

Prawie nikt nie pamięta o tej mogile, gdzie leżą polscy żołnierze, którzy podobnie jak Orleńscy – *mortui sunt ub liberi vivamus*. Ks. Hieronim, pochodzący z Hołoska Małego, był świadkiem pochówku i apeluje, by Polacy przyjeżdżający do Lwowa odwiedzali ten cmentarz. Czas najwyższy pomyśleć o otoczeniu opieką tego, co tam zostało. (MW)

## Wydarzenia

◆ W Hucie Pieniackiej k. Brodów, gdzie w 1944 r. Ukraińcy zamordowali w okrutny sposób 1000–1100 Polaków, otwarto 22 października cmentarz ofiar z pomnikiem. Oddział SS-Galizien wspomagany przez ukraińskich chłopów spędził Polaków do kościoła, szkoły oraz domów i stodół, a potem obalano to naftą i podpalono. Szerszą relację zamieścimy w następnym numerze.

◆ W poprzednim numerze powiadomiliśmy o poświęceniu **kościółka pw. św. Zygmunta Gorazdowskiego** w Jabłonicy. Teraz kilka dodatkowych informacji: kościółek położony jest na przełęczy Jabłonickiej – znanej też jako Tatarska – która stanowi granicę między Gorganami a Czarnohorą (patrz CL 3/97, *Słownik*) Jedzie się tam od Tatarowa na południe, ostro w górę.

W Jabłonicy funkcjonuje ośrodek rekolekcyjno-wypoczynkowy Archidiecezji Lwowskiej dla dzieci i młodzieży „Caritas-Spes”. Kościółek jest centralnym obiektem wśród 20 domków, każdy dla 10 osób oraz wychowawcy na pięterku. Jest też kuchnia, jadalnia, sala spotkań i mieszkania sióstr Urszulanek Czarnych, które tam pracują. Turnusy 3-tygodniowe, każdy dla 200 osób. Odbywają się też Oazy Rodzin. Na otwarciu siostry Józefitki przywiozły z Krakowa portret św. Zygmunta. Jest to pierwsza świątynia pod Jego wezwaniem. (MW)

◆ 22 listopada br. przypada X rocznica śmierci wielkiego Kapłana Archidiecezji Lwowskiej czasu zniewolenia, **Biskupa Rafała Kiernickiego**. Obszerny tekst o Jego życiu i działalności zamieściliśmy w CL 3/01. W Archikatedrze lwowskiej umieszczono tablicę pamiątkową ku Jego czci.

## Pytamy o zasady

Niech się przeto nie martwią kolejni ludobójcy – serbscy, którzy wymordowali setki tysięcy Bośniaków. Dlaczego więc miały być sądzony Miłoszewicz, dlaczego poszukuje się Karadzicza? Idąc dalej, należałoby rozgrzeszyć siepaczy hitlerowskich i stalinowskich.

Czy w sprawie UPA nie należy się zwrócić do Strasburga, bo Ukraina pretenduje wszak do UE, a tam jakieś normy przyzwoitości obowiązują.

Serbii i Chorwacji (też niezbyt „czyste”) stawiane są jakieś zarzuty w podobnej kwestii, a Ukrainie?

Przeczytaliśmy w prasie, że w państwie Ukraina mają być zbierane podpisy – spodziewają się ich ok. 2 milionów! – pod wnioskiem o przyznanie UPA statusu „strony walczącej” w II wojnie światowej.

# W Krakowie i dalej

## KĘPICE WYBRAŁY IMIĘ LWOWIANINA

Przed ponad rokiem, w CL 3/04, ogłosiliśmy apel dyrektora Szkoły Podstawowej w Kępicach w pow. słupskim w sprawie pomocy w poszukiwaniu wiadomości o poległym przy końcu II wojny ppor. Tadeuszu Bielaku, którego wybrano na patrona tej szkoły. Tam też zamieściliśmy bliższe informacje o urodzonym we Lwowie młodym chłopcu, którego ojciec, oficer WP, zginął w Starobielsku, a on sam wraz z matką został wywieziony do Kazachstanu. Jako 18-latek zgłosił się do organizowanej w ZSRR II Armii WP, ale już w kwietniu 1945 r. zginął po przekroczeniu Nysy Łużyckiej. Miał zaledwie 20 lat.

I oto z początkiem br. otrzymaliśmy uroczyste zaproszenie na obchody 80-lecia urodzin Patrona Szkoły, które odbyły się w kwietniu '05. Złożyły się na nie uroczysta akademii pt. „Lwów zawsze wierny” oraz spotkanie zaproszonych gości z nauczycielami. Nie mogliśmy się niestety do odległych Kępic wybrać, jednak wystosowaliśmy do Pana Dyrektora Andrzeja Taukina stosowny list z podziękowaniem i gratulacjami.

Obok zamieszczamy dwa zdjęcia z uroczystości. Na jednym widać piękną i wzruszającą nas dekorację na szkolnej estradzie, na drugim Grono Nauczycielskie, z Panem Dyrektorem po środku. Bardzo

Grono pedagogiczne Szkoły w Kępicach.  
W środku dyr. Taukin



Wam za to dziękujemy, ale jeszcze bardziej za przekazywaną Młodzieży pamięć o polskim Lwowie.

Dziękujemy też Panu Zenonowi Malikowi z Krakowa, który jako znakomity historyk międzywojennych szkół kadeckich przesłał do Kępic wiadomości o ojcu Tadeuszu, kapitanie, wychowawcy w Korpusie Kadetów we Lwowie.

## KRAKOWSKIE GIMNAZJUM PRZEDSTAWIA

Na zakończenie roku szkolnego 2004/05 młodzież z Gimnazjum nr 1 im. S. Konarskiego przy ul. Bernardyńskiej przygotowała – pod kierownictwem swoich pedagogów – bardzo interesujący program pt. *Lwów – wspomnień czar*. Przedstawienie pokazane uczniom szkoły i zaproszonej publiczności, odbyło się gościnnie w Teatrze „Grotoska”, a zbiegiem okoliczności miało miejsce w przeddzień otwarcia we Lwowie Cmentarza Obrońców Lwowa.

Na godzinny występ złożyły się recytacje, piosenki, skecze, tańce, pantomima – związane z historią, kulturą i folklorem polskiego Lwowa. Wykorzystano teksty popularnych lwowskich przebojów, poezję Mariana Hemara oraz teksty oryginalne. Nastroj na scenie zmieniał się w zależności od przedstawianego okresu historycznego: od poważnego, tragicznego, poprzez sentymentalno-nostalgiczny aż do wesołego, satyrycznego.

Spektakl był owocem kilkumiesięcznej pracy wielu osób pracujących oraz uczących się w I Gimnazjum, a także związanych z nimi rodzinnie. Pomysłodawcą był

p. dyrektor Mariusz Graniczka, a reżyserem i scenarzystą p. Krzysztof Bochenek, ojciec ucznia, zarazem zawodowy aktor Teatru „Bagatela”. Aktorami byli uczniowie tegorocznej gimnazjalnej klasy III c (z jednym wyjątkiem), którzy swój staż aktorski zaczęli sześć lat temu, w 3. klasie podstawowej, od inscenizacji bajek Jana Brzechwy. Cały czas byli pod opieką swej wychowawczynie, p. Anny Rudki. Oto nazwiska występujących uczniów: Ewelina Jania, Anna Kupis, Ewa Kuzdak, Katarzyna Stępień, Kamila Zabłocka, Paweł Frączek, Wojciech Huk, Bartosz Jelonek, Jacek Krok, Mateusz Rzelczak.

Choreografii młodych aktorów uczyły panie Alina i Beata Kolak (babcia i matka uczennicy występującej w zespole) – do muzyki granej na harmonii przez p. Karola Wróblewskiego, szefa zespołu „Chawira”, a tu występującego gościnnie. O efekty elektroniczne zadbał p. Tomasz Chudzikiewicz, nauczyciel informatyki. Współpracował także p. Marek Choiński, nauczyciel historii.

Wysiłek wymienionych osób – a trzeba się domyślać, że byli też inni, bezimienni – zaowocował przedstawieniem prowadzonym na doskonałym poziomie i w bardzo dobrym tempie. Młodzi aktorzy zachwycili talentem, zaangażowaniem, dojrzałością, a przecież to jeszcze nastolatki! Okazuje się, że dobrze prowadzona młodzież może być wspaniała.

W postwoju po programie dyrektor szkoły p. Mariusz Graniczka nawiązał do mających się odbyć następnego dnia (24 czerwca) uroczystości we Lwowie. Przypomniat, jak wielu Polaków nosi w sercach lwowskie wspomnienia. W imieniu zaproszonych członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW p. Romana Machowska nie tylko podziękowała i pogratulowała młodzieży udanego przedstawienia, ale także prosiła dyrekcję szkoły o dalszą współpracę z Towarzystwem. Zaproponowała, by tak świetny spektakl został jeszcze powtórzony dla szerszej publiczności, np. w obchodzoną przez TMLiKPW rocznicę 22 listopada. Szkoda, by zmarnował się tak pozytywny wysiłek młodzieży. (DTS)

**Z ostatniej chwili:** przedstawienie na prośbę TMLiKPW w Krakowie zostało powtórzone w połowie listopada. Relację przedstawimy w następnym numerze.

## ZJAZD W TARNOWSKICH GÓRACH

Nie ma bliższej współpracy między Towarzystwem Miłośników Lwowa i KPW a „Światowym Kongresem Kresowian”, zorganizowanym przez Jana Skalskiego w Bytomiu. Skalski był nawet kiedyś wiceprezesem Zarządu Głównego TMLiKPW, później jednak drogi się rozeszły i rozpoczął on działalność równoległą. Do ŚKK należy podobno ponad 40 organizacji *kresowiaków*, nie mamy jednak na ten temat wiarygodnych informacji.

W tym roku z początkiem lipca odbył się XI Zjazd ŚKK w Tarnowskich Górach, a przybyło nań (podobno) *kilkuset przedstawicieli środowisk kresowych z całego świata*. Prezes nakreślił takie oto cele swej organizacji: obrona polskiej własności na Ziemiach Zachodnich, uzyskanie odszkodowań *za mienie zabużańskie*, działalność dokumentacyjna i informacyjna.

Nie wiemy, na ile skuteczne są działania ŚKK na wymienionych kierunkach. Bo deklaracje i kolejne zjazdy to stanowczo za mało. Dodajmy, że organizacji, które działają na rzecz odzyskania mienia zabużańskiego, jest w kraju kilka. Działają też różne osoby indywidualnie – przykładem p. Broniowski, który odniósł się do Trybunału w Strasburgu. Pisaliśmy już o tym kilkakrotnie.

## Notatki

◆ Na kilka dni przed 66. rocznicą napaści sowieckiej na Polskę, 18 września, odbyło się w Krakowie uroczyste odsłonięcie tablicy pamięci poświęconej ppłk. Tomaszowi Matyszewskiemu ps. Andrzej Ćwikła. Matyszewski był w latach 1942–44 komendantem Dzielnicy Śródmieście AK we Lwowie. Uroczystość odbyła się w Kościele Paternalno-Garnizonowym Żołnierzy AK Polskich Kresów Wschodnich pw. św. Jadwigi Królowej, a tablicę umieszczono w Panteonie Narodowym ŻAK PKW w podziemiach tego kościoła, wśród licznych tablic upamiętniających AK Obszaru Lwowskiego. Organizatorem uroczystości był Światowy Związek ŻAK Ogólnopolskiego Okręgu ŻAK Obszaru Lwowskiego im. Orłat Lwowskich.

◆ W Krakowie zmarli ostatnio:

**Dominik Bokłak**, lat 95, urodzony w Rosochowcu k. Stanisławowa, prawnik UJK; animator śpiewu chóralnego. W jego domu odbywały się corocznie wieczory kolęd, o których pisaliśmy parokrotnie. Oddanie muzyce i śpiewowi kontynuują następne dwa pokolenia rodziny. Członek Koła Stanisławowian TMLiKPW w Krakowie, uczestnik imprez i wycieczek.

**Prof. dr Tadeusz Wieser**, ur. 1922 we Lwowie. Petrograf i geochemik, profesor w Państw. Instytucie Geologicznym w Krakowie. Członek TMLiKPW.

**Prof. dr Jerzy Punzet**, ur. 1920 w Krakowie, w rodzinie o korzeniach lwowskich. Hydrolog, pracownik Inst. Meteorologii i Gosp. Wodnej w Krakowie. Członek TMLiKPW.

**Prof. Władysław Kotschy**, lat 90, ur. i wykształcony we Lwowie; organista, dyrygent chórów w Krakowie. Jego sylwetkę zamieściliśmy w CL 3/02.

**Prof. Zbigniew Toffel**, lat 76, ur. we Lwowie, absolwent krakowskiej PWSM. Przez 30 lat dyrygent i kierownik Chóru Opery i Operetki w Krakowie oraz Zespołu Pieśni i Tańca „Kra-kus” AGH, wcześniej pracował w Opolu jako skrzypek w orkiestrze symfonicznej. Powołał do życia wiele chórów i zespołów pieśni i tańca, pierwszą była w czasie wojny orkiestra gimnazjalna we Lwowie, kolejne w Opolu i Krakowie. Uważany był za jednego z najlepszych chórmistrzów w Polsce.

W Warszawie zmarła w lipcu dr **Krystyna Węgier-Maksymowicz**, lekarz i wieloletnia działaczka w środowisku polskim we Lwowie. Przez ostatnich kilka lat mieszkała w Warszawie.

W następnym numerze zamieścimy wspomnienie o Zmarłej, spisane przez jej siostrę dr Alinę Węgier-Grzegocką.

Danuta Trylska-Siekańska (DTS)  
Marek Wenecki (MW)

## Naszym zdaniem

# Różnica w podejściu

W „Dzienniku Polskim” 229/05 opublikowano artykuł G. Nycza pt. *Płynęli pod prąd* na temat 40. rocznicy słynnego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich (1965). List został przez tamtą stronę przyjęty właściwie, lecz nie całkiem bezkrytycznie. Biskupi niemieccy, ujmując się za swoimi ekspatriantami, odpisali m.in. takie słowa: [...] *miliony Niemców musiały opuścić swoje rodzinne strony, w których żyli ich ojcowie i pradziadowie. Nie przybyli oni w ciągu wieków jako zdobywcy, lecz zostali wezwani przez rodzimych księży. Z tej racji musimy Wam w miłości i zgodzie z prawdą powiedzieć: ilekroć ci Niemcy mówią o prawie do rodzinnych stron, to nie ma w tych słowach – pomijając nieliczne wyjątki – agresywnych zamiarów. Nasi Ślązacy, Pomorzanie i mieszkańcy Prus Wschodnich pragną przez to wyrazić, że w swoich stro-*

*nach rodzinnych mieszkali prawnie i że nadal pozostają z nimi związani. [...]*

Jakże inaczej stało się po drugiej – geograficznie – stronie. Analogiczne stanowisko wobec ekspatriacji ludności polskiej nie zostało nigdy oficjalnie sformułowane, a ostatnio nastąpiło coś, na co zwróciliśmy uwagę w CL 2/05 (*Prawda obowiązuje wszystkich*, s. 4–5–11). Bulwersująca wypowiedź padła z ust kardynała Glempa, który bił się w piersi za coś, co nie istniało: *uparte polonizowanie ludności ruskiej* (pomińmy rozważania, czy nasza tolerancja nie była przypadkiem krótkowzroczna). Biskupi niemieccy użyli nazwy *Prusy Wschodnie*, z naszej strony zaś mówi się usłużnie o *Ukrainie zachodniej*, zamiast *Małopolsce Wschodniej*. To jest różnica postaw.

Jest jeszcze drugi aspekt: w dzisiejszej Polsce nikt nie polonizuje niedobitków Niemców na Ziemiach Zachodnich, mają nawet swoją reprezentację w Sejmie. Natomiast wynarodowia się Polaków za wschodnią granicą, a – niestety – celują w tym księża, wykształceni w polskich seminariach (głównie na KUL), oraz siostry zakonne. Taka jest smutna prawda.

# KULTURA NAUKA

## Tego potrzeba

W wydaniu nowosądeckim „Dziennika Polskiego” z 20–21 sierpnia '05 znaleźliśmy taką informację (przepisujemy w całości):

### WYPRAWA NA KRESY

*Przewodnicy i miłośnicy gór z PTTK Oddział „Beskid” wrócili z ośmiodniowej wyprawy na Kresy, gdzie szukali śladów polskości. Na wycieczkę wyruszyła pięćdziesięcioosobowa grupa. W trakcie pobytu w Karpatach Wschodnich sądeczanie zdobyli najwyższy szczyt Beskidów – Howerłę (2061 m n.p.m.), Popa Iwana, Syniaka i Cho-*

*miaka. Zwiedzili Huculszczyznę, W Żabiem [...] spotkali Romana Kumyłka, który zaprezentował ciągle żywy tamtejszy folklor, muzykę i pieśni. Grał na dawnych instrumentach.*

*Na Przełęczy Legionów (1110 m) wędrowcy stanęli przy starym krzyżu, na którym nadal czytelny jest czterowiersz: „Młodzieży polska patrz na ten krzyż / Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż / Przechodząc góry, lasy i wały / Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały”.*

*Dużym zaskoczeniem dla młodych turystów były też spotkane na grani Gorganów i Czarnohory słupki graniczne, pamiętające czasy świetności II Rzeczypospolitej – mówił Wiesław Piprek. – Na nich znajdują się napisy P i CS, bo to właśnie Karpaty Wschodnie w tym miejscu do roku 1938 oddzielały Polskę od Czechosłowacji.*

*Ostatnim akcentem wycieczki był pobyt we Lwowie. Wielkie wrażenie zrobił na wszystkich Cmentarz Łyczakowski i Obrońców Lwowa. (PG)*

Oby i inne oddziały PTTK wzięły przykład z Nowego Sącza. Tak trzymać!

## Polscy uczeni z obczyzny i ze swojszczyzny

W pierwszej dekadzie września '05 odbył się w Krakowie **I Kongres Polskich Towarzystw Naukowych na Obczyźnie** (ale przecież nie tylko na obczyźnie – trudno

wszak za taką uznać Lwów, Wilno, Grodno czy Tarnopol). Przybyło 60 delegatów ze świata (w tym z za wschodniego kordonu), a także ok. 40 uczestników z RP, wygłoszono ponad 20 referatów, odbyły się dyskusje panelowe. Niestety zabrakło prelegentów ze Lwowa, był tylko jeden z Tarnopola (dwóch z Kijowa, trzech z państwa litewskiego,

- Przedstawiciele polskich towarzystw naukowych na Obczyźnie, zebrani na I Kongresie w Krakowie
- pamiętając że w trudnych chwilach historii polska kultura i nauka ocaliły nasz naród i jego tożsamość przed wyrokami, jakie wydali na niego sąsiedzi,
  - uznając zasługi wielu pokoleń Polaków w utrzymaniu polskości na Obczyźnie,
  - stwierdzając, że w nowej sytuacji Polski nie wystarczy już tylko obrona, lecz konieczna jest promocja polskiej kultury –

postulują podjęcie istotnych kroków organizacyjnych, które wzmocnią potencjał, jaki tkwi w polskich towarzystwach naukowych na Obczyźnie oraz polskich uczonych tam działających.

Jako pierwszy krok zebrani proponują utworzenie w Krakowie Forum Nauki. Zadaniem Forum będzie przede wszystkim ułatwianie wzajemnych kontaktów, poprzez pozyskiwanie i udostępnianie odpowiedniej informacji, gromadzenie dokumentacji i prowadzenie archiwum, a także stymulowanie i organizowanie cyklicznych spotkań, tak ogólnych, jak i specjalistycznych. Szczególnie ważną sprawą będzie nawiązanie bliższej współpracy z Towarzystwami działającymi w krajach byłego Związku Radzieckiego. W miarę możliwości Forum winno również ułatwiać publikację prac i materiałów, przedstawianych przez polskie towarzystwa naukowe na Obczyźnie.

Obecni na Kongresie przedstawiciele władz Polskiej Akademii Umiejętności oraz Wspólnoty Polskiej deklarują wolę utworzenia Forum oraz zapewnienia mu niezbędnych warunków działania.



▶ dwóch z Grodna). Czemu to przypisać? Kto typował – po tej czy po tamtej stronie?

W ramach Kongresu odbyła się też sesja studencka na temat udziału i osiągnięć studentów polonijnych w Studenckim Ruchu Naukowym.

Uczestnicy zza granicy i zza kordonu uchwalili deklarację, którą zamieszczamy obok w ramce.

## Kronika

◆ Z okazji 80-lecia Polskiego Radia **pani Włada Majewska** została uhonorowana specjalnym odznaczeniem o nazwie „Diamentowy Mikrofon”.

Pani Włada, od 1931 r. artystka Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie, po wędrowkach wojennych z Lwowską Falą, osiadła – jak większość polskich kombatantów II wojny – w Londynie i tam przez lata była członkinią Kabaretu Mariana Hemara. Przypominamy, że pisaliśmy o Niej w CL S/03 (s. 74).

◆ Od lat organizowane są w Muzeum Historycznym Krakowa (w Krzysztoforach) wystawy skarbów miejscowych klasztorów, a my zawsze **notujemy zauważone tam leopolitana**. Wiele ich po II wojnie trafiło ze Lwowa między innymi właśnie do Krakowa. W marcu-kwietniu '05 była wystawa ss. Felicjanek, ale tym razem nie znaleźliśmy *ekspatriowanych* przedmiotów, a jedynie monstrację ofiarowaną tu przez lwowskie Felicjanki w 1891 r. Przypomnijmy, że we Lwowie klasztor ss. Felicjanek znajdował się przy ul. Janowskiej 38.

Nieco wcześniej, w ostatnim kwartale 2004 r., w Muzeum Historyczno-Misyjnym Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Krakowie miała miejsce wystawa pt. *Skarby Bi-*

*blioteki Księży Misjonarzy*. Pokazano tam m.in. pierwsze wydanie Pisma Świętego w języku polskim, tzw. Biblię Leopoldy z 1561 r. W wystawowym folderku napisano m.in., że zbiory krakowskich Misjonarzy na Stradomiu wzbogacały się parokrotnie, w tym po likwidacji domu we Lwowie po II wojnie światowej.

◆ Słynny już film „Mój Nikifor” otrzymał główną nagrodę na 40. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlovych Varach za oryginalność i realizację, reżyser K. Krauze za najlepszą reżyserię, a **odtwórczyni roli tytułowej Krystyna Feldman za najlepszą rolę żeńską**.

◆ W lipcu miała miejsce w Krakowie wystawa obrazów Stefana i Janiny Berdaków pt. *Z lat młodości*. O **Iwowaninie Stefanie** Berdaku, jego twórczości i wystawach pisaliśmy już kilkakrotnie.

◆ W sierpniu odbył się na Rynku krakowskim **występ zespołu „Lwowiacy”**. Przeszło godzinny pokaz tańców polskich i ukraińskich prowadził Stanisław Durys, założyciel i kierownik zespołu, istniejącego od 1972 r.

◆ We wrześniu br. w Stalowej Woli, w tamtejszym Muzeum Regionalnym, miała miejsce **wystawa Piękny Lwów**. Ekspozyty z XVII–XX w. pochodziły ze zbiorów lwowskiego Muzeum Historycznego. Było tam: ponad 35 obrazów (wystawianych po raz pierwszy w RP), grafiki z dawnymi widokami miasta, zdjęcia z pocz. XX wieku, gobeliny oraz arcydzieła lwowskiego rzemiosła artystycznego. Do najcenniejszych należały: miedzioryt Franza Hogenberga – najstar-



Panorama Lwowa z Rozwadowskiego i S. Janowskiego

szy wizerunek Lwowa (pocz. XVII w.) oraz panorama miasta Lwowa, namalowana przez Zygmunta Rozwadowskiego i Stanisława Janowskiego w 1929 r. na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu. Oba obrazy są dobrze znane, bo często reprodukowane.

W czasie wernisażu odbył się koncert kabaretu „Loch Camelot” z Krakowa.

◆ Młode małżeństwo Marta i Jerzy Kowalewscy, absolwenci filologii polskiej UJ, przez kilka lat pracowali w różnych szkołach polskich w państwach Białoruś i Ukraina. Kilkuletni pobyt na naszych Kresach wykorzystali na **wyszukanie śladów polskości**, a swoje odkrycia rejestrowali na fotografiach. Powstał z tego bogaty zbiór zdjęć przedstawiających stare dwory, pałace, kościoły, kapliczki, groby – całe lub w ruinie. Pierwsza część zbioru została już udostępniona publiczności w Młodzieżowym Domu Kultury w Krakowie-Prokocimiu na wystawie pt. *Fotograficzne refleksy Kresów – Białoruś*. Otwarcie wystawy w sierpniu (na dwa miesiące) połączone było z wyświetlaniem preżroczy oraz szczegółowymi informacjami ze strony autorów. Druga część wystawy dotycząca terenu ukraińskiego przewidziana jest w przyszłym roku.

◆ W Krakowie trwają roboty konserwatorskie w oryginalnej kamienicy Zubrzyckich przy al. Słowackiego 7, projektowanej dla krakowskiej części swojej rodziny przez **arch. Jana Sas Zubrzyckiego** (autor artykułu KK w „Dzienniku Polskim” 234/05 napisał, że mieszka tam potomstwo architekta, co nie jest zgodne z prawdą. Jego potomni mieszkają we własnym domu we Lwowie). Autor słusznie pisze, że jest to jedna z najpiękniejszych kamienic z tego okresu (przełomu XIX/XX w. – 1896) w Krakowie. Kraków, bogaty w architekturę gotycką, renesansową i barokową, z późniejszych wieków – gdy przestał być stolicą Rzeczypospolitej – niezbyt wiele ma do pokazania i trudno mno pod tym względem porównać się ze Lwowem.

Przypomnijmy, że Jan Sas Zubrzycki (1860–1935) pochodził z Tlustego w Tarnopolskiem, studiował na Politechnice Lwowskiej, tam też był później profesorem historii architektury. Kilka lat spędził w Krakowie, projektując niezliczone ko-

ścioły na terenie Małopolski zachodniej i środkowej. Był to bowiem okres, gdy budownictwo kościelne nie rozwinęło się jeszcze w pełni we wschodniej części Małopolski – z niedopatrzenia ówczesnych arcybiskupów lwowskich, przełamane dopiero w ostatnich dekadach XIX w. przez sufragana lwowskiego J. Puzyńkę i rozwinięte szeroko przez abpa J. Bilczewskiego.

Barbara Barta

## Książki czasopisma

### Nowe książki

📖 Książka, o której tu mowa, nie jest w zasadzie „do czytania” przez nie-historyka, nawet zainteresowanego dziejami polskich ziem południowo-wschodnich. Jest natomiast niezwykle cennym dokumentem rozwoju cywilizacyjnego obszaru, odciętego przez ponad 3 i pół wieku od kontaktu z Królestwem Polskim – od czasu pamiętnego najazdu księcia kijowskiego Włodzimierza Wielkiego w 981 r. Książką tą jest praca **Elżbiety Dybek** pt. **Lokacje na prawie niemieckim w Ziemi Przemyskiej w latach 1345–1434** (wyd. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2004).

Dawna Ziemia Przemyska, jak pamiętamy, to nie to co dziś – pisaliśmy o niej w CL 1/03. Historyczna Ziemia Przemyska sięgała na zachodzie po Rzeszów, a na wschodzie obejmowała Sambor, Drohobycz, Stryj. Za nią, na wschód rozciągała się Ziemia Lwowska, na pld. wschód Ziemia Halicka, od pld. zachodu Ziemia Sanocka, od północy Chelmska.

Dzieło europeizowania tych ziem podjął już Kazimierz Wielki, a w omawianym okresie ok. 90 lat kontynuowali ks. Władysław Opolczyk, król Ludwik Węgierski i jego córka, królowa węgierska Maria\* (ci troje działali na rzecz Węgier!), a wreszcie Władysław Jagiełło. W sumie w okresie tym prawa niemieckie nadano 104 miejscowościom, w tym 98 – wiejskie, a szesnastu miejskie. W tym – leżącym dziś poza jałtańską granicą: Drohobyczowi (między 1382 a 1402),

Felsztynowi (między 1374 a 1400), Krakowcowi (1425), Mościskom (1404), Nowemu Miastu (przed 1416), Samborowi (przed 1386), Sądowej Wiszni (1386), St. Samborowi (przed 1425), Stryjowi (przed 1431), zaś w obrębie dzisiejszej RP: Przemyślowi (ks. Lew 1320, 1389), Rzeszowowi, Jarosławowi, Leżajskowi, Radymnu i Krzywcy. Warto zauważyć, że za czasów ruskich prawa miejskie otrzymał tylko Przemyśl (a może i Rzeszów, niepewne).

Zwróćmy uwagę, że nadanie praw miejskich dotyczyło problematyki organizacyjno-prawnej zarządu i mieszkańców miasta, natomiast nie wiązało się od razu z powstaniem jego planu przestrzennego. Budowa miasta z szachownicą ulic i rynkiem pośrodku – co pokazujemy w kolejnych numerach CL – była kwestią wielu lat. Takie plany regulacyjne miast powstały oczywiście już po powrocie omawianych ziem do Polski.

Pozostaje wyjaśnienie: dlaczego prawa niemieckie? Odpowiedź jest prosta: nasz kraj leżał (i nadal leży) na wschodnich rubieżach Europy. Cywilizacja docierała więc na wschód później. Korzystaliśmy przeto z osiągnięć krajów wcześniej rozwiniętych, a dla nas najbliższe były Niemcy. Problem ten omawialiśmy w CL 2/03

\* siostra Królowej Jadwigi

📖 Miarą ciągłego wzrostu zainteresowania rodaków Lwowem jest częstotliwość ukazywania się coraz to nowych przewodników po mieście i regionie. Całkiem świeżo znane wydawnictwo Pascal wypuściło **Lwów i okolice**, napisane przez **Jacka Tokarskiego** (Bielsko-Biała 2005). Przewodnik został napisany przez Polaka dla Polaków, co oznacza, że oszczędzono nam informacji o sprawach mało nas interesujących, a nawet kłamliwych, jak to spotkaliśmy w innym z niedawno wydanych bedekerów.

Natomiast – co notujemy z żalem – nie zostały przez autora bodaj krótko scharakteryzowane czasy najwcześniejsze, nie padła nazwa prapolskiego plemienia Lędzian, które zamieszkiwało te tereny przed podbojem księcia Włodzimierza i napływem ludności ruskiej z ziem ukraińskich, uchodzącej przed Mongołami. Autora tłumaczy oczywiście fakt, iż najnowsze badania naukowe oporczywie nie są rozpowszechniane.

Zasadniczy wątek narracji przeplatany jest *ramkami*, w których zamieszczono dodatkowe informacje, ciekawostki i anegdoty,

a nawet przepisy. Cennym dodatkiem jest lwowskie *who is who*, nieporównywalnie bardziej sensowne niż to w Encyklopedii Kresów, niedawno w CL omawianej.

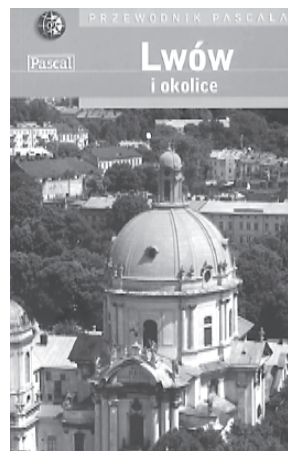
Z okolic Lwowa omówiono ważniejsze turystycznie miejscowości, głównie w wojew. lwowskim i parę z sąsiednich: zabytkowe miasta (Żółkiew, Drohobycz, Sambor, Brzeżany, Złoczów, Zbaraż, Bóbrka), zamki (Stare Sioło, Olesko, Podhorce, Świrz, Wiśniowiec), a wreszcie Krzemieniec.

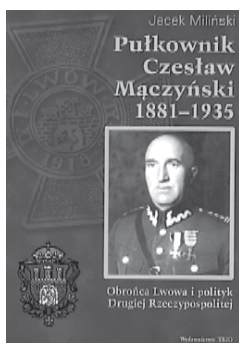
📖 Ukazała się biograficzna książka o czołowym obrońcy Lwowa 1918 r.: **Pułkownik Czesław Mączyński 1881–1935** (Wydawnictwo „Trio”, Warszawa 2004). Napisał ją **Jacek Miliński**, o którym na ostatniej stronie okładki czytamy: *Pietyzm i ogrom pracy badawczej Jacka Milińskiego winien spotkać się z uznaniem Czytelnika. Zwłaszcza tego, który dosyć ma syntetycznych ujęć nie poprzedzonych pracami analitycznymi...*

Czesław Mączyński urodził się jako syn nauczyciela w Kaszycach w pow. jarosławskim, a więc w kręgu promieniowania Lwowa. Do gimnazjum uczęszczał w Jarosławiu, a potem wstąpił na studia filologiczne na Uniwersytecie Lwowskim. W r. 1910 podjął zawód pedagoga w gimnazjum przemyskim.

Pracę niepodległościową rozpoczął już w latach szkolnych, rozwinął w czasie studiów, a uwieńczył ją w praktyce swoim udziałem w Obronie Lwowa, jako jej czołowy animator i przywódca.

Trudno tu streszczać działania i losy Brygadiera Mączyńskiego, są one na ogół znane. Doszedł tylko do stopnia pułkownika, a będąc w opozycji do Piłsudskiego, nie został generałem, co mu się – z uwagi na dokonania i kompetencje – należało. Po zakończeniu I wojny pozostał jeszcze w wojsku do 1929 r., a z początkiem lat trzydziestych opuścił Lwów i osiadł pod Brzeżanami jako kolonista. Tu warto zacytować fragment zakończenia książki:






[...] *Jedyną sprawą, której poświęcił się bezgranicznie do końca swoich dni, było upamiętnienie Obrony Lwowa. Brał udział w większości listopadowych obchodów, patronował wszelkim inicjatywom zmierzającym do utrwalenia dla przyszłych pokoleń wysiłku Orłąt. Wiele trudu włożył w prace nad budową Cmentarza*

*Obrońców Lwowa. Z równym zaangażowaniem uczestniczył w uroczystościach zadwórzeńskich. Jako członek honorowy zasiadał we władzach wielu organizacji społeczno-kombatanckich.*

*Na ziemi brzeżańskiej nie znalazł jednak upragnionego spokoju. Nadal był symbolem polskiego Lwowa. Szowiniści ukraińscy niszczyli mu plony, podpalali gospodarstwo. Mimo to z Wierzbowa nie wyjechał. Pokonała go choroba. Zmarł przedwcześnie we Lwowie w wieku pięćdziesięciu czterech lat – i zgodnie z ostatnią wolą – spoczął na Cmentarzu Orłąt. Nie zdecydował się na założenie rodziny. [...] Ostatnie lata spędził w zupełnym osamotnieniu. Żył skromnie, a niewielki majątek, jaki posiadał, przekazał na cele społeczne. Po śmierci został pochowany w kwatery zadwórzeńskiej, wśród prostych żołnierzy, a nie w alei wodzów. [...]*

*Z przykrością wypada odnotować fakt, że nadal w stosunkach polsko-ukraińskich polityka kładzie się cieniem na historii. Wydarzeń sprzed ponad 80 lat nie sposób odmienić, można co najwyżej sfalszować ich przebieg. Ta droga nie prowadzi jednak do porozumienia [...]. Jak memento zatem brzmia ostatnie słowa brygadiera: „Brońcie Lwowa...” Autor niniejszej pracy przyłącza się do tego wezwania, pozwalając sobie na niewielką tawestację: brońmy prawdy o polskim Lwowie, którego najlepszą częścią jest postać brygadiera Czesława Maczyńskiego! Nikt nas w tym nie wyręczy, a jeśli nie my, to kto...*

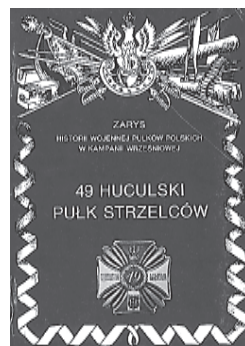
 W czasie niedawnej bytności w Warszawie wstąpiliśmy do Księgarni Wojskowej przy Krakowskim Przedmieściu (do kilku innych też) i zauważyliśmy tam kilkadziesiąt książeczek w identycznych okładkach,

wchodzących do serii pn. *Zarys historii wojennej pułków polskich w kampanii wrześniowej*, w ramach Biblioteki Historycznej Sztabu Generalnego WP. Wśród nich znaleźliśmy trzy dla nas szczególnie ciekawe: **49 Huculski Pułk Strzelców**, autorstwa **Ryszarda Brykowskiego** (wyd. Oficyna Wydawnicza „Ajax”, Pruszków 1992); **39 Pułk Piechoty Strzelców Lwowskich** – **Macieja Kozubala** (wyd. jw., 1996) oraz **11 Karpacki Pułk Artylerii Lekkiej** – **Piotra Zarzyckiego**.

Z pierwszego dowiedzieliśmy się, że 49 HPS wchodził w skład 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, a miejscem jego postoju od czerwca 1921 r. była Kołomyja. Jednak nazwę *Huculskiego* otrzymał dopiero w 1938 r. We wrześniu '39 pułk walczył z Niemcami nad Wisłoką, potem został przeniesiony w rejon Przemyśla, Rawy Ruskiej i Mościsk. Bardzo przerzedzony w walkach znalazł się 20 IX we Lwowie, a na skutek znanych wydarzeń po 17 września – resztki przeszły na Węgry.

Natomiast 38 PPSL stał od 1921 r. w Przemyślu, był jednak ściśle związany ze Lwowem, a jego świętem pułkowym był dzień 22 listopada – na pamiątkę oswobodzenia Lwowa w 1918 r. We wrześniu '39 pułk podjął walkę z Niemcami w rejonie Dunajca, na południe od Tarnowa. Następnie bił się nad Sanem na linii Przemyśl-Bircza, w końcu między Jaworowem a Lwowem. Nie udało się uderzenie na linii Brzuchowice-Holosko. Jeden z batalionów walczył w rejonie Starego Sambora, w końcu został zmuszony do wycofania się i przejścia na Węgry przez przełęcz Użocką.

Wreszcie 11 KPAL został sformowany z dywizjonów, które stacjonowały w Kamionce Strumiłowej oraz w Gajach Wielkich k. Tarnopola. Od 1921 r. cały pułk stał się garnizonek Stanisławowa, a jego święto pułkowe wypadało 2 czerwca, w rocznicę walki stoczonej z bolszewikami w 1920 r. pod Obodówką. We wrześniu '39 pułk został skierowany pod Bochnię, później jednak podzielił się. Jedną z baterii walczyła pod Jarosławiem, jednak przy

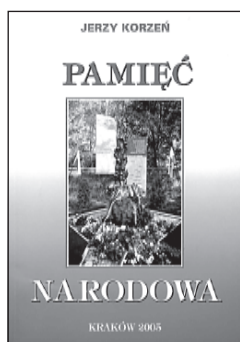




wycofywaniu się natrafiła na sowietów, które wzięły pozostałych żołnierzy z dowódcą do niewoli. Inne baterie walczyły w rejonie Jasła, poczem wycofały się ku Przemyślowi. Po walkach w rejonie Sądowej Wiszni baterie wycofały się do lasów janowskich, potem do Brzuchowic i Hołoska (18–20 IX). Tam w rejonie sanatorium wykonano kilka natarć na Niemców, jednak bezowocnie. Na rozkaz gen. Sosnkowskiego zniszczono resztę dział, a niedobitki żołnierzy KPAL dostały się do Lwowa. Żołnierze dostali się do niewoli sowieckiej, część dowództwa została zamordowana przez NKWD.



W CL 4/04 opisywaliśmy odsłonięcie pomnika Ofiar Ukraińskiego Ludobójstwa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Obecnie inicjator i realizator pomnika – Towarzystwo Pamięci Narodowej im. Pierwszego Marszałka Polski w Krakowie – wydało książeczkę pt. **Pamięć Narodowa** z artykułami własnymi oraz zebranymi przez prezesa Towarzystwa i głównego animatora postawienia pomnika **Jerzego Korzenia**.



W książeczce została utrwalona przez autora niełatwa historia realizacji pomnika (dobrym pomysłem – dla historii – było zamieszczenie listy członków Rady Miasta z zaznaczeniem, kto głosował za lub *przeciw* pomnikowi, a następnie za lub *przeciw* użyciu słowa l u d o b ó j s t w o. Ci pierwsi byli na szczęście liczniejsi). Prof. Ryszard Szawłowski omówił istotę ukraińskiego ludobójstwa wobec polskiej ludności cywilnej. Dalej znalazły się ciekawe artykuły: *Skąd się wzięła Ukraina* oraz *Żołnierskie wspomnienia* itd. Zamieszczono kopie korespondencji w sprawie budowy pomnika, teksty przemówień w czasie odsłonięcia i liczne fotografie. (DTS)



Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej w Krakowie daje kolejne tomy studiów i szkiców pt. **Od strony Kresów**. Nie znamy części pierwszej, mamy natomiast przed sobą część drugą, pod redakcją **Haliny Bursztyńskiej** (Kraków 2000).

Jedną z recenzentek tomu, prof. Elżbieta Feliksiak, napisała: [...] *Książka w sposób istotny wzbogaca wiedzę o tej tak mało jeszcze zbadanej – mimo licznych publikacji w ciągu lat ostatnich – dziedzinie, jak kultura polska na dawnych Kresach Wschodnich* [...]. Zdanie to trafia w sedno, ponieważ ta myśl właśnie leży u podstaw idei powołania do życia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich.

Książka (prawie 400 stron) zawiera 19 prac na tematy historyczne, biograficzne oraz literaturo-, praso- i językoznawcze. Z tych nas najbardziej zainteresowały: Renaty Stachury o lwowskiej działalności literackiej Adama Bełcikowskiego, Marii Konopki o lwowskiej serii Biblioteka Mrówki z lat 1869–1913, Henryki Kramarz o zakładach opiekuńczo-wychowawczych dla dzieci i młodzieży we Lwowie na przełomie XIX/XX wieku, Władysława Kolasy o współczesnej prasie kresowej w kraju i za granicą. Pozostałe prace dotyczą w większości kultury polskiej Wileńszczyzny.

Opracowanie W. Kolasy już po raz drugi ukazuje się w wydawnictwie AP – po raz pierwszy w 1997 r. Trochę dziwi, że temat nie został uaktualniony, bo w ciągu 8 lat dużo się zmieniło.



Przed rokiem zamieściliśmy w CL (3/04) *Rozmowę* na temat lwowskiej rzeźbiarki Jadwigi Horodyskiej (1905–1973). Przy okazji poinformowaliśmy, że we Lwowie powstaje monograficzna książka o tej artystce, a podjął ją historyk sztuki **Jerzy (Jurij) Smirnow**. Pamiętamy, że ten sam autor wydał niedawno monografię lwowskiej Katedry Ormiańskiej. Publikuje też artykuły na łamach „Gazety Lwowskiej”.

W tym roku wspomniana książka ukazała się pt. **Jadwiga Horodyska. Życie i twórczość artystyczna** (Lwów 2005). Opracowanie ujęte jest chronologicznie. Autor po krótkim omówieniu środowiska, z którego wyszła, oraz studiów opisuje kolejno liczne dzieła, tworzone głównie dla kościołów. Smirnow pisze o latach 30.: *Można stwierdzić, że przez ten zaledwie siedmioletni okres czasu utwierdziła się ona jako artystka kościelna, znana w całej Polsce i ceniona przez hierarchów, jak abp. J. Teodorowicz, abp. B. Twardowski, bp. E. Baziak. Jej rzeźby zdobyły świątynie na terenie całego kraju, od Lwowa po Katowice i Hel.*



Dodajmy, że po wojnie do listy owych hierarchów doszli kardynałowie Adam Stefan Sapieha i Karol Wojtyła.

Jednak nie tylko rzeźba kościelna wychodziła spod dłuta Horodyskiej. Były też liczne portrety rzeźbiarskie, w tym np. przed wojną popiersie inż. J. Kremera\*, a po wojnie kardynała Sapiehy i znanego lekarza krakowskiego dra Mariana Ciećkiewicza. Była też słynna *Herodiada*\*\* , kilka aktów, prace konkursowe na pomniki itd.

Z satysfakcją notujemy, że w tekście książki parokrotnie pojawiają się odniesienia do rozmowy o J. Horodyskiej, przeprowadzonej w naszym kwartalniku.

Autor zamieścił streszczenie swojej pracy w „Gazecie Lwowskiej” 16 i 17/05.

\* Informację tę dedykujemy p. Barbarze Rydel-Hetnał, która na naszych łamach pisała o Kremerówce pod Chodorowem.

\*\* O *Herodiadzie* pisaliśmy w CL 3/04. Warto wspomnieć, że fotografię tej rzeźby przysłano nam ostatnio z Chicago, gdzie jest eksponowana w tamtejszym Muzeum Polskim w szklanej gablocie.

📖 Bardzo ciekawym wydawnictwem – z treści i formy – jest książka dwóch autorów: dziadka i wnuka, **Maurycygo i Leszka Allehandów**, pt. **Zapiski z tamtego świata**. Rzecz w tym, że dziadek nie może nic wiedzieć o tej książce, bo jako Żyd został zamordowany przez Niemców w 1942 r. Notował natomiast swoje przeżycia, zaś wnuk po latach dopisał swoje chłopięce wspomnienia z tamtego czasu. I tak w książce następują zapiski dziadka i pamiętnikarskie komentarze wnuka. Allerhandowie byli zasymilowaną rodziną polską wyznania mojżeszowego.

Maurycy Allerhand (1868–1942) był adwokatem i profesorem prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, członkiem Komisji Kodyfikacyjnej RP oraz członkiem Trybunału Stanu RP. Leszek Allerhand (ur. 1932), syn Joachima, doktora praw, jest lekarzem w Zakopanem.

Treść książki dotyczy dramatycznych lat II wojny, przeżytych przez rodzinę Allerhandów częściowo w lwowskim getcie, częściowo w różnych kryjówkach, w grobowcach na Cmentarzu Łyczakowskim, a doraźnie w prywatnych mieszkaniach.

Z omawianej książki można się wiele dowiedzieć o sytuacji – nie tylko Żydów –

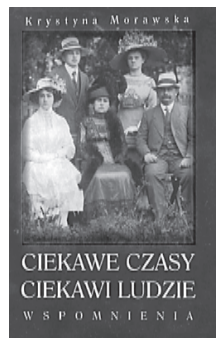
we Lwowie tamtego czasu, o stosunkach wtedy panujących. Warto przeczytać.

📖 Przed paroma laty informowaliśmy o wspomnieniach spisanych przez Annę Gołasiową (*Dzieje jednej rodziny*, CL 1/99). I oto niedawno jej siostra, najmłodsza z trzech córek lwowskiej rodziny Furgalskich, **Krystyna Morawska**, wydała swoje: **Ciekawe czasy, ciekawi ludzie** (Kraków 2003).

Wspomnienia K. Morawskiej zaczynają się od historii rodziny – po mieczu i po kądzieni – od końca XIX wieku, po czym następuje opowieść o jej własnym życiu, poczynając od lat 20. do końca XX wieku – a więc 100 lat i pięć pokoleń lwowskiej rodziny. Z tego połowa już poza rodzinnym miastem. Przez kilka dziesiątków lat życia autorki zmieniają się – jak to w tych skomplikowanych czasach – miejsca pobytu, otoczenie bliższe i dalsze, zajęcia i sytuacja materialna, a na tym tle życie osobiste, uczuciowe, rodzinne, zawodowe. Autorka urodziła się we Lwowie – rodzina była zamożna – i pozostała tam niemal do końca okupacji niemieckiej. Uczęszczała do szkoły Sacre Coeur, na wakacje wyjeżdżano do Jastrzębiej Góry, gdzie rodzice mieli willę, lub do Worochty. Po wybuchu wojny zmieniło się wszystko: ojciec zamordowany przez Sowietów, ucieczka przed wywózką – do Kołomyi i Drohobycza. Okupacja niemiecka – praca w perfumerii i nauka na tajnych kompletach. Wyjazd ze Lwowa nastąpił w 1944 r. – kolejno Dębica, Rzeszów, w końcu od 1945 – Kraków (to już 60 lat w tym mieście!). Małżeństwo (mąż oficer, kombatant II wojny), studia geologiczne na AGH i praca w tej dziedzinie. Dwoje dzieci, wnuki.

Szczególnie dużo miejsca poświęca autorka swoim podróżom – to jej pasja. W tym miejsca szczególne: Rzym, Ziemia Święta, Lourdes, Fatima, Ostra Brama. I Lwów.


📖 Od Czytelnika p. Tadeusza Józkowa, zamieszkałego dziś w Miliczu, otrzymaliśmy tomik wierszy, pozostawionych przez jego ojca, **Franciszka Józkowa** (1902–88), rodem z Chorostkowa k. Kopyczyniec, który po kilkuletniej pracy w Kanadzie zakupił zie-



mię w pobliskich Deryłozach. Był założycielem i prezesem Polskiego Związku Strzeleckiego, z jego inicjatywy rozpoczęto budowę Polskiego Domu Ludowego w Celejowie.

Wiersze ojca wydali jego dwaj synowie, Tadeusz i Jan, pt. **Moja rzeka coraz dłuższa** (Wrocław–Żmigród, 2005). Wszystkie opiewają ojczyste Podole, przepelnione są miłością i tęsknotą za rodzinnymi stronami.

## Ucrainica

 Potrzebne, ale dość dziwne wydawnictwo ukazało się ostatnio we Lwowie: obszerny (ok. 320 stron, ale niewielki formatem) album dokumentujący zdjęciami i opisami kościoły rzymskokatolickie w Małopolsce Wschodniej. Autorami są ks. bp Marian Buczek oraz Ihor Sedelnyk, ale kto napisał teksty, a kto fotografował, tego nie doczytaliśmy się. I. Sedelnyk, jak napisano, jest *wykładcą* w Seminarium Duchownym (co wyklada?). Tytuł brzmi: **Archidiecezja Lwowska obrządku łacińskiego. Opowieść ilustrowana. Tom 1. Parafie, kościoły oraz kaplice (obw. lwowski)**. Wydawcą jest Kuria Archidiecezjalna (Lwów 2004).

Nasze zdziwienie dotyczy języka: wszystko po ukraińsku. Jedynie tytuł i nazwy miejscowości napisano dwujęzycznie. Dla kogo więc jest przeznaczone to wydawnictwo? Jeśli dla wiernych Kościoła obrządku łacińskiego, to należy to potraktować jako kolejny przejaw ukrajinizacji społeczności polskiej. Takiego jednak lekceważenia polskości większości wiernych nie spodziewaliśmy się po pierwszym z autorów.

Zawsze nas zastanawia: Polacy w Anglii, Ameryce, Francji mają swoje kościoły, gdzie używa się języka polskiego. Dlaczego takie cywilizowane podejście nie jest respektowane na Wschodzie? A przecież po wschodniej stronie istnieją większe podstawy, by narodowość i jej język honorować. Po pierwsze: Polacy na Wschodzie to autochtoni, a nie imigranci; po drugie: ich bohaterskie wytrwanie przy wierze i polskości nie znajduje żadnej analogii na Zachodzie; po trzecie: jakże blisko są – w przeciwieństwie do tamtych – swojej Macierzy.

Czy Kościół w tamtych regionach koniecznie chce wziąć na swoje sumienie historyczną „zastugę” ostatecznego dobitcia polskości? Pogratulować.

 We Lwowie nabyliśmy niewielką książeczkę autorstwa **Iryny Kotłobułatowej**

(w jęz. ukraińskim) pt. **Lwiwski skarbnicy – rzecz o lwowskich bankach do II wojny światowej** (wydawnictwo „Piramida”, 2002). Opracowanie jest rzeczowe i choć nazwa Polski tam nie pada, to jednak przez sam temat polskość przebija przez wszystkie strony książki, łącznie z ilustracjami. Co ważne, autorka dając spis banków z lat 1841–1939 szereguje je według ulic, zachowując ich polskie nazwy (jedynie zniekształcone przez przekład na ukraiński – np. Akademyczna, Batorija, a nazwy aktualne podaje w nawiasach).

Autorka omawia historię bankowości we Lwowie od przełomu XVI/XVII w. Padają nazwiska Kampionów, Syksta (od którego ul. Sykstuska), Alembeka, Korzeniowskiego, Siemiradzkiego, Groszajera, a także burmistrza Zimorowicza, arcybiskupów Twardowskiego (XVII w.), Zielińskiego – niestety brak wyjaśnienia ich polskości (określenia *Ukraina, ukraiński* też nie padają ani razu\*). Zaszczytu wymienienia narodowości dostępują jedynie Ormianie, gdy mowa o ich bractwach we Lwowie i innych miastach: Brzeżanach, Horodence, Śniatynie, Stanisławowie, Tyśmienicy, Jazłowcu.

W XIX w. pojawiają się nazwiska Hausnerów (pisaliśmy o tym bankierskim rodzie w CL 1 i 3/99, 1/02) oraz szereg innych o niemieckim brzmieniu, co nie może dziwić, bo tak było w całej Polsce i nie tylko).

W książeczce omówiono i zilustrowano budynki bankowe, pokazano fotografie wybitnych działaczy gospodarczych (Stanisław Szczepanowski, Zdzisław Marchwicki, Maurycy Lazarus itd. – znowu nie podając narodowości). Na ilustracjach znajdujemy także podobizny pieniędzy używanych w ciągu wieków, zarówno monet, jak i papierowych (te drugie tylko polskie). Wśród monet zauważamy dwie najstarsze, określone jako *denar ruski* i *grosik ruski* (z lat 1333–1370), oba oczywiście z inicjałami Kazimierza Wielkiego (KPR – Kazimierz Poloniae Rex). Potem monety z kolejnymi królami polskimi, aż po Sobieskiego.

W spisie wykorzystanej przez autorkę literatury na 15 pozycji – 9 to tytuły polskie.

\* Autorka jest zapewne Rosjanką.

Danuta Trylska-Siekańska (DTS)  
Elżbieta Mokrzyńska

# Wertując wydawnictwa

➔ W bieżącym roku minęła 90. rocznica deportowania przez Rosjan ze Lwowa **bohaterskiego prezydenta miasta, Tadeusza Rutowskiego\***.

Przypomnijmy: w początkowej fazie I wojny światowej nastąpiła ofensywa wojsk rosyjskich na Galicję. Doszło do kilku bitew – pod Złoczowem i nad Gniłą Lipą. 3 września 1914 wkroczyli Rosjanie do Lwowa. Potem poszli dalej, dotarli pod sam Kraków (miejsce ich zatrzymania upamiętnia istniejący obelisk na wzgórzu między Krakowem a Wieliczką). W dalszym ciągu wojny sytuacja odmieniła się na korzyść Niemiec i Austrii, a przełomem na terenie Galicji stała się bitwa pod Gorlicami (2 maja 1915, miasto to uległo całkowitemu zniszczeniu). Rosjanie wycofując się w czerwcu ze Lwowa, zabrali ze sobą 37 zakładników, na czele z T. Rutowskim (wiceprezydentem, lecz pełniącym obowiązki prezydenta, ponieważ jeszcze przed inwazją rosyjską władze miejskie z prez. Józefem Neumanem otrzymały z Wiednia nakaz ewakuacji. Rutowski odmówił opuszczenia miasta).

Tadeusz Rutowski po półtorarocznej niewoli został zwolniony na skutek interwencji dyplomatycznych (w zamian za rosyjskiego szpiega) i w styczniu 1917 r. przybył do Wiednia, oczekiwany tam przez żonę i córkę\*\*. Wracając do Lwowa zatrzymał się w Krakowie, gdzie powitano go owacyjnie i obdarzono honorowym obywatelstwem miasta\*\*\*.

We Lwowie, jak pamiętamy, imieniem T. Rutowskiego nazwano dawną ul. Teatralną (równoległą do Wałów Hetmańskich; jeszcze wcześniej nazywała się Franciszkańska, potem Długa).

\* (1852–1918). Książkę o T. Rutowskim pióra prof. H. Kramarz omawialiśmy w CL 2/02.

\*\* Córka ta to późniejsza p. Stankowa, matka dr Zofii Stanek, sybiraczki po II wojnie (!), zamieszkałej dziś w Krakowie. O wydanych przez nią wspomnieniach i tomikach wierszy pisaliśmy parokrotnie, ostatnio w CL 1/05.

\*\*\* Uroczystość tę szeroko opisał w krakowskim „Dzienniku Polskim” 48/05 Paweł Stachnik: *Kraków Rutowskiemu*.

➔ Na fali **niebываłego zainteresowania polskim Lwowem** w kilkunastudniowym okresie związanym z otwarciem Cmentarza Orłąt tematy lwowskie niezwykle silnie odcisnęły się w krajowych mediach w drugiej połowie czerwca. Otwarcie było w całości transmitowane przez I program telewizji (a za pośrednictwem TV Polonia nawet za Oceanem), pojawiła się ogromna ilość artykułów – wiadomości, rozważań i analiz, reportaży, rozmów i wspomnień, wielkie kolorowe zdjęcia na pierwszych stronach gazet. Było więc co oglądać i czytać, przeważnie z satysfakcją, czasem z irytacją, ale zawsze z zaciekawieniem.

Zostawmy na boku pytanie, jakie ta od wielu lat zapowiadana i oczekiwana uroczystość – poza doraźnym poczuciem spełnienia – przyniesie korzyści. Podobnym pytaniom nie można się dziwić, bo doświadczenia mamy różne, a miejsce i czas wydarzenia są szczególne.

➔ W „Rzeczypospolitej” z 18–19 czerwca znalazł się obszerny reportaż Mai Narbutt, ułożony z okazjinych **rozmów z kilkoma osobami we Lwowie**, bardziej i mniej godnymi. Do pierwszych trzeba zaliczyć (kolejno) p. Eugeniusza Cydzika, który przez lata współpracował z założonym przez siebie Polskim Towarzystwem Ochrony Mogił Wojskowych, powołanym do ratowania Cmentarza Obrońców Lwowa; z paniami Janiną i Ireną Zappe, bohaterskimi, dziś sędziwymi nauczycielkami polskiej młodzieży w powojennym Lwowie; z panią Janiną Zamojską, uznawanym autorytetem i sumieniem społeczności polskiej pod Wysokim Zamkiem.

A potem jeszcze z Ukraińcami: Tatianą Kruszelnicką – o której niżej (*na deser*), z Anatolem Radkowcem, politologiem i lwowskim radnym, który stwierdził, że Ukraińcom brak kultury politycznej (oj, zauważyliśmy to dość dawno!), z młodą Ukrainką Natalią, której wcale nie przeszkadzałyby odbudowa kolumnady na Orłęcej Nekropolii, a wreszcie z Lubomirem Buniakiem, *me-rem* Lwowa, który ubolewa, że jego pomysł odbudowy Wysokiego Zamku nie spotkał się ze zrozumieniem i został nawet za to wyszydzony. Za to radny Radkowiec widziałby powrót do Lwowa pomnika Fredry, ale czy nie okazałoby się, że nasz komediopisarz naraz stałby się Ukraińcem, podobnie jak – nie przymierzając – matka Jana Pawła II?

Na koniec zapowiedziany *deser*: rozmowa z Tatianą Kruszelnicką, najbardziej antypolską radną. Oznajmiła, że jest a r y s t o k r a t k ą, bo nazwisko Kruszelnickich figuruje w pierwszych spisach rycerstwa polskiego. Biedaczka oczywiście nie wie, bo skąd, co to znaczy *arystokracja*, i co ją różni od zwykłej (choćby najstarszej) szlachty. Okazuje się za to, że dla tak niezwykłego rodowodu, jaki sobie przypisuje, gotowa strawić nawet polskość Ziemi Czerwieńskiej w średniowieczu. Nie dociekajmy przeto, czy ona właśnie „z tych” Kruszelnickich. I jeszcze opowiedziała, że jej rodzina – mimo tego *polskiego arystokratyzmu* – postanowiła opuścić Polskę i przenieść się po rewolucji na radziecką Ukrainę (skądinąd wiemy, że byli komunistami), ale tam ich zaraz rozstrzelano, zostały tylko dwie małe dziewczynki. I ona od nich pochodzi, mimo że nie po mieczu. Uff, zbyt skomplikowane, ale psychiczny kompleks p. Kruszelnickiej co do własnego rodowodu wydaje się współgrać z faktem, iż właśnie jej pomysłem było żądanie usunięcia miecza (rzekomego Szczerbca) z płyty nagrobnej Nieznanego Żołnierza oraz zastrzeżenie, by nie było na cmentarzu lwów i kolumnady.

Pani Mai Narbutt trzeba na koniec wytknąć, że we Lwowie mamy Wały Hetmańskie, a nie Chrobrego (pomieszano się ze Szczecinem) i to, że nazwa *corso* była związana z ulicą Akademicką, a nie z Wałami Hetmańskimi (po prostu dostała nieściskłą informację).

➔ Kolejno – bo nie da się wszystkiego naraz – przeglądamy gazety **z dni przygotowania i poświęcenia Cmentarza Obrońców Lwowa**. Wszyscy piszą pięknie, dusza się raduje, mamy tylko jedno zastrzeżenie: eksponuje się ponad miarę otoczkę polityczną, pozostawiając na drugim planie istotę uroczystości. Oto główne tytuły z „Gazety Krakowskiej z 25–26 czerwca (146/05): *Pojednanie we Lwowie, Przebaczenie nad grobami orląt* (czemu nie dużą literą *Orląt?*), *Pojednanie po latach*, a także *Kontynuacja dzieła Jana Pawła II, O wspólnej przyszłości* itd. Wytlumaczono, skąd nazwa *Cmentarz Orląt*, ale nie wyjaśniono, że właściwa (historyczna) nazwa to *Cmentarz Obrońców Lwowa*.



Prawdziwy wyjątek wśród pełnych *pojednania* stron tytułowych gazet dał nam niezawodny „Dziennik Polski” w Krakowie (137/05), gdzie wyeksponowano to, o co chodziło – patrz ilustracja.

➔ W „Gazecie Krakowskiej”, o której wyżej mowa, znalazła się wypowiedź Włodzimierza Mokrego (działacza ukraińskiego w Krakowie), dość umiarkowana, ale do paru punktów zgłaszamy sprzeciw. Mówi Mokry: *Lwów, czyli Miasto Lwa, został założony przez księcia Rusi Halicko-Wołyńskiej*. Otóż nie ma wątpliwości, że w tym znakomitym strategicznie miejscu była wcześniej osada prapolskich Lędzian, zniszczonych po 981 r. przez Włodzimierza Wielkiego i jego następców, zaś **Daniło nie założył miasta, lecz gródek**, a u jego stóp powstała ruska osada. A co do *lwa* – nie ma on najpewniej żadnego związku z Rusinami ani z księciem Lwem. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy opracowanie *u k r a i ŋ s k i e g o b a d a c z a*, który wywodzi lwowskiego lwa z Bawarii, jako godło przyniesione przez kolonistów (lew był popularnym godłem w średniowiecznej Europie i widnieje w wielu herbach miast i państw).



Co do 1918 r. – nie ma podstaw idealizowania czynu Strzelców Siczowych we Lwowie, bo pamiętamy, że to Austriacy w ostatnich chwilach bytu swojej monarchii, napuścili i uzbroili Ukraińców na Lwów i Małopolskę Wschodnią. I jeszcze jeden dość wątpliwy argument Mokrego: *Polacy mieli jeszcze Kraków, Warszawę, Poznań, Ukraińcy mieli tylko Lwów*. No cóż, Polacy musieli walczyć przeciw agresorom nie tylko o Lwów, także o Śląsk, Wielkopolskę, Wileńszczyznę... A co do p r a d z i y c h ziem ukraińskich, to przecież to „zasługa” Chmielnickiego, że tamte strony uległy rusyfikacji (która odbija się do dziś na życiu tamtego kraju).

➔ Wśród wielu pięknych głosów, jakie ukazały się w czerwcu tego roku w okresie przed ponownym oficjalnym otwarciem Cmentarza Obrońców Lwowa, znalazł się taki, który walkę Lwowa o powrót do odradzającej się Macierzy **obdziera ze wspaniałej legendy**, jaka towarzyszyła wszak wszystkim powstaniom narodowym przeciwko zaborcom i agresorom. Obrony Lwowa nie można oceniać inaczej, niż to miało miejsce w Warszawie w 1831 r., w całym Królestwie w 1863 r., w powstaniach śląskich i wielkopolskim, w powstaniu warszawskim 1944 r. itd. Do czynnej walki staje zawsze elita społeczeństwa, przede wszystkim młodzież, wychowana przez swych rodziców i przywódców narodowych.

Oczywiście i we Lwowie nie wszyscy stanęli do walki przeciw Ukraińcom, ponieważ mieszkańcy miasta po prostu nie wierzyli, że Lwów – tak jak Kraków, Warszawa, Wilno czy Poznań – może być zagrożony. Wyskok Ukraińców, podstawionych celowo przez Austriaków, traktowano z początku jako mało niebezpieczny incydent. Nim jednak doszło do groźniejszych rozmiarów walki, Ukraińcy z miasta szczęśliwie się wycofali, nie znajdując większego poparcia ze strony miejscowej rusińskiej mniejszości.

Niejaki Dariusz Baliszewski, *historyk i publicysta*, napisał, a „Wprost” wydrukowało (19 IV '05) artykuł, który ma *odbrzązować* Obronę Lwowa. Piszze to, co ma polską rację pogłębić, nawet ośmieszyć. Po co to zrobić?

Warto przytoczyć takie słowa tego autora: ... „*polski Lwów*” był tylko *polską enkla-*

*wą na ich terytorium, w wielomilionowym ukraińskim, spragnionym wolności żywiole...* Takich słów (w innym kontekście) nie powstydziliby się sam Lenin, a przecież to bzdura. Czy autor nic nie wie o *podpuszczaniu* Rusinów przeciw słabej Polsce przez Rosję carską, a potem bolszewicką, przez Austrię, Niemcy? Czy nie zauważył różnicy między sytuacją Rusinów we wschodniej Małopolsce/Galicji a zrusyfikowanymi Ukraińcami na ziemiach ukraińskich? Kwitując problem w tak uproszczony sposób, pan Baliszewski wykazuje, że nie wie nic o historii Lwowa i całej Małopolski Wschodniej (i zapewne wszystkich ziem wschodnich), o wszystkich polskich historycznych miastach, ogromnej części wielkich Polaków, o wielowiekowej obronie przed najazdami. Nie wie zapewne, skąd się wzięli na tamtych ziemiach Rusini, pchani przez Tatarów ku zachodowi, i karpaccy górale, wędrujący za pastwiskami z Wołoszczyzny. Polska ich przyjmowała i nawet nie próbowała asymilować (jak wszyscy wszędzie) – a czy było to mądre, to inna sprawa.

A może po prostu miał pan interes, żeby takie antypolskie brednie pisać?\*

\* Na temat bredni Baliszewskiego wypowiedział się również Kazimierz Madej z Loch Camelot w „Dzienniku Polskim” 182/05 (*Piosenki pod szytą historią*, rozmawia red. W. Krupiński): *...niedawny artykuł w tygodniku „Wprost” Dariusza Baliszewskiego, nazwanego tam historykiem, z ironicznym tytułem „Orleńta i sokoły”, podważający bohaterską ofiarność tej młodzieży (nawet dzieci), przyjąłem jako porażający i obrzydliwy. Wszechobecny i „trendy” ostatnio relatywizm, jest wirem, który wynosi to, co zwykle spoczywa na dnie. Znaczący jest tytuł wstępu do tego numeru (24) tygodnika: MIER-NOTA IDZIE! i dalej: „Tylko miernota może sobie na wszystko pozwalać. I sobie pozwala”.*

➔ Wielokrotnie powoływany w CL kwartalnik zakopiański „**Na Placówce**” poświęcił dużą część numeru 3/05 uroczystości otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa: kilka artykułów i piękny barwny fotoreportaż na dwóch środkowych stronach numeru.



Miesięcznik „**Znad Popradu**”, wydawany w Piwnicznej, zamieścić w swoim nrze 7/05 piękny artykuł Krystyny Bielczykowej *O nich trzeba pamiętać*, poświęcony Cmentarzowi Obrońców Lwowa.

Obu Redakcjom dziękujemy!

➔ Jak zwykle mieszane uczucia mamy do tego, co pisze „**Tygodnik Powszechny**”. W numerze 27/05 znalazło się kilka artykułów, dotyczących czerwcowej uroczystości, a na pierwszej stronie zamieszczono wielkie zdjęcie Orleńcej Nekropolii z dość „sprawiedliwym” podpisem, lecz oczywiście z *pojednaniem* w tytule. Paradoksalnie nasze zastrzeżenia najmniej dotyczą tekstu napisanego przez Ukrainca, filozofa Mirosława Popowicza (ur. 1930), pt. *Rozumiem waszą tęsnotę*.

W artykule *Wyznaczona godzina* M. Noćni i A. Brzezicki usiłują koniecznie wytłumaczyć mało obytym w historycznej rzeczywistości czytelnikom, że *zwycięstwo polskiego oręża przypięczętowało na 70 lat los ukraińskich dążeń niepodległościowych...* Zawiniła więc wedle „Tygodnika” Polska, gdzie na jej historycznych ziemiach żyła ukraińska mniejszość narodowa (i swej tożsamości nie utraciła mimo rzekomych przesładowań), a nie Rosja, która – dzięki ukraińskiemu bohaterowi narodowemu Chmielnickiemu – uciszyła przez paręset lat i zrusyfikowała kilkadziesiąt milionów Ukraińców na olbrzymich obszarach właściwej Ukrainy, od Zbrucza po Don. Autorzy dobrze wywiązali się z zamówienia...

M. Zając (*Spory w rodzinie*) opisał kontrowersje między Kościołem łacińskim a Cerkwią grekokatolicką we Lwowie. Trzeba zauważyć, że artykuł napisany jest kulturalnie i wyjaśniająco (mamy bowiem ciągle w pamięci... [epitet skreślono] Szostkiewicza w tej samej sprawie – patrz CL 3/05, *Słowo od Redakcji*).

Autor pisze: *Do tych [spornych] problemów kardynał [Jaworski] zalicza fakt, że grekokatolicy zajmują świątynie niegdyś łacińskie. Od lat spory ciągną się w Tarnopolu, Komarnie, Brodach, Lwowie. Kard. Jaworski twierdzi, że grekokatolicy nieraz odmawiają łacinnikom nie tylko zwrotu, ale też współużytkowania kościołów. W Komarnie fiaszkem zakończyła się mediacja biskupów obu obrządków i nuncjusza na Ukrainie,*

*arcybiskupa Antonio Franco. We Lwowie wspólnota łacińska domaga się zwrotu kościoła i klasztoru karmelitanek. Kard. Jaworski twierdzi, że zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego kard. Lubomyr Huzar odrzucił jego prośby, bowiem stoi na stanowisku, że „zakony chcące pracować na Ukrainie powinny przyjmować rył wschodni [!], a zakonnicy uczyć się języka ukraińskiego. Odpowiedziałem, że my nie przychodzimy do Kościoła grekokatolickiego, aby zakładać w jego ramach zakony. Nasz Kościół ma prawo zakładać własne wspólnoty zakonne”.*

Właśnie z takich powodów ks. kardynał Jaworski nie wziął udziału w spotkaniu w Zarwanicy, na którą ochoczo pognął kard. Glemp, podtrzymując fikcję na korzyść tamtej, a nie naszej strony. O tym już pisaliśmy.

➔ Prasa doniosła, że władze państwa Ukraina zgodziły się wreszcie, po wielu latach starań, na utworzenie **cmentarza ofiar ukraińskiego ludobójstwa** (nazwanego eufemistycznie *cmentarzem wojennym*) w Hucie Pieniackiej w 1944 r. Ma tam stanąć kamienny krzyż z dwujęzycznym napisem – byleby tam była prawda, a nie kolejny kamuflaż! – oraz tablice z nazwiskami ofiar.

Prasa przypomina (chwała jej!), że mieszkańców wsi uciekających przed oddziałami UPA spędzono do kościoła i szkoły lub zamknięto w ich domach i stodołach, a potem na komendę niemieckiego (?) oficera podpalono. Akcję prowadziły oddziały ukraińskiej dywizji SS „Galizien” i UPA, wspierane przez część ludności ukraińskiej. Zginęło wtedy 1000–1100 Polaków.

➔ Czytelnicy nadsyłają nam **różnorodne i ciekawe materiały**. Ostatnio otrzymaliśmy:

– od p. prof. dra Zbigniewa Żmigrodzkiego (Częstochowa): *Historia kolei w Zaleszczykach* (odbitka ze „Świata Kolei” 7/05);

– od p. mgr. inż. Krzysztofa Bulzackiego (Jelenia Góra): *Żydzi Lwowa w okresie okupacji 1939–1945* (opracowanie K. Bulzackiego pracy doktorskiej Eliyahu Jonesa na Uniwersytecie w Jerozolimie).

Bardzo za to dziękujemy, na pewno wykorzystamy, jednak nie zaraz, bo nasze teczki „pękają w szwach”.

➔ Nadeszły trzy pierwsze tegoroczne numery **dwumiesięcznika „Wspólnota Polska”**, w których znajdujemy sporo ciekawych materiałów związanych z dziejami i teraźniejszością Małopolski Wschodniej. Łącznie z innymi tematami wschodnimi – ziemię ukraińską, Białą Ruś, Wileńszczyznę – tematyka *kresowa* oraz *sybiracka* stanowią większość zawartości numerów. Warto niektóre z tych materiałów wymienić.

W numerze 1/05 zwracają uwagę trzy główne tamaty. Najważniejszy to sprawozdanie z konferencji naukowej, zorganizowanej we wrześniu '04 przez Stowarzyszenie Uczonych Polskich Ukrainy, przy udziale Konsulatu Generalnego RP w Kijowie oraz kilku instytucji i organizacji z obu państw – pt. *Polskie dwory i rezydencje na Ukrainie*. Wystąpili naukowcy z 14 polskich i 5 ukraińskich uczelni oraz 8 różnych instytucji. Uczestnicy wzięli też udział w objeździe polskich dworów i rezydencji, których na ziemiach ukraińskich jest jeszcze sporo mimo tragicznych zniszczeń (m.in. Tulczyn, Niemirów). Wypada się cieszyć z poruszenia tematu kultury i cywilizacji polskiej na Ukrainie – co przed paru jeszcze laty nie było możliwe.

Drugim ważnym tematem jest 500. rocznica urodzin Mikołaja Reja w Żurawnie\*. Trzeci temat to opowieść o trudnym, ale godnym życiu Stanisława Adamskiego (1916–1999), niezapomnianego działacza wśród polskiej społeczności Lwowa i całej Małopolski Wschodniej.

W numerze 2/05 czytamy o związaniu się we Lwowie w marcu br. polsko-ukraińskiego (?) Towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Do zarządu weszła m.in. p. Maria Tarnawiecka, profesor Akademii Muzycznej we Lwowie.

W tym samym numerze omówienie działalności Polskiego Radia we Lwowie z okazji jego 75-lecia (o czym pisaliśmy w CL 2/05).

Przy okazji przeczytaliśmy w odnośnym artykule Ewy Ziółkowskiej takie słowa na temat sytuacji dzisiejszego Radia Lwów, które nawiązuje do wspaniałych tradycji przedwojennych: *...Radio Lwów, które będąc jedynym (podkr. red.) polskojęzycznym programem radiowym w tym mieście, spełnia niezwykle ważną rolę edukacyjną i integracyjną...* Powstaje pytanie: a coż się stało z tym polsko-ukraińskim radiem, o które tak –

wbrew rozsądkowi – zabiegało PR w Katowicach? Tamtemu niedowarzonemu pomysłowi poświęciliśmy kiedyś w CL parę cierpkich zdań.

Numer 3/05 otwiera szeroka ilustrowana relacja z otwarciem Cmentarza Obrońców Lwowa w czerwcu br. Drugi obszerny artykuł dotyczy Krzemieńca, z okazji 200-lecia słynnego Liceum. Sporo o znakomitej Polce krzemienieckiej, dziś sędziwej Pani Irene Sandeckiej.

\* W CL 2/05 podaliśmy życiorys Ojca Piśmienictwa Polskiego.

➔ Ciekawy (jak zwykle) artykuł dr Danuty Nespiaak znalazł się w „Naszej Polsce” 30/05. Tytuł: *Od wierzchu i od podszewki*, a rzecz dotyczy **aktualnego stanu stosunków polsko-ukraińskich**. „Pomarańczowa rewolucja” przeminęła, Ukraińcy – jak można się było spodziewać – powoli zapominają o udziale Polaków w ich sukcesie (niektórzy w ogóle tego nie zauważyli). Powoli wracają stare fobie i pretensje – ostatnio w związku z otwarciem Cmentarza Obrońców Lwowa, a sens obrony Lwowa oczywiście przekręcany, ofiary polskie pomniejszane albo całkiem dezawuowane.

Za to coraz mocniej eksponowana jest OUN-UPA, do niedawna – poza tzw. Zachodnią Ukrainą – raczej traktowana wstydliwie. Teraz już urasta do rangi jednego z najważniejszych symboli niezawisłej Ukrainy – czy to się komuś podoba, czy nie, *właśnie historia OUN i UPA była i pozostaje jedną z najważniejszych form legitymizacji narodu ukraińskiego* – oświadczyła jakaś osobistość, a słów tych na pewno będą się uczyć młode pokolenia Ukraińców.

Artykuł D. Nespiaak zawiera wiele wątków, cytatów i rozważań – my to nieco uprościliśmy. Ale sens jest właśnie taki.

Kto oczekiwał, że będzie inaczej?

➔ W „Rzeczpospolitej” 183/05 przeczytaliśmy list, którego autor zwrócił uwagę na **pokrętną pisaninę** Bohdana Osadczyka, znanego nam już zapewne dość dobrze publicyście Ukraińca, zamieszkałego w Berlinie. Czytelnik cytuje zdania Osadczyka, zawarte w jego zwierzeniach, opublikowanych wcześniej w tejże gazecie (z 30–31 lipca):

[...] *Podczas wojny nie wiedziałem dokładnie o zbrodniach na Wołyniu w 1943*

roku. Ale z prasy podziemnej zorientowałem się, jaka nienawiść powstała w stosunku do Ukraińców. [...]

Autor listu zauważa: czytelnika nieznającego realiów tamtego okresu mogą te słowa tylko zdezorientować. Oczywiście, skoro mowa o nienawiści do Ukraińców i jakichś zbrodniach, to ktoś może te dwa fakty skojarzyć całkiem opacznie. A ignorantów u nas coraz więcej.

Pan Osadczuk był doradcą prezydenta Kwaśniewskiego (!) – czy nie było nikogo właściwszego? Znalazł się ponadto

na otwarciu Cmentarza Obrońców Lwowa – kto i po co zaprosił go do wypowiedzi, które do tej okazji były co najmniej nieestosowne?

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” 186/198 – a ten przedrukował z „Wiadomości Wiśnickich” 84/85 – przeczytaliśmy relacje na temat **grabieży dzieł sztuki przez Niemców** pod koniec II wojny światowej. Znalazły się tam takie oto ciekawostki:

W połowie 1944 r. Niemcy przywieźli do więzienia w Wiśniczu\* liczne skrzynie z dziełami sztuki. Były one przetransporto-

## LUDZIE W CRACOVIA-LEOPOLIS

R O C Z N I K 2 0 0 5

Poprzednie listy znalazły się w numerach: 4/98, 1/2000, 4/2000, 4/01, 1/03, 4/04 (s. 22).

Lista zawiera nazwiska osób, których dane biograficzne znalazły się w artykułach i notatkach. Tłustym drukiem wyróżniono osoby, o których napisano całe artykuły (w tym *Sylwetki* i wywiady), a drukiem zwykłym notki biograficzne i okazjonalne wzmianki (także w przypisach do artykułów – o ile zawierają dane biograficzne). Zamieszczono również kilka nazwisk, opuszczonych w poprzednich listach.

<b>Aftanazy Roman</b>	<b>1/05</b>	<b>Machalski Henryk</b>	<b>3/05</b>
<b>Balicki Zygmunt</b>	<b>1/05</b>	Olszański Tadeusz	2/05
<b>Banaś Witold</b>	<b>2/05</b>	Ostrowski Stanisław K.	3/97
Błocki Włodzimierz	3/97	Pautsch Fryderyk	3/97
<b>Chowańcowie</b> , rodzina	<b>3/05</b>	<b>Pillerowie</b> , rodzina	<b>3/05</b>
Chwistek Leon	2/05	<b>Rechowicz Marian</b> , bp	<b>3/05</b>
<b>Czartoryski Michał (Jan)</b>	<b>1/05</b>	<b>Rej Mikołaj</b>	<b>3/05</b>
<b>Czechowicz Kazimierz</b>	<b>4/05</b>	<b>Rotfeld Adam</b>	<b>2/05</b>
<b>Dawidowiczowa Alina</b>	<b>2/05</b>	<b>Rubaszewski Adam</b>	<b>2/05</b>
Dębicki Stanisław	3/97	Rubczak Jan	3/97
Dobrzański Antoni	4/05	Rychter Tadeusz	3/97
Drexler Luna	3/97	Sichulski Kazimierz	3/97
<b>Dublewicz Józef Ignacy</b>	<b>4/05</b>	<b>Sikorzyzna Waleria</b>	<b>1/05</b>
Fałat Julian	3/97	Smagłowski Wincenty	2/05
Findysz Władysław, ks.	2/05	Steinhaus Hugo	2/05
Fuliński Benedykt	2/05	<b>Stroński Franciszek</b>	<b>1/05</b>
Gottlieb Leopold	3/97	<b>Suchanek Irena</b>	<b>3/05</b>
<b>Grzegorz z Sanoka</b>	<b>3/05</b>	<b>Sura Jan</b>	<b>4/05</b>
<b>Habsburg Karol</b>	<b>1/05</b>	Szczepkowski Jan	3/97
Jarocki Władysław	3/97	Trafas Kazimierz	1/05
<b>Katarzyniec Józef Wenanty</b> , ks.	<b>2/05</b>	Trusz Jan	3/97
Kindler Henryk	4/05	<b>Valis-Schyleny Stanisława</b>	<b>1/05</b>
<b>Komornicka Anna Maria</b>	<b>3/05</b>	Warachim Karol Hieronim	2/05
Kossowska Ewa	4/05	<b>Wasylkowski Janusz</b>	<b>2/05</b>
<b>Kubas Zbigniew</b>	<b>2/05</b>	Wiecka Maria Marta, s.	2/05
Kunzek Henryk	3/97	Wolff Kazimierz	4.05
Kuśnierczyk Wacław	4/05	Wygrzywalski Feliks M.	3/97
<b>Lilien-Czarnecka Maria</b>	<b>2/05</b>	Żuławski Mirosław	3/05



▶ wane ze Lwowa i innych miast wschodniej Polski. Po kilku tygodniach wywieziono je do Niemiec. Co tam było?

Oto w pierwszych dniach września 1939 r. matejkowski *Rejtan* i *Batory pod Pskowem*, eksponowane dotąd na Zamku Królewskim w Warszawie, zostały ewakuowane i zdeponowane w rezydencji Radziwiłłów w Olyce na Wołyniu. Po wejściu Niemców zostały przez nich zabrane do Lwowa, gdzie poskładano je (!) na 16 i 18 części, co doprowadziło do licznych popęknięć farby (po wojnie je odnaleziono i odrestaurowano). Podobne były losy *Unii Lubelskiej* Matejki, która była wystawiona na Salonie Paryskim w 1870 r., a następnie przechowywana w rezydencji Czartoryskich Hotel Lambert w Paryżu. W 1877 r. została zakupiona ze składek publicznych do Lwowa i tam pozostawała do II wojny światowej.

Okazuje się więc, że więzienie w Wiśniczu było punktem przelotowym dzieł sztuki ze Lwowa na teren Niemiec, który, zarządzeniem losu, w kilka lat później – jako tzw. Ziemię Zachodnie – stał się miejscem osiedlenia ekspatriantów ze Lwowa i całej Małopolski Wschodniej.

\* Wiśnicz leży w wojew. krakowskim między Bochnią a Limanową. Więzienie w Wiśniczu było znane jako ciężkie (czynne do dziś), założone przez Austriaków w XIX w. w budynkach skasowanego klasztoru Karmelitów Bosych z XVII w.

➔ Znany kardiochirurg poznańsko-krakowski udał się do *swoich Przyjaciół na Ukrainę*, by wraz z nimi odbyć **we Lwowie I Wspólny Kongres Kardiochirurgów Ukrainy i Polski**, a potem spisał relację, którą zamieścił w „Gazecie Krakowskiej” (czerwiec '05). Ze wspomnienia pełnego entuzjazmu dla przyjaciół (kardiochirurgów oczywiście) i współpracy z nimi oraz admiracji dla piękniejącego Lwowa dowiadujemy się kilku rewelacji. Pomińmy lapsus literodowy (miejmy nadzieję), że operacje serca odbyły się we Lwowie i Pucku – chodzi zapewne o Łuck. Natomiast ciekawsza jest wiadomość, że pod Teatrem Wielkim płynie rzeka Połtawa. Ale jeszcze bardziej ta, że we Lwowie działa ponad 200-letni Uniwersytet Medyczny im. Daniła Halickiego. Jest to całkiem bez sensu, bo:

Pierwsze collegium medicum powstało we Lwowie w r. 1773 (czyli 232 lata temu); w latach 1784–1802 istniał wydział medyczny uniwersytetu *józefińskiego*, z łacińskim językiem wykładowym (18 lat); potem w okresie 1817–1849 zdegradowano wydział do studium medyczno-chirurgicznego, a językiem wykładowym był niemiecki. Wydział medyczny z prawdziwego zdarzenia powstał w r. 1894, z polskim – oczywiście – językiem wykładowym (używany na uniwersytecie od lat 1860.). Aż do II wojny światowej (czyli 45 lat) medycyna lwowska działała w obrębie lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza; pojęcie *uniwersytetu medycznego* nigdy nie istniało. To nowy wynalazek. I z historią 1773–1939 (166 lat) nie ma nic – poza budynkami – wspólnego. A już tym bardziej z Danilem Halickim.

Nasza refleksja: nawet ludzie na poziomie – wobec własnej niewiedzy – przyjmują bez zastanowienia różnego typu półprawdy, wypaczające historię i rzeczywistość. W tekście relacji Profesora nie brak naturalnie świadomości o polskości Lwowa, wszystko to jednak przykrywa dość naiwna wiara w rzetelność informatorów i w świetlaną przyszłość. Nie ganimy żywej sympatii, warto jednak przy tych duserach zachować nieco eleganckiej rezerwy.

➔ Dotarli do nas od razu trzy numery tegorocznych „**Spotkań Lwowskich**” (1–2, 3–4, 5–6/05). Jak to dobrze, że pismo przetrwało złe czasy i znowu może nas cieszyć bogactwem tematyki i materiału. Numery mają po 20–24–28 stron i mnóstwo ciekawych ilustracji (z zastrzeżeniem – ale to na końcu).

W pierwszym z wymienionych znajdujemy artykuły o Piłsudskim we Lwowie (szkoda, że nie ma zdjęcia kamienicy Kadecka 6), sporo materiału o rodzinie Pawlikowskich, wspomnienie o niezapomnianej Jolancie Martynowicz z Polskiego Teatru, o fizyku Ulamie. Rozmowa z prof. J. Leońskim na temat badań nad współczesną diasporą polską przypomina nam niezwykle ważny problem, który omawiamy w ramce *Naszym zdaniem*.

W kolejnym numerze niezwykle ciekawe i ważne artykuły: o Chyrowie dziś, o Starym Siole, o pałacach i dworach w Małopolsce Wschodniej. Tematy biograficzne, to o p. Sergiuszu Szachwerdowie-Krochmalu i o niezapomnianej pani Marii Homme. Wreszcie o *Pielgrzymie z Dobromila*, o czym



wspominaliśmy w CL 2/05. Dowiadujemy się, że odtwórczyni tej *śpiewogry*, p. Anna Szałyga, pochodzi właśnie z Dobromila. Utwór ma być w przyszłym roku odegrany we Lwowie i w Dobromilu.

Trzeci, najnowszy numer SL poświęcony jest w całości Obronie i Obrońcom Lwowa, historii ich cmentarza i czerwcowej uroczystości jego otwarcia.

Pani Bożeno, wyrażamy uznanie. Ale żeby nie było tylko chwaleń: my ciągle optujemy za innym formatem „Spotkań Lwowskich”. Odróżnijcie się od zwykłych gazet – to jest Wasz interes. To może więcej kosztować, ale można też zyskać na pomniejszeniu zdjęć. Szkoda miejsca, a efekt może i lepszy! I transport będzie wygodniejszy, tańszy.

## Naszym zdaniem

# KRESOWA DIASPORA

Zagadnienie dotąd szerzej nie podjęte: diaspora wygnańców z Ziemi Wschodnich – dla nas w szczególności lwowska i wschodniomałopolska, która wynika z bezprecedensowego w historii Europy przemieszczania narodów: Polaków z Ziemi Wschodnich i Niemców z dzisiejszych Ziemi Zachodnich (choć nie ma znaku równości między tymi dwiema stronami jednego medalu). Większość Polaków deportowanych (tych ocalałych) oraz wyrzuconych naciskiem fizycznym lub psychologicznym z rodzinnej ziemi znalazła się w Polsce centralnej i na tzw. ziemiach odzyskanych ówczesnej PRL (a dziś rodzi się nowe niebezpieczeństwo!), lecz ogromne i nieodtworzalne liczby autochtonów z tamtej ziemi znalazły się i uległy (lub ulegają) narodowemu unicestwieniu w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, Australii, w południowej Afryce i południowej Ameryce, w dziesiątkach innych krajów Europy i świata.

Trzeba do tego wracać. Może p. prof. Leoński podejmie taki temat?

Na koniec życzymy by SL stały się jak najprędzej rzeczywistym miesięcznikiem, tak jak napisano pod nagłówkiem. A my będziemy go szeroko propagować w całej RP.

➔ Lata lecą – oto dostaliśmy kolejny, już 10. wydany w kraju\*, **Biuletyn Samborzan**, redagowany przez niestrudzonego doc. dra Leszka Martiniego w Krakowie – co przypomina, bo o samborskim Biuletynie pisaliśmy już parokrotnie.

Ten numer (za r. 2005) podoba się nam szczególnie. Materiały w nim zawarte można z grubsza podzielić na trzy rodzaje:

- Historyczne – monograficzno-biograficzne. Jest tego sporo: o samborskich kościołach i klasztorach – Jezuitów, Brygidek, Bernardynów; o wielkich prezydentach Krakowa rodem z Ziemi Samborskiej (J. Dietlu i M. Zyblikiewiczu); o XVI-wiecznym poecie Grzegorz z Sambora; o konwicie chyrowskim.

- Wspomnienia ludzi i o ludziach, w tym przede wszystkim dramatyczna historia zesłania Władysława Ossowskiego, wspomnienie W. Gawrońskiego, podróż po Samborszczyźnie i nie tylko oraz parę innych.

- Materiały typowo biuletynowe: sprawozdania, relacje, wiadomości, listy. Także wiersze.

Które najważniejsze? Wszystkie. Te pierwsze głównie dla młodych samborzan (i dla wszystkich niesamborzan), którzy zapewne już niewiele wiedzą o miejscu na Ziemi, skąd ich korzenie, a Sambor to przecież miasto piękne i historyczne, warte poznania i pamiętania. Te drugie – dla pamięci narodowej. Te trzecie dla pamięci własnej – o szkole, o kolegach i przyjaciółach, o pomocy Rodakom, o zmarłym...

\* Wcześniej Biuletyn taki był wydawany w Londynie przez emigracyjne Koło Samborzan. Redaktorem był Roman Maryniak.

➔ W niedzielnych numerach krakowskiego „Dziennika Polskiego” zamieszczany jest słownik – *Kto jest kim w Krakowie*. W ostatnich numerach znaleźliśmy tam hasła: **Andrzej Chlipalski** (nasz redaktor); **Tadeusz Gaydamowicz** (architekt, urodzony w Kiszyniowie, związany ze Lwowem nauką w gimnazjum – ówczesny kolega ks. Janusza Popławskiego, jego przyjaciel i autor wspomnienia w CL 2/03, członek TMLiKPW w Krakowie, działacz na rzecz Polaków

Naszym lwowskim Przyjaciółom  
Państwu

## ALINIE I TADEUSZOWI PESZKOM

gratulacje i serdeczne życzenia  
z okazji narodzin córki

### Reginy Marii

składa Redakcja  
CRACOVIA–LEOPOLIS

w Mołdawii); **Anna Madej** (anglistka, przewodnicząca Koła Tarnopolan przy Oddziale Krakowskim TMLiKPW).

W numerze 224 tegoż DP opublikowano bogato ilustrowany artykuł P. Stachnika pt. *Kresowe życie. Jak Piotr Korpanty z amatora stał się profesjonalistą*. Architekt **Piotr Korpanty**, rodem z Mielca, jest *fanem* Ziemi Wschodnich, jeździł tam prawie 50 razy. Wykonał 30 tys. przeźroczy i 10 tys. fotografii, które demonstruje podczas prelekcji i pokazów w wielu miejscach Krakowa, także w TMLiKPW, w Śródmiejskim Ośrodku Kultury i szeregu innych; prowadzi również wycieczki.

➔ Krakowski – o lwowskim rodowodzie – **poeta i dziennikarz Aleksander Szumański** nadesłał nam dwa reportaże o Lwowie, jakie zamieścił w chicagowskim „Kurjerze Codziennym” z 17–29 VIII '04: *Zapach lwowskiej katedry* oraz z 5–7 VIII '05: *Lwowskie spotkanie*. W pierwszym w sposób obrazowy przedstawia amerykańskim Polakom niewesoły stan miasta, w drugim opisuje Cmentarz Obrońców Lwowa i czerwcową uroczystość jego otwarcia.

A. Szumański został ostatnio udekorowany Medalem Komisji Edukacji Narodowej za wybitne osiągnięcia literackie. Jego utwory były kilkakrotnie drukowane w CL.

## Ucrainica

➔ **Huśtawka**: w „Rzeczpospolitej” 127/05 przeczytaliśmy: *Co Juszczenko powiedział w Astanie podczas wizyty w Kazachstanie*. Prezydent *nie wykluczył, że Ukraina w przy-*

*szłości zrezygnuje z części swoich prerogatyw na rzecz Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej*. Wypowiedź ta zaskoczyła ukraińskich ekspertów.

Natomiast w „Dzienniku Polskim” 194/05 (a więc trzy miesiące później) czytamy: *Ukraina zamierza zrezygnować z udziału we Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej i rozwijania dwustronnych stosunków z Rosją, Kazachstanem i Białorusią – co oznajmił ukraiński minister gospodarki. – Kijów, który za ostateczny cel stawia sobie członkostwo w Unii Europejskiej, sceptycznie podchodzi do projektu WPG [...]*.

Będziemy bacznie śledzić media przez następne trzy miesiące...

➔ „Myśl Polska” 37/05 przedrukowała oświadczenie pt. *Nie rehabilitować OUN–UPA*, skierowane do prezydenta Juszczenki przez Komitet Weteranów Wojny Rady Organizacji Weteranów Ukrainy\*. Autorzy oświadczenia krytykują fragment przygotowywanej ustawy w sprawie zrównania wszystkich weteranów wojny – fragment, który byłym **członkom UPA nadaje status uczestników działań bojowych i inwalidów wojennych**, co ma im umożliwić korzystanie z wszystkich socjalnych udogodnień i ulg.

Komitet Weteranów stwierdza, że autorzy projektu – ministerstwo pracy i socjalnej polityki Ukrainy – całkowicie zlekceważyli prawną i moralną różnicę między weteranami *Wielkiej Wojny Ojczyźnianej a bojowcami UPA*. Zwracają uwagę, że UPA współdziałała z Niemcami na ich korzyść, że z jej rąk zginęło 120 tysięcy Polaków\*\*, 40 tys. Ukraińców, Rosjan, Żydów i innych narodowości, a już po wojnie zgładziła 20 tys. osób cywilnych i 30 tys. wojskowych. Przypomina się, że w 1946 r. Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze uznał OUN-UPA za organizację zbrodniczą.

\* Podpisał W.O. Anastasjew, przewodniczący Komitetu Weteranów Wojny, I z-ca przewodniczącego Rady Organizacji Weteranów Ukrainy, Narodowy Deputowany Ukrainy. Można podejrzewać, że organizacja ta jest w rękach Rosjan, żyjących w państwie ukraińskim – stąd obiektywne podejście w tej właśnie sprawie i odwaga (uwaga red.).

\*\* U nas uważa się, że liczba ta była o wiele większa.

## Listy do redakcji



Napisał do nas z Przemyśla p. Marian Wiglusz, pytając o jakieś materiały na temat Straży Pożarnej we Lwowie, bo jest tym tematem zainteresowany. Niestety! Nie mamy niczego z tej dziedziny, szukaliśmy w dostępnej literaturze. Nawet w czasopiśmie „Gazeta Strażacka”, której rocznik 1934/35 ktoś kiedyś nam ofiarował, o Lwowie nie było nic ciekawego. Niedawno rocznik ten przekazaliśmy do Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Ten temat nie był więc u nas „ruszany”, chyba w „Semper Fidelis” też nie (a może się mylimy?). Czy Pan ma jakąś wiedzę w tych sprawach? Jeżeli tak, dobrze byłoby to utwalić, a my chętnie byśmy wydrukowali w CL. Może Czytelnicy, zwłaszcza tacy, którzy mieli strażaków w rodzinach – niekoniecznie tylko we Lwowie, także w innych większych i mniejszych miastach – zechcąliby pomóc? Polecamy się w imieniu Pana Wiglusza i własnym.

Nasz Czytelnik i Korespondent p. Antoni Dwojak poruszony wiadomością zamieszczoną w CL 2/05 o nieuznaniu przez Rosję mordu w Katyniu za ludobójstwo, napisał do Władimira Putina list *w i e r s z e m*, którego publikację proponuje w naszym kwartalniku. Prosbę Pana Antoniego spełnimy w jednym z najbliższych numerów CL. W tym numerze natomiast, poświęconym – jak corocznie w tym czasie – wojnom, walce o niepodległość, okupacjom, martyrologii, zamieszczamy wstrząsający wiersz pani Agnieszki Ciesielki, napisany na Syberii, i też przysłany przez pana Antoniego. Prosimy o bliższe dane o autorce – skąd pochodziła, daty urodzenia i śmierci.

Długi wiersz Józefa Sokołowskiego, wołyńnianina, przekazujemy krakowskim ekspatriantom z Wołynia, zobowiązując ich do nawiązania kontaktu z rodziną w Aleksandrowie Kujawskim.

Natomiast obszerny tekst z przemyśleniami na temat ludobójstwa ukraińskiego postaramy się wydrukować także w dal-

szym terminie, ponieważ ostatnio pisano już o tym sporu.

Broszurę Pana autorstwa pt. „Projekt utworzenia Komisji Narodów Zjednoczonych do Spraw Wyborów” – jako całkiem niekompetentni w podobnej problematyce – pozwalamy sobie przesłać do znanego historyka i politologa krakowskiego, prof. dra Tomasza Gąsowskiego.

Za to wszystkim serdecznie Panu dziękujemy i prosimy o dalsze wiadomości i kontakty.

Na hasło *Laszki Murowane* zamieszczone w CL 3/04 zareagował *l a s z a n i n* (nie wiedzieliśmy, że tak się określa!), p. Jan Kędziński, zamieszkały dziś w Opolu, i nadesłał nam odbitki swoich artykułów, zamieszczanych przez lata w różnych czasopismach. To dobrze – każda popularyzacja historycznych miejscowości w Małopolsce Wschodniej utrwala pamięć o naszej Ziemi. Oto tytuły tych artykułów:

- Kościół w Laszkach Murowanych ocalony („Gość Niedzielny” 32/99)
- Zamek w Laszkach Murowanych („Biuletyn Koła Samorzan”, Londyn 1990)
- Konsekracja kościoła w Laszkach Murowanych („Biuletyn Koła Samorzan”, Kraków 2003)
- Laszki Murowane („Biuletyn Koła Samorzan”, Zielona Góra 1998)

### Ponadto:

Apel ks. K. Jandziszaka (rodem z Laszek, proboszcz rzym.kat. w Świdnicy) o ofiary na ratowanie zrujnowanego kościoła laszckiego, zamienionego na cerkiew grekokatolicką.

Przy okazji p. Kędziński prostuje mylną informację w naszym Słowniku: kościół w Laszkach został przez sowietów zamknięty w 1946 r., a nie w 1944.

Długi, ciekawy i ważny (jak zwykle) list nadszedł od p. Jadwigi Jamróz ze Lwowa, która tym razem nawiązuje do omówienia w CL 1/05 książki W. Maślowskiego „Z kim i przeciw komu walczyli ukraińscy nacjonaliści...”.

Mam tę książkę (w polskim tłumaczeniu), a także kilka innych o podobnej treści, jak: *Eks-terminacja ludności polskiej na Wołyniu w drugiej wojnie światowej* W. Filara, *Stosunek UPA do Polaków na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej* A. Kormaniana [...], dwutomową pracę W. i E. Siemaszków *Ludobójstwo...* – to

jest rzeczywiście praca fundamentalna, bo nazywanie „fundamentalną” pracy W. Masłowskiego jest nie tylko na wyrost, ale niczym nie usprawiedliwione. Oczywiście podobnych opracowań jest znacznie więcej, wymieniam tylko te, które są w moim posiadaniu. Poziom ich jest na pewno różny, ale jakoś tak się składa, że Masłowski jest najbardziej „popularny” w polskiej publicystyce. Ja zaś mam do jego opracowania szereg zastrzeżeń.

W pierwszym rządzie autor nie przedstawia rzetelnie wypadków historycznych w Galicji Wschodniej (Małopolska Wschodnia) od lat 30. do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku. Dla niego II wojna światowa zaczęła się właśnie w czerwcu 1941 r., w czym wiernie naśladuje sowieckich historyków. A przecież, skoro zaczyna od lat trzydziestych, to nie mógł pominąć napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. Nie było września 1939! Nie było porozumienia Ribbentrop–Mołotow (Hitler–Stalin) i czwartego rozbioru Polski! Nie wiadomo skąd wzięła się w Małopolsce Wschodniej władza sowiecka, a już ani słowem nie wspomina się, jak tam rządziła. Nie było wywozów cywilnej ludności do Kazachstanu, nie było przepelnionych, a potem wymordowanych więzień – tego wszystkiego nie było! Jest natomiast stwierdzenie (s.17, 20, 21), że Watykan popierał ideologię ukraińskich nacjonalistów. Na s. 176 czytamy: *Metropolita (chodzi o Szeptyckiego – J.J.) działał nie tylko z własnej inicjatywy, ale i z nakazu stolicy apostolskiej, która poprzez kościół katolicki wszelkimi siłami sprzyjała utworzeniu ochotniczych legionów dla wsparcia hitlerowców przeciw Rosjanom.* Na tej samej stronie trochę dalej: *hitlerowcy, z którymi Watykan wiązał wszystkie nadzieje na zniszczenie państwa radzieckiego...* Czyta się jak sowiecką agitkę.

Następny mój zarzut dotyczy twierdzenia, że ludność cywilna Galicji Wschodniej z utęsknieniem czekała na przyście Armii Sowieckiej. Co to, to nie. Myśmy już wiedzieli, jak wygląda władza sowiecka. Cieszyć się z jej przyjscia mogła ludność terenów, które od września 1939 r. okupowali tylko Niemcy. My czekaliśmy na swoich, którzy śpieszyli do nas przez Monte Cassino, ale nie doczekaliśmy się. Zamiast tego mieliśmy w lipcu 1944 r. masakrę Akowców i nową okupację – na długo.

Na stronie 254 mamy pochwałę *społecznych i moralno-psychologicznych okoliczności, w jakich żyli Ukraińcy w Radzieckiej Ukrainie.* Rzeczywiście, było czego zazdrościć Ukrainie pod rządami Stalina. Może głodu w latach 30.? Może masowej deportacji?

O tym dziwo-historycznym opracowaniu można napisać znacznie więcej i przytoczyć masę historycznych przekrętów oraz zwyczajnych łgarstw (to słowo bardziej mi tu pasuje niż bardziej eleganckie *klamstwo*). Jest też sporo prawdziwych faktów, w przeważającej części wziętych z polskich opracowań, także z tych, które cytują na początku listu. Pan Masłowski po prostu skorzystał z czyjejs pracy.

Na końcu chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność, która może sporo tłumaczyć: pierwsze wydanie książki Masłowskiego w języku oryginału, po ukraińsku, miało miejsce w Moskwie w 1999 roku. Jeżeli Moskwa drukuje coś po ukraińsku, to musi jej na tym bardzo zależeć. Przypuszczam, że Witalij Masłowski pisał na zamówienie „wielkiego brata”, ale trochę prze-dobrzył.

O jego śmierci nie wiem nic, choć starałam się dowiedzieć. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, słyszeli o niej wyłącznie z postawia omawianej książki albo z cytatów. Podejrzewam też, że „Masłowski” to pseudonim, śmierć jest więc problematyczna. Niestety, sporo ludzi ginie z rąk bandytów, także na politycznym tle. Praca o tym często relacjonuje. Nie znam innych prac Masłowskiego, choć prenumeruję sporo ukraińskiej prasy z ambitną publicystyką. Witalija Masłowskiego nie spotkałam, więc twierdzenie w postwowie książki *Fundamentalna praca Witalija Masłowskiego, wybitnego historyka i publicysty ukraińskiego...* jest mocno na wyrost.

List mój jest mocno spóźniony, późno dostałam ten numer „Cracovia-Leopolis”, a potem nie miałam czasu zabrać się do pisania. Sądzę też, że tymczasem Redakcja miała możliwość zapoznać się bliżej z samą książką. Myślę, że warto ją przeczytać i zastanowić się nad tym dziwo-tworem.

Serdeczne pozdrowienia dla redakcji naszego kochanego kwartalnika, na kolejne numery którego zawsze z niecierpliwością czekam.

*Bardzo Pani dziękujemy za zwrócenie uwagi na nasz brak czujności. Okazuje się, że nie wolno było przepisywać notki wydawcy, nawet jeśli był nim wrocławski „Nortom”. Dziwi nas, że tak solidna firma wprowadziła nas w błąd, a my naszych Czytelników – za co gorąco przepraszamy. Będziemy teraz sami sprawdzać, a nie zawierzać żadnym cudzym rekomendacjom.*

*Serdecznie dziękujemy za – mimo wszystko – miłe słowa o naszym kwartalniku.*



# O PIERWOTNEJ POLSKOŚCI...

dokończenie ze s. 29

Jakoż po pewnym czasie rozwiązali zagadnienie, którego mogłoby mieć dostęp do wielkiego podunajskiego szlaku handlowego, łączącego Europę z półwyspem bałkańskim. Szły bowiem od Dunaju rozmaite odgałęzienia tej drogi ku północy. Najdalej na wschód wysunięta taka droga wiodła przez południowe Podkarpacie (późniejszą Słowaczczyznę [Słowację]) i przełęcz Użocką\*\*\* w Karpatach na ziemię polskiego ludu Lachów.

Lud ten mieszkał na północy Karpat na wschód od Sanu, sięgając ku północy do grodów skupionych koło Czerwienia i podgraniczny Rubieszów (później zwany Hrubieszowem) nad ujściem Huczwy do Bugu. Ulegając ogólnemu prawu ruchu osadniczego w ziemiach karpackich, że osadnictwo porusza się ze strony zewnętrznego łuku Karpat ku wewnętrznemu, przeszli i Lachowie (Lasi) z północnych stoków Karpat na południowe, przełęczami Użocką i Dukielską. Podobnie przeszli Wołosi (Rumunowie) przez Karpaty od wschodu na zachód, do Siedmiogrodu, a na zachodzie Słowacy z Moraw przenosili swe osadnictwo ku wschodowi do północy Węgier. Wcześniejsze atoli od słowackiego było tu osadnictwo Lachów, którzy, dążąc od przełęczy Użockiej ku zachodowi, wzmocnieni drugą falą osadniczą od przełęczy Dukielskiej, doszli do Hornadu, następnie do Wagu, wreszcie do Kisuczy, przechodząc na koniec przełęczą Jabłonkowską do części późniejszego Księstwa Cieszyńskiego, której ludność do dnia dzisiejszego zowie się Lachami; podobnie też narzecza dzisiejszej północnej Słowaczyny – przejściowe pomiędzy językiem polskim a słowackim – zowią się do dziś *laskimi*. Tak więc cechą osadnictwa Lachów nie była gęstość, lecz intensywna ekspansja, dzięki której odbyli drogę osadniczą od Chełma po Cieszyn. Nie oznaczała zaś ta nazwa Polaków w ogóle, bo nawet nie było jeszcze wówczas ogólnego pojęcia Polski i Polaka (pojęcie narodowości polskiej powstało dopiero na schyłku XIII wieku, rozpowszechniając się w XIV), lecz ozna-

czało tylko jeden z ludów polskich, żyjący własnym odrębnym życiem. Jak to często bywa, sąsiedzi nazwali cały naród od imienia ludu (lub nawet tylko plemienia), z którym zetknęli się najwcześniej, od nazwy etnograficznej pogranicznej; dlatego wschodni Słowianie cały naród polski nazwali następnie Lachami\*\*\*\*.

Od przełęczy Użockiej wiodły trzy drogi ku „Rusi” poprzez ziemię Lachów: doliną Stryja, doliną Dniestru i trzecia, dalsza, lecz najdogodniejsza i najbardziej używana, stanowiąca właściwie jedyny prawdziwy szlak handlowy: wzdłuż Sanu i dalej Wiaru do Przemyśla, a stąd w stronę Bełza i dalej wprost na północ w stronę Rubieszowa, nad ujściem Huczwy do Bugu. Bardzo mała przestrzeń dzieli tu dorzecza Wisły i Dniepru, a mianowicie Bugu i Prypeci. Tędy była główna droga z Rusi na Węgry i do podunajskiego szlaku.

Te siedziby Lachów po północnej stronie Karpat były szczerze oddzielone od osadnictwa ludu Wiślan olbrzymią puszczą, ciągnącą się wzdłuż Wisłoka aż do ujścia Sanu. Pomiędzy Lachami a Wiślanami nie było też żadnego związku, a droga od Wiślan, z Krakowskiego, do Lachów wiodła przez południową stronę Karpat, przełęczą Dukielską do Użockiej. Siedziby Lachów stanowiły natomiast jakoby przedłużenie Mazowsza ku południowi. Jakkolwiek osadnictwo polskie posuwało się stale ku wschodowi, a przestrzeń izolująca Słowiańszczyznę wschodnią zmniejszała się, nie było jednak jeszcze bezpośredniego sąsiedztwa. Z prawej strony Bugu koczowała Jaćwież, a nad górną Prypecią i nad najbardziej zachodnimi jej dopływami nie było jeszcze zgoła osad.

Ani Mazowszanie, ani Lachowie nie należeli jeszcze do państwa piastowskiego, pogrążeni w pierwotnym bycie plemiennym, pod drobnymi książętami grodowymi.

Światosław nie znalazł sposobności skorzystania z odkrycia drogi, mogącej łączyć szlak podunajski z panowaniem Rurykowiczów. Dopiero Włodzimierz, który w początkach swego panowania kroczył w ogóle śladami Światosława, podejmując na nowo zamysł względem Bizancjum – tego najwyższego marzenia Waregów, dla których całe podnieprze było tylko „drogą do Grecji” i niczym więcej – postanowił też zbadać i opanować drogę podunajską, o której wia-

domości przechowywali drużynnicy Świato-  
sława i ich potomkowie, jako tradycyjną  
z wypraw bułgarskich.

W taki sposób w r. 981 *ide Wołodimer  
k Lacham*. Wyprawa ta szła przez teryto-  
rium jadžwińskie na Bug, który przekroczo-  
no przy ujściu Huczwy, w okolicy Grodów  
Czerwieńskich; stąd posunęła się – na Bełz  
prawdopodobnie – do Przemyśla i ku prze-  
łęczy Użockiej.

#### PRZYPISY REDAKCJI

\* Podobny styl myślenia można zauważyć w krę-  
gach nacjonalistycznych dzisiejszej Ukrainy.

\*\* Wiorsta = 1,07 km.

\*\*\* Nazwy przełęczy odnoszą się oczywiście do  
nazewnictwa nowożytnego.

\*\*\*\* Lachowie, Lasi to inaczej Lędzianie. Stąd Pol-  
ska, Polacy to po węgiersku *lengyel*, po litew-  
sku *lenkai*. W CL pisano o tym parokrotnie.

*Ciąg dalszy w następnym numerze*

FELIKS KAROL KONECZNY (1862–1949), ur.  
w Krakowie, studia historyczne na UJ. W latach  
1919–29 profesor Uniwersytetu SB w Wilnie.  
Potem osiadł w Krakowie, prowadząc badania sło-  
wianoznawcze oraz dot. stosunków Polski z Li-  
twą, Rosją i Tatarami.

---

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej  
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.  
Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

---

## Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

---

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak,  
Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka,  
Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska  
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27  
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, fall@fall.pl  
Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2  
Nakład 750 egz.

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadza-  
nia śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# ЗАБАВКИ МЕРА

Або "ЧИМ БИ ДИТЯ НЕ ТІШИЛОСЬ..."



Небачений ілюзійон!

Цирк на дроті - посередині міста!

Вперше у Європі!

Відбудова будови після перебудови!

Замок на Замку!

Трамвай за трамваем!

Смертельний номер -

голова Івса у пащі мера!

Кишенькові депутати!

Атракціон нечуваної щедрості

міського голови -

"Відбудова" Високого Замку

за кошти львів'ян!

W poprzednim numerze (CL 3/05, s. 52) pisaliśmy o pomysłe odbudowy lwowskiego Wysokiego Zamku. Ostatnio przysłano nam ze Lwowa plakat, który wykiplwa pomystodawcę, mera Buniaka. Oto tłumaczenie tekstu:

ZABAWKI MERA „albo czym by się dziecko ucieszyło...” Niezwykly iluzjon! Cyrk na drucie – w srodku miasta! Po raz pierwszy w Europie!

Odbudowa budowy po przebudowie! Zamek na zamku! Tramwaj za tramwajem! Śmiertelny numer – głowa Iwa w paszczy mera! Kieszonkowi radni! Pokaz niebywalej szczodrości przewodniczącego miasta – „odbudowa” Wysokiego Zamku na koszt lwowian! (itd.)

Słowo od redakcji ZNOWU MINĄŁ ROK		Słownik geograficzno- II -historyczny DOBROSTANY ♦ DOMAŻYR ♦ HAŁUSZ- CZYŃCE ♦ MSZANA ♦ PACYKÓW ♦ PRZYBICE ♦ SKOROMOCHY ♦ WOLA DOBROSTAŃSKA	41
Felieton Barbara Czachczyńska PO SZESZCZDZIESIĘCIU SZEŚCIU LATACH	1	Anna Madej CO SEYCHAC U TARNOPOLAN	42
Kazimierz Wolff JAK JEST FASUN, TO TRZA IŚĆ	2	Krystyna Krasnopolska, Aleksandra Krajnik 5 POLSKA SZKOŁA SOBOTNIA W BOLEŚAWIU	47
Henryk Mozer SAM POCZĄTEK 1939–1944	5	6 Sylwetki Marian Biczycy PROFESOR KAZIMIERZ CZECHOWICZ	52
Archiwum BATIARY SWÓJ HONOR MIELI	6	9 LARYNGOLOGDZY	53
Ks. Józef Pyrek ŻOŁNIERZ I WYCHOWAWCA (1)	9	12 Polacy z Polakami Edward Adles TEGO ROKU W KLECZY	54
Archiwum BUDOWNICTWO WOJSKOWE	12	13 Z tamtej strony IV SEJMIK FOPnU	55
Tadeusz Stec ZE SZCZĘPIEM I TOŃCIEM...	13	16 WIADOMOŚCI Z WOJĘNIA POLSKI CMĘTARZ WOJENNY NA HOŁOSKU WYDARZENIA	56
Archiwum OSIEMDZIESIĄT LAT TEMU	16	Naszym zdaniem PYTAMY O ZASADY	56
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z JANEM SURĄ	17	21 W Krakowie i dalej KĘPICE WYBRAŁY IMIĘ LWOWIANINA KRAKOWSKIE GIMNAZJUM PRZEDSTAWIA ZJAZD W TARNOWSKICH GÓRACH NOTATKI	57
Archiwum DRAMATY	21	22 Naszym zdaniem RÓŻNICA W PODEJŚCIU	59
Wiersz Agnieszka Ciesielka PIOSENKA	22	22 Kultura ♦ Nauka TEGO POTRZEBA POLSCY UCZENI... KRONIKA	60
Archiwum LIST LEKARZA	22	24 Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	62
Ks. Mieczysław Maliński TO BYŁ MÓJ RAJ	24	25 LUDZIE W CRACOVIA-LEOPOLIS 2005	73
Feliks Konieczny O PIERWOTNEJ POLSKOŚCI...	25	32 Naszym zdaniem KRESOWA DIASPORA	75
NA RZECZ POLAKÓW I POLSKOŚCI (3)	30	38 LISTY	77
Adam Trojanowski LWOWSCY MECHANICY W KRAKOWIE	32		
Piotr Marek Stański POMNIKI ALEKSANDRA FREDRY...	38		